

RONIN

Z B I G N I E W

Górnjak



Serce nr

Jest wina, musi być kara

男心脏

62

Z B I G N I E W
Górnjak

Serce nr 62

Copyright © Zbigniew Górnjak 2018

Zdjęcie na okładce: Mariusz Przygoda / Loft Studio

Motto do książki wybrała: Dominika Niedziela

Opracowanie okładki: Jacek Laskowski

Redakcja: Dagmara Owczarek

Korekta: Gaja Małamut

epub: eLjot

Wydanie II (poprawione), Opole 2019

ISBN 978-83-950482-1-0

Wydawca

RONIN Zbigniew Górnjak

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Cytat](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)

[Rozdział dwudziesty](#)

[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)

[Rozdział dwudziesty drugi](#)

[Rozdział dwudziesty trzeci](#)

[Rozdział dwudziesty czwarty](#)

[Rozdział dwudziesty piąty](#)

[Rozdział dwudziesty szósty](#)

[Rozdział dwudziesty siódmy](#)

[Rozdział dwudziesty ósmy](#)

[Rozdział dwudziesty dziewiąty](#)

[Rozdział trzydziesty](#)

[Rozdział trzydziesty pierwszy](#)

[Rozdział trzydziesty drugi](#)

[Rozdział trzydziesty trzeci](#)

[Rozdział trzydziesty czwarty](#)

[Rozdział trzydziesty piąty](#)

[Rozdział trzydziesty szósty](#)

[O Autorze](#)

*Serce jest bogactwem,
którego się nie sprzedaje ani nie kupuje,
ale które się ofiarowuje.*

Gustaw Flaubert

Rozdział pierwszy

Dopiero na tylnym siedzeniu radiowozu – za kratą i z opaskami zaciskowymi na przegubach – Agnieszka Wyrwał uświadomiła sobie, jak bardzo wstrząsnąć musiała młodą policjantką z kucykiem scena osobliwego pogrzebu, na który natknęła się o świcie na skraju schludnego klombu w Parku Ujazdowskim. Coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak pochówek chomika, okazało się sprawą dużo bardziej ponurą.

Od dobrego kwadransa funkcjonariuszka nie wypowiedziała ani słowa. Nastroszona i nastraszona, z ustami w ciup, lekko otepiała, przeżuwała incydent na przednim siedzeniu policyjnej skody kombi prowadzonej przez jej partnera z patrolu, który wyglądał jak ubrana w mundur małpa, taki był żwawy i pobudzony. Wyższy od niej o głowę i cięższy o czterdzieści kilogramów, pełnił jednak w tym duecie rolę samca beta. Samcem alfa była ona, o czym świadczyło nie tylko podwójne V na jej pagonach, podczas gdy on miał zaledwie pojedyncze, ale i respekt, jaki w nim budziła. Kiedy złakniony sportowych wieści, pogłodził pluskające dotąd muzyczną pulpą radio, starsza sierżant potraktowała gałkę potencjometru z taką wściekłością, jakby ukrecała łeb wyjątkowo skrzekliwej papudze. A on udał z pokorą, że nic się nie stało.

W radiowozie nareszcie zrobiło się cicho i Agnieszka spróbowała zebrać myśli, które – jedna w drugą – były czarniejsze niż kot zwiastujący nieszczęście. Co jej strzeliło do głowy, że wybrała akurat park? I to tak reprezentacyjny? Mogła przecież dopełnić ceremonii na moście, powierzając swój kłopot Wiśle, w której by go pewnie zjadły węgorze i raki. Mogła zakopać ten kłopot w jakimkolwiek odludnym miejscu. Mogła w końcu, machnąwszy ręką na obrządek i przyzwoitość, porzucić go na pierwszym lepszym przystanku i niech się zamartwia znalazca.

Teraz jej kłopot spoczywał na podłodze samochodu, w policyjnej torbie na dowody rzeczowe, którą jadąca z przodu starsza sierżant ścisnęła stopami niczym cenne świąteczne zakupy, popatrując od czasu do czasu w dół z mieszaniną niedowierzania i lęku, ale też fascynacji. Gdyby Agnieszka umiała czytać w myślach, dowiedziałaby się, że policjantka całkiem na serio rozważa zrobienie telefonem zdjęcia zawartości torby, aby móc się pochwalić na Facebooku, iż oto już w pierwszym miesiącu służby w stolicy trafiła jej się sprawa jak z powieści Remigiusza Mroza. I że w końcu jednak odgania tę pokusę, bo przypomina sobie, jak wiele fatygi zajęło jej ojcu, burmistrzowi dwudziestotysięcznego miasteczka w Kieleckiem, uruchomienie mechanizmów, które przeniosły jego córkę z nudnej komendy powiatu do Pałacu Mostowskich w Warszawie. Szkoda byłoby to

zmarnować jednym głupim wpisem.

Policjantka odwróciła się i przez kratę posłała Agnieszce spojrzenie, które z założenia miało być surowe i pełne potępienia. Lecz kontakt wzrokowy zdołała utrzymać zaledwie przez sekundę: miała przed sobą czerwone oczy antychrysta.

Starsza sierżant błędnie jednak zinterpretowała spojrzenie, które ją zgasiło. Oczy zatrzymanej podeszły krwią nie z powodu demoniczności, lecz strachu. To on stał się przyczyną nagłego skoku ciśnienia, czego efektem był wylew podspojówkowy. Strach i uraza do samej siebie. Agnieszka biczowała się w myślach za to, że jak ostatnia idiotka wybrała miejsce, nad którym gdyby tylko przez chwilę się zastanowiła, doszłaby do wniosku, że musi być obstawione kamerami jak ołtarz świecami.

Rozdział drugi

Wypielegnowany palec stuknął w klawiaturę i laptop na biurku w pokoju przesłuchań zaczął wyświetlać czarno-biały film bez ścieżki dźwiękowej. Został on zarejestrowany kamerą ukrytą najprawdopodobniej w koronie drzewa, co podpowiadała zarówno perspektywa, jak i kawałek gałęzi trącanej wiatrem tuż przed obiektywem.

Młoda kobieta z tatuażem na szyi wchodzi energicznie na trawnik w parku, po czym opada na kolana i z wielką zajądłością zaczyna kopać dziurę w ziemi. Używa do tego przedmiotu, który z tej odległości przypomina łopatkę do ciasta. Ma na sobie spodnie bojówki, a koszulka na ramiączkach uwydatnia muskularność jej ramion. Głowa wygolona po bokach jak u hajdamaki. Prawa ręka – od ramienia po dłoń – cała w tatuażach, niczym psychodeliczny rękaw hipisowskiej bluzki z lat 70. W oryginale zapewne barwy, na filmie zaledwie w czerni i bieli.

Po chwili łopatką w jej dłoni łamie się. Kobieta odrzuca ją ze złością i porusza bezgłośnie ustami. Teraz kopie w ziemi rękami, wygląda trochę jak drapieżnik z Animal Planet wygrzebujący jamę, w której chce ukryć zdobycz lub młode.

Gdy jej ręce zanurzają się w dziurze już po łokcie, kobieta przestaje kopać, wyciera dłonie w spodnie i sięga po plecak. Wyjmuje z niego słoik. Unosi go pod światło i przez kilka sekund lustruje z powagą zawartość niczym gospodyni oceniająca jakość pikli własnego wyrobu.

W słoiku jakiś ciemny przedmiot. Na filmie nie do rozpoznania.

Z wielkim namaszczeniem kobieta składa słoik w dole i zasypuje go rękami. Uklepuje ziemię dłońmi, wstaje, ubija ją stopami. Rozgląda się. Jej wzrok zatrzymuje się na czymś poza kadrem. Rusza w tamtą stronę, po czym wychodzi z kadru. Wraca za kilkanaście sekund, dźwigając z trudem spory kamień. Upuszcza go na ubitą dopiero co ziemię, maskując miejsce pochówku słoika.

Prostuje się i przez kilka chwil stoi nad głazem z dłońmi splecionymi na podbrzuszu i opuszczoną głową. Wygląda jak osoba pogrążona w modlitwie albo w medytacji. Łapie za plecak i odchodzi, zarzucając go sobie na ramię. Nagle przystaje, jakby sobie o czymś przypomniwała. Wyjmuje z plecaka mały krzyżyk i opiera go o kamień. Wykonuje dłonią pośpieszny, niechlujny znak krzyża, po czym nagle energicznie odwraca się, jakby usłyszała za sobą jakiś odgłos. Jakby ją coś przestraszyło. Lub ktoś.

I wtedy tężeje.

Wypielegnowany palec znów stuknął w klawiaturę i film na ekranie zatrzymał się.

– Nastraszył panią nasz patrol, co?

Głos, który wypowiedział te słowa, pobrzmiwał satysfakcją i ledwo maskowanym rozbawieniem. Należał do Marka Bryneckiego, funkcjonariusza komendy stołecznej policji. Jego był też palec z równo spiłowanym paznokciem.

– Niby wszyscy wiedzą, że powtykaliśmy kamery gdzie się tylko da, ale potem wielkie zaskoczenie. – Rozszerzył oczy jak aktor odgrywający zdumienie. – Niektórzy mają nawet pretensje. Że niby jakim prawem...

Agnieszka przeniosła spojrzenie na policjanta. Nie tylko palce miał zadbane. Cały wyglądał tak, jakby sfrunął właśnie z firmowego kalendarza, który wisiał na ścianie za jego głową i prezentował grupę młodych kobiet i mężczyzn przebranych w mundury. Promieniowali perfekcją i urodą. Perliskość uśmiechów, wyrazistość rysów, żyłastość ramion, smukłość bioder, fantazyjność fryzur. Kocia gracia zmieszana z testosteronem. Tylko ktoś bardzo naiwny mógł uwierzyć, że to prawdziwi policjanci, zatem zgrabna dorodność funkcjonariusza, który siedział za biurkiem naprzeciw Agnieszki, dowodziła, iż jest on zaledwie wyjątkiem potwierdzającym regułę. A ta głosi przecież, że policja z urody bywa raczej kłocowata niż wiotka, raczej kostropata niż gładka.

– Pańska koleżanka była chyba bardziej zaskoczona niż ja. – Agnieszka wykonała w powietrzu ruch, jakby zbierała sobie dłonią włosy za głowę – Ta młoda. Z kucykiem. I jej kolega.

– Zwłaszcza, gdy usłyszała, co pani ma w tym słoiku.

– Nie ukrywałam tego ani przez moment.

– Ja pani nadal nie wierzę.

– Pana koleżanka chyba uwierzyła. Wyglądała na przejętą.

– Ona jeszcze wierzy we wszystko. Pierwszy miesiąc w stolicy.

– I od razu jej się trafiła bomba.

– Gdyby to była zwyczajna bomba... – westchnął tęsknie komisarz. – Wezwałoby się saperów i po sprawie. A tak – wskazał głową telefon na biurku, to był stacjonarny aparat na klawisze w stylu wczesnych lat dziewięćdziesiątych – trzeba czekać na analizę z prosektorium. I na adwokata.

– Długo? Bo chciałabym złożyć wyjaśnienia i sobie pójść.

Spojrzał na nią, jakby mu oświadczyła, że ma bilet do kina i zaraz zaczyna się seans.

– Złożyć wyjaśnienia i sobie pójść? – zaczął z rozbawieniem. – Pani Agnieszko...

– Rzucił okiem na papiery na blacie. – Pani Agnieszko Marto Wyrwał, pani się wydaje, że ja jestem urzędnikiem ZUS, który bada prawdziwość pani L-4? Przecież powiedziałem wyraźnie: czekamy na pani adwokata. A do jego przybycia radzę

milczeć. Jak na amerykańskich filmach.

– A ja też już panu mówiłam, że to nie jest mój adwokat.

– Miała pani jego wizytówkę w portfelu. – Brynecki sięgnął z szacunkiem po leżący na biurku sztywny kartonik. Trzymał go koniuszkami palców przed oczyma, niczym ksiądz unoszący hostię w chwili podniesienia.

Wiedziała, co sobie teraz myśli. Najdroższa kancelaria w Warszawie. A przynajmniej najbardziej znana. Człowiek, który nosi nazwisko zapisane na wizytówce, sztywny był kiedyś na premiera. Dzisiaj to celebryta zapewniający obsługę prawną innym celebrytom i zaspokajający kilka stacji radiowych i telewizyjnych, nieustannie łaknących kontrowersyjnych komentarzy na tematy polityczne.

– To nie jest mój adwokat.

– Ale się znacie? – zapytał z nadzieją komisarz, a Agnieszka odniosła wrażenie, że więcej było w tym pytaniu wścibstwa, jakim karmi się plotka, niż zawodowej dociekliwości.

– Nie bardziej niż pan ze swoim listonoszem.

– Na oczy go nie widziałem – odparł Brynecki. – Listonosza. A tego... – Komisarz stuknął palcem w wizytówkę. – Tego tylko w telewizorze. Wielki jak King-Kong.

– A ja na własne oczy, telewizja wyolbrzymia. Ale to nie jest mój adwokat.

– Już to pani mówiła.

– To powiem jeszcze raz. To nie jest mój adwokat.

Brynecki zrobił grymas z gatunku „ejże”. Za moment ubrał swoją minę w słowa.

– Ejże... To dlaczego, gdy do niego zadzwoniłem, kazał się wstrzymać z przesłuchaniem? Zasypał mnie paragrafami. Groził. Już pędzę! Tak powiedział. Już pędzę. Jak do ważnej klientki. A potem dla pewności zadzwonił do samego komendanta.

Do samego komendanta. Dla pewności... No tak, teraz już wiedziała, dlaczego przesłuchanie wciąż nie może się rozpocząć. Sam komendant nie będzie ryzykował rozmowy z samym ministrem, który zrugą go za to, że zignorował samego... Tak, mecenas był wielki nie tylko ciałem, ale i wpływami. Poczula niesmak, lecz komisarz nie dał jej czasu, aby mogła przetrwać go moralnie.

– Nadal pani twierdzi, że to nie pani adwokat? – drążył.

– Mój nie. Ale to człowiek mojego... – Urwała. – Kogoś, z kim łączą mnie pewne... – Zawahała się, szukając właściwego słowa. – Pewne więzy – wyznała.

– Pewne więzy? – Komisarz ożywił się, jakby czytał plotkarski portal. – Towarzyskie? Miłosne? A może...? A może więzy krwi? Kim jest człowiek, który zatrudnia najdroższego adwokata w stolicy?

Agnieszka przewróciła oczami ze złością.

– To już przesłuchanie czy tylko ciekawość? – zapytała, lecz nie chciało jej się czekać na odpowiedź. – Zostawmy to! – krzyknęła tak głośno, że sama się zadziwiła własną gwałtownością. Nieco grzeczniej dodała: – Nie chcę o tym rozmawiać. Dość.

Komisarz zachował spokój.

– Zatem czekamy na adwokata. – Pstryknął w wizytówkę, po czym wystraszony własną nonszalancją, jakby dał pstryczka w nos temu, którego nazwisko na niej widniało, dodał z pokorą: – Na pana mecenasa czekamy. – Następnie zaczął demonstracyjnie podziwiał swoje paznokcie, lśniące od witamin.

Wydawszy wargi, Agnieszka założyła ręce na piersi w geście dziecka, które się obraziło na cały świat. Długo nie wytrzymała. Zrobiła z palców obu dłoni kratkę i przyłożyła ją sobie do twarzy.

– Czy ja nie powinnam na ten czas iść do klatki?

Brynecki pokręcił głową, że nie. Zatkanął sobie palcami nos i naśladując komunikat z automatu, oznajmił:

– Czekamy na adwokata... Czekamy na adwokata...

Rozbawił ją tym. Rozejrzała się po pomieszczeniu. To był typowy policyjny pokój, w którym bezdusznosc wystroju ściagała się o lepsze z praktycyzmem. Sprzątaczkę uwielbiają takie miejsca. Żadnych bibelotów, żadnego obłaskawiania przestrzeni prywatnością. Jedynym ludzkim akcentem był ten stary telefon z lat dziewięćdziesiątych. Drugim takim swojskim akcentem mógł być kalendarz na ścianie, gdyby jego bohaterami byli nie najemnicy z agencji, lecz prawdziwi policjanci z odstającymi uszami, pryszczami i uśmiechami domagającymi się częstszego nitkowania. W bocznej ścianie tkwiło pokaźne lustro. Agnieszka domyśliła się, że weneckie. Zobaczyła w nim swoje oczy demona. Mimo użycia kropli, jakie jeszcze w radiowozie dostała od policjantki, wciąż były czerwone. Jakby do zakraplacza ktoś nalał krwi zamiast leku.

Wskazała palcem na kalendarz.

– Pańscy koledzy?

Komisarz powędrował spojrzeniem za jej palcem.

– Te cioty?! Czy ja wyglądam jak ktoś taki? – prychnął z pogardą, przęcając się na krześle i wykładając łokcie na blat. Pierś urosła mu nagle jak gorylowi przed atakiem, a bicepsom w rękawach letniego munduru zrobiło się za ciasno. Owszem, wyglądał jak ktoś taki.

Kropka w kropkę, pomyślała. Striptizer w mundurze. W portfelu karnet multisport, a w torbie z ortalionu plastikowe pojemniki z paszą dla kulturystów – białko z węglowodanami w precyzyjnie odmierzonych proporcjach. Jedno pudełko co trzy i pół godziny. I dwanaście szklanek wody dziennie.

– Przecież to lalunie z agencji – wyjaśnił Brynecki. – Promocja zamówiła te

kalendarze dla wszystkich jednostek.

– I mam nie pytać, do syna którego ministra należy ta agencja?

Brynecki posłał w stronę weneckiego lustra spojrzenie pełne popłochu, co tylko utwierdziło ją w celności swego żartu, po czym strosząc brwi na srogość, zapytał:

– Pani jest dziennikarką, że podpytuje o takie szczegóły? – Słowo „dziennikarka” zabrzmiało w jego ustach jak „ prostytutka”.

– Uczę dziennikarstwa na uniwerku – wyjaśniła. – Dla chleba.

– A nie dla chleba?

– Szefuję polskiemu oddziałowi Legal Heart – odpowiedziała, a widząc dezorientację na jego twarzy, dodała: – Taka światowa organizacja. Zwalczamy handel ludzkimi organami.

– Świaaaatoowaaa – Policjant przeciągnął samogłoski, był wyraźnie pod wrażeniem tego, co usłyszał.

– Z centralą w Nowym Jorku – dopowiedziała i doczekała się gwizdu uznania, w którym nie było ani jednej nuty ironii, choć kilka nut zawiści, i owszem.

Chwila milczenia zrobiła dobrze obojgu.

– A czy ten film... – Agnieszka wskazała palcem na laptop. – Czy on biega już w sieci, panie inspektorze?

Brynecki przewrócił zabawnie oczami i zapewnił gorliwie, a nawet jakby z lekką odrazą, że w żadnym wypadku nie jest inspektorem.

– Jestem komisarzem. Przedstawiłem się wraz ze stopniem. Nie pamięta pani? – zapytał z wyrzutem i nie czekając na odpowiedź, spojrzął na zegarek, a potem na ortalionową torbę na wieszaku. Miałby tam pojemniki z jedzeniem dla kulturystów?

Nie znosiła, gdy studenci wyjmowali te pudełka na zajęciach i pojadali ukradkiem spod ławek. Kiedyś jednemu z jedzących powiedziała w złości, żeby się nie ograniczał, więc jak chce, może sobie nawet pierdnąć po posiłku. Karczysty szpenio odszczeknął z urazą, że nie pozwoli się obrażać i zaczął chodzić na zajęcia z włączonym dyktafonem.

– A który jest wyżej?

– Wyżej czego? – zapytał zaskoczony komisarz. – I wyżej kto?

– Wyżej w hierarchii. Która szarża wyższa? – Ręce Agnieszki wyprostowały się i wykonały pantomimę, jakby porównywała w powietrzu wzrost dwóch osób.

– Inspektor. – Brynecki wymówił to tak, jak wymawia się imię wroga. – Ale dziękuję za awansowanie mnie. Może dzięki pani pójde w górę, pani profesor. – Uniósł się i skłonił teatralnie niczym przedwojenny aktor. – Jak mi się uda rozwikłać zagadkę zawartości słoika – dodał i zachichotał.

– Doktor – poprawiła go. – Do habilitacji jeszcze daleko... A w słoiku mówiłam, co było. Dlaczego pan nie wierzy?

– Ktoś by uwierzył?

Mierzyli się wzrokiem. Teraz Agnieszka dokonywała rozbioru estetycznego twarzy komisarza, porównując ją do twarzy swojego chłopaka. Policjant przegrywał o kilka długości. Niby ładny, ale nie do końca. Grecki bóg, ale tylko od głowy w dół. No, może za wyjątkiem zębów, na które albo musiał wydać majątek, albo je dostał w darze od losu, choć nie wiadomo, za co. Lecz gdyby zarzucił sport, gdyby zamienił mundur na tiszert i szorty do kolan, gdyby się nieco roztył i zapuścił... Oczy jak renklody, nos jak trzos, dosadność czoła, niby wysokiego, ale jednak ciut za bardzo. To wszystko osadzone na za krótkiej z kolei szyi. Chłopskim genom Mazowsza nie dają rady najlepsze nawet programy treningowe, najbardziej wyrafinowane diety i najdrożsi stołeczni fryzjerzy.

Agnieszka przyjęła tę konstatację z ulgą. Po pierwsze, sama uważała się za mało urodziwą, więc cudza uroda potrafiła ją czasem tremować, a nawet wpuścić w złość. Po drugie, pospolitość policjanta czyniła go bardziej ludzkim i przewidywalnym, więc łatwiejszym do rozmowy, a ta zapowiadała się na długą. Poczula znużenie. Adrenalina ustąpiła w jej żyłach miejsca czemuś, co było zapewne bardzo skomplikowanym związkiem chemicznym, lecz co organizm odczuwał jako płynny ołów, tyle że nie gorący, ale zimny, za to tak samo ciężki.

Policjant przytknął swój wypielęgowany palec do szyi, co wyglądało tak, jakby sobie nim zatykał dziurę w gardle. Dopiero po chwili Agnieszka zorientowała się, że mężczyzna wskazuje miejsce, w którym ona nosi tatuaż.

– Też chodzę na Legię – powiedział i zamrugnął porozumiewawczo. – Żyleta?

– Ale ja nie chodzę. Nie znoszę piłki. Jaka żyleta?

– Żyleta. Sektor ultrasów. Kiboli twardzieli. Gdy byłem na szkółce, obstawialiśmy ich. Hełm, tarcza, pała... Kilka raz nawet się ganialiśmy.

– Nie rozumiem. O co panu chodzi?

– O ten pani tatuaż. Polska Walcząca.

Teraz ona przytknęła palec do szyi.

– Ta kotwica? Pan myśli, że tylko kibole ją noszą?

– A nie?

– Skąd pan pochodzi?

– Z Sochaczewa.

Pokiwała głową, jakby chciała powiedzieć: „I wszystko jasne”.

– To na cześć prababci. Ze strony mamy. Była w powstaniu. Na Woli. Polali benzyną, podpalili...

– Zginęła?

– Ależ skąd! Wstała, ugasiła się i pobięła półmaraton! – Zajrzała mu w oczy, jakby szukała w nich dowodów na głupotę lub cynizm.

– Przepraszam – wydukał.

Machnęła dłonią na znak, że mu odpuszcza, znów wycelowała palcem w laptop. – Pytałam, czy ten film biega już w sieci...

– Film? – bąknął komisarz. – Film jest od straży miejskiej, więc nie rękę za dyskrecję. Oni lubią karmić pismaków świeżym mięsem.

– Nomen omen – skwitowała.

Spojrzał na nią pytająco.

– Słoik... Zawartość słoika. Mięso – wyjaśniła i w tym momencie telefon na biurku wydał z siebie kilka burknięć.

Brynecki słuchał głosu po drugiej stronie tak, jak się słucha automatycznej sekretarki: bez potakiwań, bez pytań. Gdy odłożył słuchawkę na widelki, spojrzał na Agnieszkę z popłochem i wyrzutem.

– Sekcyjni potwierdzają.

– A nie mówiłam? – Wzruszyła ramionami.

– Myślałem, że to żart. Prowokacja... – Pretensja w jego głosie narastała.

Uniosła się z krzesła, oparła mocno rękami o blat biurka i zajrzała w jego renklody, teraz jeszcze bardziej wyłupiaste, bo wzdęte przerażeniem.

– Wie pan co?

Nie odpowiedział, obezwładniony tym, co sobie nagle uświadomił. W jego głowie zaczęły się kotłować pytania, jakie będzie musiał zadać w związku z tym, co usłyszał przez telefon. Całe mnóstwo pytań, które Bóg wie, dokąd go zaprowadzą. Może znów do bramy zwątpienia, pod którą zdarzyło mu się wylądować w trakcie swojej pracy już kilkakrotnie. Ostatni raz wtedy, gdy policyjni nurkowie podnieśli z dna Wisły torbę z Biedronki z zapakowanym w nią dwumiesięcznym chłopczykiem.

– Wie pan co? Halo, komisarzu! – powtórzyła, przebijając się przez jego trwożę.

– Co?

– Pieprzyć adwokata! Tym bardziej, że to nie mój adwokat. Opowiem wszystko sama. A pan musi mnie wysłuchać.

– Ale przecież... – Próbował stawiać opór.

– Żadnego ale! Żadnego przecież! – Spojrzała na sufit i zakreśliła palcem w powietrzu. – Czy to, co tu mówimy, nagrywa się?

Komisarz skinął głową.

– To zaczynamy! – zawołała w stronę sufitu, po czym klasnęła w dłonie jak reżyser dający znak aktorom.

I zaczęła.

Rozdział trzeci

Dzień, do którego sięgnęła pamięcią Agnieszka Wyrwał, był meteorologicznie tak bardzo nijaki, że gdyby telewizyjni spece od pogodowej grafiki chcieli go zobrazować jakimś poręcznym emotikonem, długo głowiliby się, co ma on przedstawiać. Niebo zabetonowane na amen. Zdezorientowane strugi powietrza udające wiatr. Światło najgorszego sortu.

To był jeden z tych mdłych, nieosobliwych warszawskich dni, o których jej chłopak, Dżony, mawiał, że są do chuja niepodobne. Porównanie wyświechtane, choć poetyckie, dlatego Dżony lubił go używać nawet wtedy, gdy dawał wywiad do telewizji, radia, a nawet do tygodnika uważanego za katolicki, tyle że postępowy.

Ale to nie dlatego przestano o te wywiady u niego zabiegać, bynajmniej. Środowisko nie mogło ścierpieć kontekstu, który Dżony uwyrażniał i ozdabiał swoimi przekleństwami, więc z czasem z ciekawego autora modnych sztuk teatralnych został zdegradowany na oszołoma, chama i prawicowego prostaka. Zaczął tracić zamówienia, a gwoździem do medialnej i zawodowej trumny, w której złożyli go lewicujący dziennikarze, był happening, jaki w samej tylko opasce biodrowej urządził na chodniku przed redakcją Gazety Plebiscytowej. Show polegał na wychłostaniu się do krwi za podłości narodu polskiego, które publicyści Gazety wypominali rodakom od lat z zajadłością kaznodziei-neofity. Zaraz potem przy Dżonym pojawili dziennikarze strony prawej, sygnęły się nawet jakieś zamówienia na publicystykę, lecz on nie dbał już o udział w medialnej debacie, oświadczając na Twitterze, że na razie ma wszystko w dupie i robi sobie roczną przerwę od sztuki. Nie zrobił sobie jednak przerwy od jedzenia, przez co pozostawał na garnuszku Agnieszki.

I tego właśnie dnia bez wyrazu, który był do niczego niepodobny, oboje – Agnieszka i Dżony – stali pod warszawskim pięciogwiazdkowym hotelem, wznosząc pięści oraz gniewne hasła, z których „Mor-der-ca! Mor-der-ca!” było w użyciu najczęściej. Stanowili jądro kilkunastoosobowej pikiety uzbrojonej w wuwuzele, gwizdki i transparenty. Na kilku nabazgrano hasła: „Ludzina najtańsza w Chinach”, „Mięsny supermarket Azja”, „Nie sprzedawajcie ludzi na części!”. Na innych umieszczono zdjęcie nagiego trupa Azjaty pozszywanego w kilku miejscach niechlujnym grubym ścięciem. Paru demonstrantów popychało w tę i we w tę klatkę, w której bezgłośnie miotała się dziewczyna ubrana w więzienny drelch.

Nieopodał, w zwartym szyku, oskorupiony rynsztunkiem, na który składały się tarcze, hełmy, kamizele ochronne i nagolenniki, stał oddział policji i przebiegał nogami w oczekiwaniu na drakę.

Okrzyki, trąbienie i gwizdy demonstrantów ślizgały się po fasadzie hotelu jak wiatr po szkłe i nie mogąc wtargnąć do wnętrza budynku, odfruwaly od niego niczym zawiedzione ptaki. Dlatego człowiek, przeciwko któremu czyniono ten hałas, nawet go nie słyszał, i mógł w spokoju podejmować swojego gościa w apartamencie na ostatnim piętrze wieżowca.

Dwupokojowy penthouse był jednym z tych pomieszczeń hotelu, do których nie mają wstępu nie tylko zgiełk ulicy oraz najgorsze nawet warunki atmosferyczne, ale i wszelka plugawość tego świata, bo nawet ta największa i najbardziej wyrafinowana natychmiast rozpuszczała się w nieskończoności dobrego smaku i luksusu. Rozległy salon promieniował najwyższym standardem: egzotyczne drewno, jasna skóra, szkło, dzieła sztuki oraz minimalizm sygnowany nazwiskiem wziętego projektanta.

Harmonia i doskonałość, wiadomo, nie kolegują się ze złem, ale na wszelki wypadek – gdyby komuś nie wystarczył smak stylisty – z ratunkiem miał przyjść smak alkoholi, w jakie wyposażono barek w apartamencie. Rozwielmożniały się tu i nadymały najlepsze, najdroższe, najbardziej wyszukane butelki świata, pewne swej ceny oraz zasady, że przed alkoholem klęknie najtwardsze nawet sumienie. Albo chociaż przygnie kark.

Witold Niemcewicz zakręcił kielichem z kryształu i upijając solidny haust Meukow XO Felin, starał się usilnie nie myśleć, że być może uczestniczy w czymś podłym. Przy czym owo „być może” stanowiło w tym przypadku jego jedyne koło ratunkowe. Był tutaj gościem, na dodatek takim, który idealnie pasuje do otoczenia.

Przed sześćdziesiątką. Siwy, wysoki, dobrze ostrzyżony, czerstwy jak wojskowy suchar i stonowanie wykwinny. Zakodowany genetycznie na męskość. Ze swą zadbaną, dostojną twarzą mógł być ozdobą każdej uczelnianej rady wydziału, izby przemysłowej lub kolegium sędziowskiego. Na pierwszy rzut oka wyglądał kwitnąco i zdrowo, pod jednym wszakże warunkiem: że nie było to oko lekarza. Na przykład doświadczonego onkologa umiejącego dostrzec te akurat specyficzne cienie pod oczami, które znamionują kres. Albo biegłego kardiologa, potrafiącego odgadnąć wyrok wyłącznie na podstawie bladości lica.

Z kolei gospodarz, który podejmował Niemcewicza, był niski i pękaty jak koniakówka, którą pieścił w dłoni o palcach przypominających parówki dla dzieci. Miał skośne oczy i nosił jedną z tych kosztownych fryzur, które miliarderzy z Pekinu lub Szanghaju fundują sobie będąc przelotem w Paryżu, a które wyglądają jak karykatury fryzur Elvisa lub Liberace'a. Nosił pseudonim Chirurg, którego nie cierpiał, lecz mimo wpływów, jakimi dysponował w wielu kręgach, nie był w stanie nakazać Internetowi, aby przestał go tak nazywać.

W apartamencie przebywał jeszcze sekretarz Chirurga, po azjatycku wycofany i po azjatycku usłużny. Dobijał trzydziestki, był seksowny jak gej z azjatyckiego porno, miał w sobie drapieżność górskiego rysia i taką samą czujność. Łypał oczyma

to na szefa i jego gościa, to na smartfon, po którym zwinnie stepował palcami w poszukiwaniu informacji. Cała trójka siedziała w fotelach z beżowej skóry rozstawionych wokół szklanego stolika.

– Nie chcę, aby poczuł się pan urażony, panie doktorze. – Chirurg wskazał brodą na kieliszek w dłoni Niemcewicza. – Ale czy w pańskim stanie zdrowia...?

Mówił płynną, choć kanciastą angielszczyzną, tak charakterystyczną dla Azjatów i Arabów. Niemcewicz odpowiedział mu równie płynnie, lecz z dużo lepszym akcentem.

– Koniak dobrze robi na serce. Poza tym to dopiero trzeci kieliszek. – Uśmiechnął się i mrugnął okiem. – Proszę nie zapominać, że jest pan w Polsce.

Chirurg miał na sobie znakomity garnitur, ale Niemcewicz miał lepszy. Oba na pewno były godne swojej ceny, bo autentyczne. Prawdziwy był też Patek na przegubie Azjaty, choć drapieżne, tatarskie spojrzenie mężczyzny sugerowało, że coś takiego jak masowe podrabianie firmowych zegarków mieści się w zbiorze jego prawideł moralnych, a może nawet jest jednym z wielu źródeł utrzymania. Zegarka na przegubie Niemcewicza nie było widać, gdyż skrywał go wypuszczony z rękawa marynarki mankiet, który olśniewał bielą. Za to spinka w mankiecie nawiązywała do sztuki zegarmistrzowskiej: przedstawiała miniaturowy, misterny werk zegarka wykonany w złocie wysokiej próby.

Azjata zrewanżował się uśmiechem i niby chirurg proszący przy stole operacyjnym o kolejne narzędzie, wystawił dłoń, w którą jego asystent włożył natychmiast szykowny notes z długopisem zatkniętym za okładkę. Chirurg wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki stylowe okulary, rozłożył je zamaszystym strzepnięciem dłoni, jakby to była chusteczka, założył za uszy, otworzył notes i pochylił się nad kartkami.

– Cena obejmuje pobyt w klinice, przygotowanie do zabiegu, sam zabieg, nowy organ, rekonwalescencję. Plus koszty zapewniające anonimowość całego przedsięwzięcia. – Podniósł głowę i posłał Niemcewiczowi uśmiech spryciarza. – Czasem musimy kogoś przekupić. Będzie pan przebywał na terenie naszego kraju całkiem anonimowo. Rozumiem, że przyleci pan swoim samolotem?

Niemcewicz odpowiedział, że nie ma i nigdy nie miał samolotu, czym wywołał lekką konsternację Azjaty.

– Przecież pana stać, panie doktorze.

– Ale nie mam.

Chirurg posłał mu ciekawskie spojrzenie znad okularów. Mimo, że przywykł do ekstrawagancji bogaczy jak krupier do napiwków, niektóre ich kaprysy naprawdę go zdumiewały.

– Trzydziesty czwarty na liście najbogatszych Polaków i nie ma samolotu?

– Dopiero trzydziesty czwarty? – Niemcewicz roześmiał się, udając zaskoczenie. – Nawet nie wiedziałem... A niedawno byłem dwudziesty dziewiąty. Wychodzi na to, że zbiedniałem. – Zmienił ton na jeszcze bardziej zabawny. – Co, oczywiście, nie znaczy, że panu nie zapłacę.

Chirurg eksplodował kilkusekundowym śmiechem, nie przestając sondować Niemcewicza spod przymrużonych oczu. Asystent wciąż bawił się telefonem.

– Ale zanim zapłacę – ton Niemcewicza stał się rzeczowy – chciałbym ustalić coś ważnego.

Spojrzenie Azjaty nabrało czujności.

– Bo chciałbym móc uwierzyć – dodał Polak i wyjął z kieszeni ajfon.

Obudził go delikatnym stuknięciem w ekran, jakby witał się z żywym zwierzęciem, kieszonkowym chomikiem, świnką morską, gekonem albo czymś takim; były w tym geście: sympatia, szacunek, podziw. Gdyż mimo biegłości, z jaką od lat obsługiwał najnowsze i najdroższe urządzenia techno, wciąż nie mógł wyjść z podziwu nad ich zmyślnością, która wydawała mu się fenomenem przekraczającym ludzki umysł. „Doskonale pamiętam, jak studentem będąc, traciłem wiele godzin na poczcie przy Rynku, róg Świdnickiej, na telefoniczne połączenie z Wałbrzychem. I trudno mi dziś tak bez oporów pojąć, że do tego samego Wałbrzycha mogę teraz wysłać swoje zdjęcie z jachtu na środku Pacyfiku i ono tam doleci wraz z listem w dwie sekundy.” – powiedział kiedyś w jednym z wywiadów dla stylowej kolorówki, a redakcja uznała za stosowne wyróżnić to zdanie ozdobną powiększoną kursywą.

Sunąc placem po ekranie, jakby chciał się dogrzebać do jakiejś pilnej informacji skrytej pod warstwami odsłon, rzekł:

– Gdyż wiara bierze się z faktów, a fakty póki co są, jakie są...

A gdy Chirurg uniósł pytająco brwi i odchylił tułów, jakby chciał wyostrzyć sobie spojrzenie, Niemcewicz dopowiedział:

– Chciałbym po prostu wiedzieć, kim będzie dawca.

Azjata zatrzepotał niewinnie rzęsami.

– Kim w jakim sensie?

Niemcewicz stuknął ponownie w telefon, po czym posunął go po stoliku w stronę Chirurga.

– To portal The Washington Post. Niech pan czyta.

Chirurg sięgnął po telefon i wpatrzył się w ekran.

– Na głos – zażądał Niemcewicz, za co spotkało go pełne wyrzutu spojrzenie posłane znad okularów. Była to jednak jedyna forma oporu, na jaką zdobył się Azjata. Po chwili zaczął czytać:

– Rząd zabija też więźniów sumienia. Giną chrześcijanie, a także wyznawcy

nieuznawanego przez władze tak zwanego kościoła domowego i członkowie ruchu Falun Gong. Trzyma się ich w obozach i bada regularnie, by sprawdzić jakość organów. Niektórzy po pobraniu kilku narządów żyją jeszcze, gdy są wrzucani do pieca w krematorium...

Chirurg zamilkł, westchnął ciężko, po czym posunął telefon na powrót w stronę Polaka. Ten nawet nie spojrział na urządzenie, wbiwszy wzrok w rozmówcę. Chwila ciszy, jaka zapadła, trwała nieskończone trzy sekundy.

– Chyba rozumiem... – Chirurg zaczął pocierać swoje doskonale ogolone policzki.
– Wy, Polacy, chrześcijanie... Katolicy... – Spojrział na nieobecnego duchem asystenta, jakby oczekiwał od niego pomocy. – Kościół... Papież.... Rozumiem. Znajdziemy panu muzułmanina...

– A zatem nic pan nie rozumie! – przerwał mu gniewnie Niemcewicz. – Ja nie chcę, żeby kogoś dla mnie zamordowano. Kogokolwiek. Ko... go... kol... wiek... Rozumie pan?

– Doskonale rozumiem! – odpyskował Azjata, który w obliczu konfrontacji natychmiast odzyskał rezon wojownika. To była jego prawdziwa natura, w takiej skórze czuł się najlepiej. – Doskonale rozumiem i właściwie powinienem się na pana obrazić. I natychmiast zakończyć tę rozmowę. – Uniósł podbródek, oczekując przeprosin.

Nie doczekał się, gdyż jego asystent, wpatrzony dotąd w swój telefon, drgnął, czymś zaintrygowany, po czym podsunął pod nos szefa ekran, rozedrgany od ruchu i kolorów. Niemcewicz mógł zobaczyć ze swojego fotela, jak te same oczy, które przed chwilą zapłonęły gniewem, nagle rozszerzyły się w dziecięcym nieomal zdumieniu.

Chirurg warknął coś po mandaryńsku, na co asystent pokazał palcem na okno, a potem wycelował nim w dół. Obaj mężczyźni spojrzeli jednocześnie na przyklejony do ściany telewizor, cienki jak opłatek. Obaj wzrokiem zaczęli szukać pilota. Pierwszy dopadł go Chirurg i położył kciuk na czerwonym guziku. Mimo, że sceny sprzed hotelu nie miały prawa wedrzeć się do apartamentu w sposób bezpośredni, to właśnie wdarły się za pośrednictwem telewizji.

Telewizor wyświetlił im demonstrację która kotłowała się przed hotelem i ozdobił ją dźwiękiem: gwizdy, okrzyki, jazgot wuwuzeli.

– Dlaczego to oglądamy? – spytał zdumiony Niemcewicz.

– Bo to się dzieje na dole – rzucił asystent, nie odrywając wzroku od ekranu, który w pewnym momencie w całości wypełniła postać dziewczyny z wytatuowaną na szyi kotwicą Polski Walczącej. Tokowała do mikrofonu ozdobionego kostką z logo TVP Info:

– W tym hotelu zatrzymał się ważny chiński biznesmen. Nasz rząd przyjmuje go

jak dyplomatę, ale jego biznesy to tylko przykrywka. Ten człowiek to mózg azjatyckiego czarnego rynku narządów. Ludzkich narządów! Jego pseudonim to Chirurg i mam nadzieję, że widzi nas teraz z okna! – Kobieta uniosła głowę i wystawiła w stronę hotelu środkowy palec.

Kamerzysta kucnął i zrobił zbliżenie. Z żabiej perspektywy protestująca wyglądała jak statua wolności, która co prawda zgubiła gdzieś swoją pochodnię, ale nie poczucie spraw ważnych. Obok niej, niczym hipsterski bodyguard, pojawił się wysoki chudzielec z rudą czupryną, ubrany był w wojskową kurtkę, a wokół szyi owinął peruwiańską chustę. Dołem ekranu sunęły dziarsko paski z informacjami, niczym bojowe chorągiewki łopocące przy ułańskich lancach.

Niemcewicz wpatrywał się w parę jak zauroczony.

– Co ona powiedziała?! – Chirurg skierował te słowa do Niemcewicza, ale pojąwszy nietakt żądania, przeniósł wzrok na asystenta. Celował palcem w ekran, jakby chciał rozstrzelać nim pyskatą demonstrantkę.

Asystent znał język polski, gdyż nauczył się go na studenckich stypendiach sponsorowanych przez Instytutu Konfucjusza. Pokornie i pośpiesznie przetłumaczył swemu panu, co usłyszał.

Chirurg wystartował z fotela jak bokser z narożnika. Z wyprężonym środkowym palcem prawej dłoni rzucił się w stronę ekranu i podsunął go pod sam nos dziewczyny. Było to żalosne, smarkate, filmowe i w jednej chwili mogło pogruchotać wizerunek poważnego biznesmena, za którego pragnął uchodzić i jakim w istocie był, jeśli brać pod uwagę jego dochody, możliwości i wpływy, zwłaszcza te niejawne.

Niemcewicz skrzywił się z niesmakiem. Przez ułamek sekundy odczuł wyższość kultury i rasy, z której się wywodził, po czym natychmiast skarcił się za to w myślach. Powodowany jednak nie polityczną poprawnością, którą pogardzał, a wyłącznie pokorą, jakiej nabył podczas urlopów kontemplacyjnych u benedyktynów. Całym sercem był po stronie dziewczyny z telewizora. Ona tymczasem ciągnęła swe oskarżenia:

– Co miesiąc w Azji zabija się tysiące niewinnych, zdrowych ludzi, żeby wyciąć im serce, wątrobę, nerki lub rogówkę! Więźniowie sumienia są hodowani na części zamienne...

Chirurg spojrzał pytająco na asystenta, a ten znów przetłumaczył. Azjata zmarszczył brwi, po czym opadł na fotel i wsłuchując się w niezrozumiałe dla siebie okrzyki, czynił wszystko, aby złapać kontakt wzrokowy z Niemcewiczem. Gdy mu się to udało, zapytał po angielsku:

– Pan, oczywiście, w to nie wierzy, doktorze?

Niemcewicz wrzucił ramionami i wbił wzrok w dno pustej szklanki. Przymknął jedno oko, jakby grube denko z kryształu było szkłem powiększającym do

wyszukiwania rys na parkiecie z mahoniu, których i tak nie miało tu prawa być.

– To jakieś koszmarnie nieporozumienie. Totalne kłamstwa – ciągnął Azjata, a gdy wypowiadał te słowa, nie drgnęła mu nawet powieka. Ani prawa, ani lewa, obie wytrenowane na specjalnych kursach kłamania. – Ci aktywiści opłacani są przez... – Nie dokończył, bo Niemcewicz uciszył go ręką, zaintrygowany tym, co zaczęło się dziać na ekranie.

Oto zwarty szyk policjantów ruszył do ataku na demonstrantów, którzy jednak nie rozpierchli się, lecz zbili w gromadę. Na ich czele wciąż stała dziewczyna z tatuażem na szyi, wyprostowana, dumna, z uniesioną do góry pięścią. Całe ramię miała wytatuowane i wyglądała jak współczesna, stylowa, wielkowiejska Wolność wiodąca lud na barykady. Swego czasu Niemcewicz miał okazję kontemplować oryginał w Luwrze.

Doszło do zwarcia, w którym demonstranci nie mieli najmniejszych szans, choć niektórzy z nich podjęli walkę. Kotłowanina, ciosy, kopniaki. Szło na ostro. Jeden z policjantów padł na ziemię niby ścięty kosą. Mundur innego oblał się krwią. Po bruku potoczył się kask.

Po chwili funkcjonariusze zaczęli wyszarpywać z tłumu co bardziej popędliwych wojowników. Odnosili ich – za ręce, za nogi – do radiowozów. Dziewczyna z tatuażem na szyi miotła się w mocarnych dłoniach oddziału specjalnego niczym ranna puma, ale i tak zapakowano ją do budy furgonu. Jej rudowłosego towarzysza został powalony na chodnik, przeciągnięty za nogę jak wołowa ćwierćtusza i też wrzucony do suki. Drzwi auta zatrzasnęły się, a jeden z policjantów wyciągnął w stronę kamerzysty dłoń w geście „nie filmować”. Zbliżenie wnętrza jego rękawicy wypełniło ekran, który na moment pokrył się czernią.

– Panowie wybaczą! – krzyknął Niemcewicz do Azjatów i porwawszy ze stolika swój telefon, ruszył szybkim krokiem w stronę drzwi do sypialni. Gdy je za sobą zatrzasnął, przybysze spojrzeli po sobie wymownie, po czym asystent Chirurga zgasił telewizor, kocim krokiem zbliżył się do drzwi i przyłożył do nich ucho.

Rozdział czwarty

Ajfon leżący na krześle z białego plastiku, ustawionym tuż przy korcie, wydał z siebie pierwsze takty requiem Lacrimosa, a wtedy młoda zgrabna kobieta w szortach i koszulce na ramiączkach rozmyślnie nie odbiła lecącej w jej kierunku łatwej piłki.

– Mozart – powiedziała ze złością, opuszczając raketę. – I po meczu.

Była wysferzona. Ponadto wysoka, muskularna, opalona, doskonale świadoma swego ciała i dumna z niego. Gdyby ludzie posiadali rodowody, ona nosiłaby swój w foliowanej zawieszce na szyi.

– Niemcewicz – dopowiedział jej partner zza siatki i zabrzmiało to jak napomnienie.

– Wiem, że Niemcewicz! – odpyskowała, bo oprócz tego, że był jej partnerem do tenisa, to od miesiąca także życiowym. – Niemcewicz gra Mozarta. – Zaśmiała się, ale on nie podzielił jej rozbawienia. – Musisz odbierać?

Nie odpowiedział, tylko popatrzył na nią jak na wariatkę.

– Głupie pytanie. Widomo, że musisz – odpowiedziała sama sobie.

Patrzyła, jak jego zwalista postać sunie skwapliwie w stronę dzwoniącego telefonu, mając za tło trybunę kortu, na której widniał ułożony z krzesełek napis „Legia”. Jej facet miał prawie dwa metry, ręce długie jak u małpy, głowę ostrzyżoną na wojskowego jeża, co jakoś tam maskowało łysienie, i odstające uszy. Gdy się poznali, irytowała ją jego słoniowata niezgrabność, która tak często wyróżnia osoby o okazałym wzroście i wadze, a która jeszcze częściej okazuje się być tylko pozorem. Tak było i w tym przypadku, gdyż na korcie i w łóżku poczynił sobie znakomicie: dysponował klasycznej urody backhendem, a ciało jak z budyniu skrywało całkiem sprawnego i wytrwałego samca. Ponadto jego dwa metry miały dla niej jeszcze i ten urok nowości, że po raz pierwszy od czasów liceum patrzyła na swojego kochanka z dołu, co w jej oczach czyniło ją bardziej kobietą, uległą, kruchą. Jakkolwiek to brzmiało przy jej 185 centymetrach i posturze siatkarki, czuła się przy nim jak pisklę i całkiem ją to psychicznie satysfakcjonowało. A ilekroć mówił do niej „malutka”, tylekroć gotowa była dogodzić mu po francusku bez względu na okoliczności.

I tylko czasem to wynikające z nadmiaru ciała niezgulstwo objawiało się w sali sądowej, gdzie rozgrany retorycznym popisem, machając swymi długaczynymi rękami, strącał z pulpitu mowę obrońcą, którą i tak zresztą znał na pamięć, lub w studiach radiowych, gdzie w trakcie pojedynków na słowa – z dziennikarzem albo politykiem – zdarzało mu się uderzyć zniecka paluchami w mikrofon i zrzucić go ze statywu. Na antenie brzmiało to jak wybuch i powodowało grymasy realizatora za

szybą, lecz redaktor prowadzący i tak obracał wszystko w żart. Z wieloma z tych redaktorów był zresztą po imieniu, z większością pił wódkę, a przynajmniej zjadł choć jeden lunch.

Patrzyła, jak otarł pot z czoła ramieniem, w którym dzierżył raketę Wilsona, najbardziej popularnej marki wśród TOP 20 światowych tenisistów. Był to model Pro Staff 6.1 90 BLX, ten sam, którego używa Roger Federer, co jej mężczyzna lubił podkreślać niby od niechcienia w stylowych knajpach Woli i Mokotowa podczas kolacyjek, o których nigdy nie było wiadomo, czy były towarzyskie, czy służbowe, zwłaszcza kiedy spożywano je w towarzystwie ministrów – byłych, obecnych albo przyszłych.

Podszedł do krzesła i sięgnął po ajfon, który też był nie od macochy.

– Dzień dobry, panie doktorze, tu Stern, słucham... Nie, nie przeszkadza pan, doktorze, absolutnie... Oczywiście, że mogę rozmawiać... Proszę mówić... – meldował do telefonu, patrząc, jak jego partnerka bezgłośnie małpuje te uprzejmości, strojąc miny i przykładając do ucha dłoń z odgiętymi kciukiem i małym palcem, co miało imitować słuchawkę. Obrócił się do niej plecami.

– Gdzie pokazywali?... Na TVP Info?... Zaraz wejdę na ich portal i sobie obejrzę... – Jego głos utrzymywał się przez cały czas w tej samej profesjonalnej tonacji. – Oczywiście, że wiem, co robić... Tak, zamelduję panu... Tak, zrozumiałem... Tak, bezzwłocznie...

Wyłączył telefon i cisnął go do tenisowej torby, jakby odrzucał nóż, którym właśnie się skaleczył. Torba miała na boku napis: Wilson.

Usiadł na krześle – naburmuszony – i zaczął rozwiązywać sznurówki, a ona spytała:

– Co się znowu stało?

Zignorował pytanie, zdjął białe skarpety, zrolował je w kulki i włożył do białych butów, także marki Wilson.

– Skarpety po treningu się pierze, panie mecenasie.

Nadal nie odpowiadał, nawet na nią nie patrzył. Teraz rozpinał guziki szortów z białego lnu.

Kobieta nie dawała za wygraną.

– Może jednak dokończymy mecz?

Znów spojrzał na nią jak na wariatkę.

– Oszalałaś?

– Niby dlaczego?

– Sądzisz, że on zadzwonił po to, żeby życzyć nam miłego grania? Nie usłyszałaś słowa „bezzwłocznie”?

– Usłyszałam, ale to ty je wypowiedziałeś, a nie on.

– A co to ma do rzeczy? – Przewrócił oczyma z irytacją.

– A to, że adwokaci lubią kłamać. Mówisz „bezzwłocznie”, po czym wracasz na kort, żeby w spokoju dokończyć mecz. – Uniosła palce jak uczeń, który zgłasza się do odpowiedzi. – Pragnę przypomnieć, że po raz pierwszy w życiu udało mi się zdobyć prowadzenie w meczu z tobą. Chciałabym zobaczyć, jak to się skończy.

To, że jednak nie zobaczy, uświadomiła sobie jeszcze w tej samej chwili, gdy on dłonią przypominającą szuflę do pieca na chleb uczynił przed jej twarzą znak stop, niczym energiczny policjant kierujący ruchem na skrzyżowaniu. Zbyt dobrze go już знаła, żeby nie wiedzieć, że teraz należy odpuścić. Odpuściła – na dziesięć sekund.

A gdy wsuwał raketę do futerału z napisem Wilson, znów zapytała:

– To prawda, co o nim mówią?

– O kim i co? – wycedził przez zęby.

– O Niemcewiczu. Że taki był... warszawski Casanova.

Uśmiechnął się pod nosem, jakby ten przydomek dotyczył jego samego.

– Facet balanga – mruknął. – Ha... ka... es...

– Ha, ka..., co?

– Hajs, koks, seks. Aktorki, sławne dziennikarki, modelki... Więcej miał w życiu kobiet niż ty zjadłaś kartofli.

– Nie jadam węglowodanów – zażartowała, udając blondynkę z reality show, po czym z satysfakcją zlustrowała swoje uda. Były umięśnione jak u konia.

– Ale to stare dzieje – odezwał się mecenas. – To było, zanim się nawrócił. Teraz tylko kościół, mądre książki, medytacje po klasztorach. No i ta jego choroba. Facet siedzi na bombie.

– To dlatego to requiem Mozarta w komórce, gdy on dzwoni?

– Że niby msza żałobna?

– No.

Spojrzał na nią z podziwem.

– A ty skąd znasz Lacrimosę?

– Pamiętaj, że śpiewałam w chórze kościelnym.

– On też śpiewa. W jakiejś wsi pod Warszawą, zapomniałem nazwy. Ufundował tam nawet organy. Proboszcz zeszczął się ze szczęścia. Kosztowały tyle co trzy mercedesy.

– Jak ja kocham te wasze adwokackie przeliczniki. Tyle co nowy dżip, tyle co dwie kawalerki, tyle co tydzień na Jamajce... – wyliczała, parodiując męski głos. Nagle zamilkła, a potem powiedziała ze smutkiem: – On to pisał na łożu śmierci.

– Niemcewicz? Co ty bredzisz? – Teraz wciskał się w rurkowane spodnie w kolorze słonecznika.

– Mozart – odpowiedziała ze wzrokiem utkwionym w przeszłość. – Pisał requiem na łożu śmierci. Przy próbie śpiewanej w jego sypialni popłakał się już przy pierwszych taktach Lacrimosy. Odłożył partyturę, a za kilka godzin zmarł. Dzieło pozostało rękopisem niedokończonym.

– Jestem, kurwa, pod wrażeniem! Okazuje się, że chadzam do łóżka z Wikipedią.

Nie obraziła się. Wiedziała, że więcej w tym pozy niż chamstwa. Czasem lubili przy sobie poprzeklinać, byle nie w nadmiarze. „To dodaje naszym relacjom dosadności” – wytłumaczył, gdy po raz pierwszy nazwał ją jebaną suczą, co stało się na cztery sekundy przed orgazmem. Wybaczyła mu tym łatwiej, że był to jej pierwszy od miesiący orgazm wyzwolony nie przez własne palce.

Siedział już na krześle, ubrany, a ona zajrzała mu przez ramię, aby sprawdzić, co wyklikał sobie właśnie na ajfonie. Zobaczyła logo stacji telewizyjnej i demonstrantów szarpiących się z policją. Dźwięk był wyłączony.

– Co to? – spytała, lecz nie odpowiedział. Policzyła w myślach do pięciu.

– Na innych ważnych klientów też masz specjalne dzwonki?

Jego westchnienie pobrzmiwało gniewem. Odpowiedział znad ekranu:

– Mam jeden standardowy dla wszystkich. Nawet dla ciebie. Tylko Niemcewicz dzwoni Mozartem. Sam mi przysłał ten dzwonek. Panie mecenasie, to mój ulubiony utwór, pan oznaczy nim mój numer telefonu... Dlaczego się, do cholery, nie przebierasz?

Nawet nie drgnęła. Gdy odłożył telefon, odezwała się głosem zabarwionym ironią:

– Money.

– Money? – spytał, nie podnosząc na nią wzroku.

– Powinieneś sobie ustawić dzwonek od niego na Money. Ta.. dat.. ta.. da...da... da.... – zanuciła początek znanego utworu.

– Ta...dat... ta... da...da...da... – podchwycił z nostalgią. – Wychowałem się na Pink Floydach. Ta...dat...ta...da... – Zamilkł, bo właśnie uświadomił sobie przytyk. Późno jak na tak wziętego adwokata. – Money to powinienem raczej przypisać do twojego numeru – skontrował.

– Ha, ha, ha... – zamarkowała śmiech głosem z drewna, po czym spojrzała na swoją raketę firmy Babolat. Taką samą jaką walczą na kortach świata siostry Radwańskie. I na pewno nie tańszą. Zanim obmyśliła jadowitą ripostę, usłyszała jego gniewny głos:

– Przebieraj się, kobieto! Do kurwy nędzy!

– Przebiorę się! Do kurwy nędzy! Ale powiedz mi coś.

– Co? – przewrócił oczami jak przy dziecku, które zadaje po raz piąty to samo pytanie.

– Dlaczego on szuka sobie serca w Chinach?

Stern aż podskoczył.

– To ja ci o tym powiedziałem?!

– To nie pamiętasz? – Zajrzała mu w oczy, aby sprawdzić, czy nie blefuje. Nie blefował. – Rzeczywiście, dużo wtedy wypięś. Mów.

– Szuka sobie serca w Chinach, bo jego stare już ledwo zipie.

– Jezu, czy ja wyglądam na kretynkę? Nie dlaczego szuka, tylko dlaczego w Chinach.

– Bo w Polsce na nowe czeka się nawet rok. Kolejka jak w pe-er-elu za schabem.

Sięgnął do torby i rzucił w jej stronę zwiniętą w rulon gazetę. Zgrabnie złapała ją w locie, rozwinęła, to była Rzeczpospolita.

– Czytaj – rozkazał. – Na pierwszej stronie.

– Zapaść w transplantologii – przeczytała posłusznie tytuł, podniosła oczy, a on zakreślił palcem na znak, żeby czytała dalej.

– W Polsce tylko sto osób rocznie ma szansę na nowe serce, ponieważ szpitalom zwyczajnie nie opłaca się zgłaszać dawców. W ubiegłym roku nasi lekarze przeszczepili tylko sto jeden serc. To bardzo mało. Na jego przeszczep czeka obecnie ponad pół tysiąca osób. – Podniosła oczy znad gazety. – Ale przecież z jego pozycją nie czekałby nawet tygodnia.

– Właśnie dlatego nie chce – odparował Stern. – Bo zdaje sobie sprawę, że przez niego ktoś wyleciałby z kolejki.

Wzruszyła ramionami z lekceważeniem, jak ktoś, kto swój wyjątkowy status społeczny i majątkowy uznaje za naturalny stan rzeczy.

– Z jego pozycją mógłby to załatwić tak, żeby nikt się nie dowiedział.

– Zawsze ktoś by się jednak dowiedział.

– Kto? – dociskała. – Dziennikarze? Niemcewicz boi się jazgotu mediów?

Mecenas Joachim Stern wycelował palcem w sufit hali.

– On by się dowiedział. I nie o jazgot mediów chodzi, ale o jazgot sumienia. Mówiłem ci, to teraz zupełnie inny człowiek. – Stern podszedł do swojej towarzyszki i klepnął ją mocno w pośladek. – No idź się już przebierać, kochanie.

Rozdział piąty

Niemcewicz wyszedł z sypialni hotelowego apartamentu i usiadł na powrót w fotelu, za nic nie przeprasząc, ani z niczego się nie tłumacząc. Jakby był tu gospodarzem, a nie gościem, który bez pytania naruszył prywatną przestrzeń, i jakby fakt, że zobaczył porzucone na wielkim łożu gumowe dildo oraz skórzane majtki z zamkiem błyskawicznym, nie był nagłym wtargnięciem w cudzą intymność. „Tylko czy rzeczywiście zobaczył?” – zastanawiali się usilnie dwaj Azjaci, każdy z osobna i każdy w lekkim zawstydzeniu. Przyczajeni jak koty na polowaniu, czekali na ciąg dalszy.

Z uśmiechem profesjonalnego negocjatora Niemcewicz spytał, na czym skończyli.

– Na pana braku zaufania do mnie – odpowiedział Chirurg. – Więc sobie coś wyjaśnijmy. Raz na zawsze. – Uniósł palec jak belfer. – Zapewniałem pana już na wstępie, że moja firma nie ma z rządem nic wspólnego. Ja już dla rządu nie pracuję. – Ostatnie zdanie wypowiedział z naciskiem. – Nasza organizacja korzysta z narządów, które dawcy sprzedali jeszcze za swego życia, na ogół za dobre pieniądze, które pozwolą ich rodzinom urządzać się jakoś po ich śmierci. A sprzedali je nam, wiedząc, że niebawem umrą. Układ jest uczciwy.

– To nie tylko nieuleczalnie chorzy?

– Także mordercy, których skazano na śmierć. Ale to przecież już pan wie. I chyba nawet pan zaakceptował? Czyż nie? – Chirurg złożył swoje okulary za trzy tysiące dolarów i wpatrywał się bacznie w Niemcewicza. Nawet jakby z lekką pretensją.

Niemcewicz nie odpowiedział od razu. Ujął swój pusty kieliszek i władczo wyciągnął dłoń w stronę asystenta Azjaty. Ten rzucił się w stronę barku po butelkę i z gracją absolwenta szwajcarskiej szkoły kelnerów napełnił szkło. Polak uniósł naczynie tak, jakby chciał wznieść toast, na przykład za udany interes. Chirurg natychmiast pokraśniał, złapał za swoją koniakówkę i krzyknął polszczyzną doprawioną soją:

– Na zdhowi!

Lecz wtedy Niemcewicz pokręcił przecząco głową. Kieliszki zawisły w powietrzu jak dwa drapieżne ptaki oceniające się wzajemnie, czy warto dążyć do konfrontacji.

– Najpierw musi mi pan obiecać, że nikt nie zostanie z mojego powodu... – Tylko chwilę zajęło Niemcewiczowi odnalezienie w swej podręcznej pamięci rozbudowanego synonimu słowa, które zatrzymał w gardle, gdyż obawiał się na powrót rozdrażnić Azjatę. – That nobody's life will be taken away.

„Że nikt nie zostanie pozbawiony życia”. Choć te słowa wybrzmiały parszywie, to jednak dużo lepiej niż pięć sekund wcześniej mogło wybrzmieć słowo „murdered”.

Chirurg z prawą dłonią wciąż wyciągniętą do ugody i zbrojną w kieliszek, położył sobie lewą na sercu. Skinął głową, złożył brodę na piersi i przymknął powieki w geście lojalności. A wtedy usłyszał, jak nareszcie stuknęło szkło. I tylko bardzo wytrawny stroiciel instrumentów wyłowiłby w tym dźwięku fałszywą nutę.

Gdy kosztowny trunek został przetransportowany krwią do mózgu, zamieniając się tam w chwilową pogodę ducha, Chirurg odezwał się z wystudiowaną grzecznością:

– Czy mogę o coś zapytać?

Niemcewicz skinął głową.

– Ludzie zwracają się do pana per doktor. A przecież nie jest pan lekarzem.

– Tak jak pan nie jest chirurgiem, a wszyscy tak pana nazywają – odparł Niemcewicz.

Chirurg skrzywił usta.

– Nie lubię tego przydomka. Wolę swój dawny stopień. Ten lubię.

– Stopień? – spytał Niemcewicz z nieudawaną ciekawością. – Naukowy?

– Służbowy – odparł Chirurg, a dzwoneczki dumy zabrzęczały mu w gardle.

– Armia? – rzucił Niemcewicz, ale tamten zaprzeczył głową, kładąc sobie palec na ustach.

– Major?

Chirurg uśmiechnął się lekceważąco. Przymknął dobrotliwie oczy. Niemcewicz próbował dalej.

– Pułkownik?

– Generał. – Azjata spuścił oczy w fałszywym geście skromności i dodał głosem, w którym pobrzmiwała kategoryczność: – Ale niech pan nie pyta o szczegóły.

Niemcewicz zrobił gest, jakby zamykał sobie usta zamkiem błyskawicznym. Ale nie zamknął przecież wyobraźni. Już wiedział, dlaczego Azjata, mimo całej swej mentalnej obcości, wydał mu się taki swojski. Znał doskonale ten typ: stary mundurowy sort odesłany do cywila; nieprzydatny już państwu, a nawet mu obrzydliwy, lecz nadal we własnym mniemaniu krzepki i dziarski. W mig odczytujący między wierszami życia nieodwracalność dziejowych procesów, lecz wciąż przecież rojący o dawnej koniunkturze.

Nieomylnie identyfikował okazy tego gatunku w swoim ulubionym barze na Chłodnej, dokąd zwabiały go kopytka w sosie pieczarkowym, śliwowica łącka, kompot z wiśniami, a przede wszystkim autentyzm lokalu, w którym nic niczego nie udawało. Stara firanka w oknie była nią naprawdę, szczerba w widelcu stanowiła efekt beztroski, a nie stylizacji, natomiast zachłanny na przestrzeń fikus, zaczepiający

swymi odroślami stołowników niczym rozdokazywany pijaczyna, wziął się tam nie z konceptu rozchwytywanego kreatora wewnątrz, lecz dlatego, że w mieszkaniu właściciela zajmował zbyt dużo miejsca, a szkoda go było wyrzucić. Niemcewicz starał się nie gwałcić profilu jadłodajni swymi garniturami milionera, dlatego zawsze kazał kierowcy stawiać jaguara za rogiem, po czym przebierał się w samochodzie w jakiś pocziwy sweter lub bluzę i szedł do baru pieszo.

Właściciel, pan Włodek, który i tak bezbłędnie rozpoznał Niemcewicza już podczas pierwszego obiadu, przyjmował go od tej pory jak króla w przebraniu. Mrugnięcie oka na przywitanie, a potem dyskretne nadskakiwanie. Miał wprawę, przez lata pomagał ojcu prowadzić stołówkę w sanatorium dla oficerów ministerstwa spraw wewnętrznych nad Bałtykiem i gdyby w porę zdał sobie sprawę z wiedzy, w jaką ludzi łębskich i spostrzegawczych wyposaża praca w takim środowisku, już dawno zrobiłby dyplom z psychologii i kasowałyby teraz 500 złotych za godzinę w swoim prywatnym gabinecie z grafiką Wilhelma Sasnala na ścianie. A tak w wieku dojrzałym gotował żurek dla byłych tajniaków w knajpie, gdzie na ścianie wisiało oprawione byle jak zdjęcia Kazimierza Deyny z orzełkiem na piersi oraz tabliczka z ostrzeżeniem o szkodliwości picia. Choć nic nie wskazywało na to, aby narzekał na swój los.

Uganiając się łyżką za jajkiem w żurku lub wydłubując widelcem ozór z galarety, byli oficerowie poczytywali Nie, Gazetę Wyborczą, Politykę, gapili się w telewizor na programy sportowe lub informacyjne i komentowali zdarzenia w ten jedyny niepowtarzalny sposób, w jaki potrafią to robić ci, którzy wiedzą o życiu trochę więcej niż cała reszta otaczającego ich pospólstwa. Nie mogli narzekać: jakieś udziały w firmach taxi lub ochronie, jakieś dywidendy z szemranych zysków, jakiś czynsz od metrażu kupionego przed laty za grosze dzięki układom, jakieś prowizje, którymi pokrzepiali resortowe emerytury, do niedawna tłuste, lecz teraz mocno odchudzone przez nową władzę.

Ale to wszystko była druga liga, niegodna nawet spojrzenia Chirurga, cóż dopiero jego dłuższej uwagi. On, gdyby zamieszkał w Polsce, z pewnością dobrze by się czuł w którejś z mokatowskich modnych restauracji, gdzie grzanka ze śledziem na przystawkę kosztowała tyle, za ile rodzina w Kambodży może przeżyć tydzień. To na co dzień, bo w niedzielę dobrze by Chirurgowi było na VIP-owskiej trybunie Legii. To tam siedziała prawdziwa polska pierwsza liga. Ludzie z lepszego mięsa.

Niemcewicz bywał swego czasu na Legii dosyć regularnie. Obserwował wtedy ten wystudiowany luz, te markowe dzinsy noszone do klubowych marynarek, te fulary z jedwabiu, którymi zastępowano oficjalność krawata, te ruchliwe dłonie zdobne w piekielnie drogie zegarki, sygnety i kosztowne telefony – nieomal przyrośnięte do ucha. Były prezydent, były premier, aktualny prezes znanego banku, właściciel telewizji, redaktor naczelny wpływowego tygodnika... A pośród nich ruchliwe szakale

pomniejszego płazu, robiące za łączników, pośredników, asystentów, biznesowych swatów, polewaczy wody.

Gdy nadchodziły chłody, towarzystwo zjawiało się na stadionie przy Łazienkowskiej w kurtkach pilotkach lub w kapotach z kapturami obwiedzionymi futerkiem na wzór eskimoski. Czuło się od nich dobrą whisky, dobrą wodę kolońską, dużą forszę i władzę, przy czym władza, której się pragnie roztacza woń o wiele bardziej intensywną niż władza, którą się już posiada. Łoża waźniaków, rezerwat męskich namiętności, pośród których futbol sytuował się dopiero gdzieś tak poza pierwszą trójką, mimo że wokół każdej szyi owinięty był czerwono-biało-zielony szalik Legii. Ale to był tylko znak wysłany w kierunku gorszych sektorów stadionu: „Jesteśmy tacy sami jak wy”. Jesteśmy tacy jak wy, choć tak naprawdę gardzimy wami i możecie nas pocałować w dupę.

Przestał przychodzić na trybunę VIP, gdy uświadomił sobie, że każde jego pojawienie się jest początkiem męczących zabiegów: stale ktoś pragnął być mu przedstawiony, a potem czegoś od niego chciał, coś mu proponował, wciskał pomysły i wizytówki. Po czasie Niemcewicz w ogóle zarzucił chodzenia na mecze, gdyż uznał, że Legia to drużyna przereklamowana, banalna i nudna. Dużo ciekawsi byli jej kibice. Dlatego nawet gdy nie przychodził już na stadion, wciąż wspierał cichaczem, ale za to dość hojnie, oprawy stadionowe Żylety, zwłaszcza te, które odnosiły się do historii. Bo choć brzydkiły go wytatuowane łydki kibiców, wystające z nogawek „trzy czwarte”, to imponowała mu zadzierzystość tych młodych mężczyzn, którzy nie trafiwszy ze swym życiem w historyczną godzinę W, musieli sobie jakoś poradzić z nadmiarem rozsadzającej ich energii. Sztanga i worek bokserski to było za mało jak na tak nieposkromiony żywioł.

* * *

– Niemcewicz dorzuca się do opraw Żylety?! – Oczy redaktora naczelnego błysnęły tą samą dzikością, za pomocą której tak łatwo uwodził odczytane kobiety i europejskich intelektualistów. Dowody tych flirtów porozwieszane były na ścianach gabinetu w formie czarno-białych fotografii bez ram. Tu zdjęcie z Orianą Falacci. Obok z Tony Judtem. Dalej z Gorbaczowem. Tam z Hillary Clinton. Ówdzie z Dalajlamą albo Joshką Fisherem. – On daje tym wytatuowanym zwierzętom pieniądze?!

– Tu mamy kwit. – Kierownik działu politycznego wyciągnął w stronę szefa dłoń z kopią rachunku. – Faktura na druk wielkoformatowy zapłacona przez jego stocznię. Znaczy, ksero. Ksero mamy, nie oryginał.

Naczelny nawet nie spojrzał na dokument. Nie lubił faktur, zestawień, tabel, statystyk, dokumentów. Lubił prozę, poezję, esej. A swoim najlepszym ludziom wierzył na słowo. Wciąż nie mógł wyjść ze zdumienia.

– Że się nie bał tak otwarcie ich wspierać?

– Kto bogatemu zabroni? – wzruszył ramionami kierownik działu politycznego. – To wcióż wolny kraj.

Naczelnny posłał mu świdrujące spojrzenie znad oprawki okularów, niczym psychiatra badający poczytalność pacjenta. Przez lata przyzwyczał się do tego, że to on – samowładnie i bezwzględnie – ustala na każdym historycznym etapie, w jakim stopniu Polska jest wolna i w jaki sposób należy o tym informować społeczeństwo. Pyknął z elektronicznego papierosa i zapytał:

– Chcesz mi powiedzieć, że właściciel jednej z najbardziej luksusowych marek na świecie wspiera stadionową żulię w Warszawie?

Podwładny tylko kiwnął głową. Wiedział, że szef zaczął właśnie pisać w głowie któryś ze swoich słynnych esejów lub kąśliwych wstępniaków.

– Oto człowiek z piękną niepodległościową kartą, budujący od lat etos uczciwego kapitalizmu... – Naczelnny przymknął oczy i zamyślił się na chwilę. – Człowiek żyjący wśród piękna i dający to piękno innym... – Kolejna pauza, kolejne przymrużenie oczu, jakby rzęsy naczelnego były naturalnym filtrem, przez który do mózgu, wraz ze światłem, miały prawo przeciskać się inspiracje wyłącznie najwyższego lotu. – Człowiek, który sponsorował kulturę. Człowiek, którego wykłady o etyce biznesu były ozdobą niejednego uniwersytetu... – Pyknięcie z e-papierosa. – A wywiady z nim gwoździem niejednego wydania najważniejszych tytułów prasowych w kraju... Oto taki człowiek opowiada się po stronie grup zdolnych wyłącznie do plemiennej agresji podszytej tyleż ograniczonym, co nieprzejednanym nacjonalizmem... – Naczelnny otworzył oczy i spojrzał trzeźwo na kierownika działu politycznego. – Czy słowo „gwóźdź” tu nie zgrzyta?

– Zgrzyta – przyznał podwładny. – Ja bym dał „daniem głównym”.

Redaktor naczelnny znów przymknął oczy i półgłosem popróbowował nowego zdania: – Wywiady z nim były daniem głównym niejednego wydania najważniejszych tytułów w kraju... – Posmakowało mu, więc kiwnął z uznaniem głową. – Brzmi lepiej... Ale, ale... – Wycelował palec w podwładnego. – Zanim napiszę na niego wyrok, musimy go ugotować informacyjnie. Co mamy?

Szef działu politycznego jakby czekał na to pytanie. Ożywił się jak barman na pstryknięcie palcami.

– Niemcewicz opracowywany był jako kandydat na tajnego współpracownika w osiemdziesiątym trzecim – zaczął z entuzjazmem. – Był wtedy studentem wrocławskiej polibudy...

– Udało im się? – przerwał mu szef.

– Odmówił kategorycznie. Zostało to zapisane.

– To co mi dupę zawracasz?

– Bo mieli na niego dużo smaków obyczajowych. Seks, marihuana, jazda po pijaku... To wszystko jest w papierach IPN.

– Mamy mu wypominać, że ruchał panny, gdy miał dwadzieścia kilka lat?!

Kierownik przełknął ślinę.

– Była jeszcze spekulacja. Handel na targowisku. Przemyt dolarów z Węgier.

– Spe-ku-la-cja! – zirytował się naczelny. – Wtedy każdy handlował. To by mu się nawet policzyło na plus do etosu – oznajmił pewnie, po czym zaśpiewał na melodię okupacyjnej piosenki: – Kto handluje ten żyje...

– No, dobra – powiedział kierownik. – Mamy jeszcze bombę, ale... – zawahał się i czknął, jakby wielokrotnie gwałcone sumienie próbowało odbić mu się odruchem wymiotnym. – Ale my się w takie sprawy przecież nie bawimy.

Naczelny znów spojrzał na niego znad okularów jak lekarz na pacjenta. Dwukrotnie skinął dłonią do siebie, niczym majordomus przywołujący dyskretnie kelnera zza pleców obiadującego państwa.

Kierownik nabrał powietrza i powiedział szybko:

– Niemcewicz był w wariatkowie.

– Cooo???

– W szpitalu psychiatrycznym. Branice. Gdzieś pod czeską granicą. Wtedy czechosłowacką, bo to było w osiemdziesiątym ósmym.

– Rozpoznanie?

Kierownik spojrzał na kartkę i wyrecytował: – Głębokie zaburzenia psychotyczne. Autyzm. Apatia. Trzy tygodnie obserwacji.

– Co się stało potem?

– Potem dali mu żółte papiery i wypuścili. A potem zmienił się ustrój i wyszło na to, że on tam, w tym wariatkowie, był niepotrzebnie.

– Jak to niepotrzebnie? – zaciekawił się naczelny szczerze i bez ironii.

– Bo jak zmienił się ustrój, to zniesiono obowiązkową służbę wojskową dla absolwentów studiów. A on najprawdopodobniej symulował tę chorobę. Żeby go nie wzięli do woja – wyjaśnił kierownik.

– Czyli cwaniak! – Redaktor naczelny pochylił głowę z uznaniem.

– Tak, cwaniak. Moglibyśmy tym pograć – zaproponował kierownik. – Facet daje pieniądze na pielęgnowanie na stadionie kultu żołnierzy wyklętych, podczas gdy sam uciekał przed wojskiem jak tchórz. Legia to wojskowy klub...

– Ale ja mówiąc „cwaniak”, powiedziałem to z uznaniem! – Redaktor naczelny pacnął się dłonią w swe wysokie czoło, które tak często perliło się w reflektorach studiów telewizyjnych i scen wszelakich, z których wygłaszał swoje słynne pogadanki o wolności, demokracji i tym podobnych abstrakcjach. – Pudło, Wojtek! Wtedy to było inne wojsko i każdy chciał się przed nim wybronić. Czytelnicy go polubią za to

oszustwo! – Pokręcił głową, po czym dodał z niesmakiem: – Ten narodek kocha cwaniaków.

Twarz kierownika działu politycznego była teraz jednym wielkim poruszeniem. Mięsień potyliczno-czołowy, mięsień podłużny nosa, mięsień marszczący brwi, wszystkie te muskuły pracowały zawzięcie na wizerunek człowieka kombinującego, jak wyjść z kłopotu. W końcu mięśniom czoła przyszedł z pomocą mięsień jarzmowy większy oraz mięsień śmiechowy, które są odpowiedzialne za uśmiech, i Wojtek rozpromienił się. Po czym powiedział:

– Ale my przecież wcale nie musimy wiedzieć o tym, że on w ten sposób chciał uniknąć służby w komunistycznym wojsku. Musimy?

– To się okaże, czy musimy. – Naczelnny włożył sobie w zęby e-papierosa i zachęcił głosem zniekształconym przez ciało obce. – Słucham...

– Umówmy się, że wiemy tylko tyle, że on był w wariatkowie, ale nie wiemy, dlaczego – tłumaczył Wojtek. – Był w Branicach? Był. Postawiono mu diagnozę? Postawiono. Ma wariackie papiery? Ma. To wystarczy. Resztę dośpiewa za nas Internet, brukowa prasa i politycy. Polski milioner czubkiem... Bogacz z psychiatria... Facet z zaburzeniami sponsorem kiboli... Już widzę tę klikalność... Tyle, że... – Kierownik działu politycznego rozłożył bezradnie ręce, po czym powiedział ze stanowczością prostytutki odmawiającej seksu bez prezerwatywy: – Ale my nigdy, przenigdy, nie zagraliśmy na naszych łamach czyjaś chorobą psychiczną. Zagramy tym razem?

Redaktor naczelny nie miał zamiaru odpowiadać wprost i od razu na tak trudne pytanie. Gdy zastanawiał się nad odpowiedzią, pod jego nosem pojawił się jednak blady uśmiech, który biegłemu w swym fachu terapeutcie mógłby podpowiedzieć to i owo. Ten nos łamano naczelnemu w życiu dwukrotnie. Pierwszy raz zrobiła to w 1968 roku bezpieka przy pomocy gumowej milicyjnej pałki, drugi raz, w 1976 roku, zrobił to własną głową współwięzień, kryminalista umyślnie wsadzony do celi z politycznymi. Przez długie lata z powodu źle zrosniętej kości redaktor odczuwał zaburzenia węchu i dopiero kosztowna operacja w bawarskiej klinice, przeprowadzona już za nowej Polski, wszystko naprawiła. Teraz redaktor naczelny wdech miał znakomity.

– My tym nie zagramy – rzekł bardziej do siebie niż do swojego podwładnego. – Ale znam takich, którzy uczynią to z przyjemnością.

Sięgnął po ajfon i wygłaskał sobie na ekranie to, czego potrzebował. Czekał na połączenie, odprawił niecierpliwie podwładnego dłonią, po czym dla złagodzenia wymowy gestu wyciągnął w jego stronę uniesiony kciuk.

Gdy kierownik działu wychodził w gabinetu szefa, doleciało do jego uszu zdanie:

– No, cześć, Jureczku. Dasz się w końcu zaprosić na ten obiecany mi obiad?

* * *

– Gdybym był generałem, też lubiłbym swój stopień – odezwał się Niemcewicz, zmięgowany zbyt długą ciszą, jaką sprowadził na pomieszczenie swym zamyśleniem. – Ja jestem tylko doktorem chemii. – Machnął ręką. – Stara historia, jeszcze z czasów komunizmu. Ale przydała się potem w biznesie.

– My, starzy komuniści, znamy się na robieniu pieniędzy – skomentował to Chirurg z radosnym ożywieniem. Uniósł lampkę z koniakiem, jak do kolejnego toastu, rozkładając ramiona. Jednak Niemcewicz zignorował gest. Prawie nie rozwierając szczęk, wycedził:

– Ale ja nigdy nie byłem komunistą. Walczyłem z komunizmem. Siedziałem nawet przez to w więzieniu.

Zakłopotanie Chirurga trwało zaledwie chwilę, gdyż natychmiast włączyły mu się odruchy warunkowe. Azjatycka kindersztuba plus bezpieczniacki trening kazały mu szeroko się uśmiechnąć i jeszcze szerzej otworzyć ramiona. Wyglądał teraz jak rubaszny stryjek, który czeka na wymianę uścisków.

– Ale walka dawno się już skończyła! – zawołał z entuzjazmem. – Nie ma z kim walczyć, bo nie ma już komunizmu. Teraz, panie doktorze... – Uniósł palec w górę jak żeglarz badający siłę wiatru. – ... teraz pora na interesy. Bo jak mówi stare chińskie przysłowie, łatwo przywoływać duchy, trudno je potem odegnąć.

Niemcewicz roześmiał się. Jego rechoł był jednak wymuszony i nieszczerzy. Ale tak właśnie chciał, aby to zabrzmiało: sztucznie.

– Jak mówi stare chińskie przysłowie, jak nie wiesz, co powiedzieć, to powiedz stare chińskie przysłowie – skomentował i teraz z kolei zaśmiali się obaj Azjaci, jeszcze bardziej nieautentycznie niż on. Też chyba chcieli, aby poznał, że udają.

Tak czy tak obie strony uznały, że się wstępnie dogadały, bo kiedy Chirurg zapytał: – Did we strike a deal? – Niemcewicz skinął głową. Brzęknęło szkło, zagulgotały grdyki.

Rozdział szósty

Z ROZJAŚNIENIA:

WNĘTRZE. OBÓZ PRACY – DZIEŃ.

Bardzo wczesny ranek. Gdzieś w Azji. Fabryczna hala jest ponura, ciemna i wysoka. Wzdłuż jednej z odrapanych i liszajowatych ścian ciągnie się galeria bez barierki, na którą wieszkuje stalowa drabina.

Po podeście kroczy niespiesznie umundurowany WARTOWNIK z kałasznikowem na plecach. STUK! STUK! STUK! Jego czerwone pagony są ledwo widoczne w mroku, a skośne oczy kleją się od snu. Połowa czapka siedzi na głowie byle jak. Pali leniwie papierosa, zerkając w dół.

[NAPISY CZOŁOWE FILMU]

Światło, które wpada przez świetliki w dachu, wydobywa z porannej szarówki dwa długie blaty ciągnące się równolegle przez długość pawilonu. Po obu stronach blatów stoją WIĘŹNIEWIE w identycznych zielonych drelichach i składają zabawki, które wkładają do kartonowych pudełek. Wszyscy mają azjatyckie rysy.

[C.D. NAPISÓW CZOŁOWYCH FILMU]

Jednym z więźniów jest przystojny czterdziestolatek. Niski, choć proporcjonalny. Z sylwetki typ sportowca, z twarzy inteligent. Wychudzony, jak wszyscy tu. To WIĘŹNIEŃ NR 62, o czym zaświadcza żółta plakietka z numerem na jego piersi.

Więzień spogląda do góry, jego spojrzenie natrafia na wzrok wartownika na podeście. Przez chwilę mężczyźni mierzą się spojrzeniami, ale bez wrogości. Pierwszy ustępuje więźniowi. Spuszcza oczy na blat i skupia się na pracy.

ZBLIŻENIE – Jego delikatne dłonie inteligenta składają właśnie toporną lalkę Barbie, jeszcze nagą, bez ubranka. Jedna noga łączy się z tułowiem. KLIK. Druga noga. KLIK. Ręce. KLIK. Głowa ze srebrną peruką. KLIK. Lalka wędruje do pudła, gdzie takich surowych Barbies jest już kilkanaście.

[Pojawia się tytuł filmu: ???]

Postawiwszy trzy pytajniki, Agnieszka przygryzła długopis tak mocno, że jego obudowa chrupnęła ostrzegawczo. Właścicielka przedmiotu posłała jej karcące spojrzenie ze swojej pryczy.

– Nie zeżryj go, bo drugiego mi nie przemycą – powiedziała, a po chwili dodała: – Nie mam pozwolenia.

– Pozwolenia? Na długopis? – zadając to pytanie, Agnieszka przywołała na twarz jedną ze swych bojowych min społeczności gotowej bronić bliźniego przed

nieoczekiwaną opresją.

Aresztantka nie odezwała się, tylko dotknęła palcami kołnierza ortopedycznego, w którym, niczym jajo w kieliszku, tkwiła jej głowa, po czym zwinęła dłoń w pięść i wykonała kilkakrotnie ruch naśladujący wbijanie ostrego przedmiotu w szyję.

Agnieszka pojęła wszystko w mig, ale musiała sobie dać chwilę, zanim ośmieliła się zapytać.

– Chciała pani...? – Szukała właściwego słowa, ale nie dokończyła, gdyż kobieta przymknęła potakująco powieki, ale w sposób, który sygnalizował wyraźnie: „Żadnych więcej pytań!”.

Pamiętając, aby nie pogryzać długopisu, Agnieszka ponownie pochyliła się nad tekstem. Spojrzała na znaki zapytania. Jaki dać tytuł scenariuszowi, który – dręczona nudą aresztu – zaczęła pisać pożyczonym długopisem na taśmie papieru toaletowego? To była jej osiemnasta godzina za kratami. Pierwsze uwięzienie w życiu i od razu takie, które będzie sobie można wpisać do CV i pochwalić się nim na Facebooku oraz przed nowojorską centralą Legal Heart.

Czynna napaść na policjanta, tak zakwalifikowano ich utarczkę z jednym tych pocziwych wiejskich ciuli, których z tarczami i nagolennikami posłano pod hotel, aby poskramił demonstrację wymierzoną w Chirurga. Dżony potężnym uderzeniem otwartej dłoni zdmuchnął mu z głowy kask. Widziała oczy tego chłopaka, pełne przerażenia, zdumienia i skruchy, jakby chciał powiedzieć: „No, kurwa, sorki, ale znalazłem się tu przypadkiem.” Jakoś nie odczuła litości, więc dziabnęła w prawe oko policjanta kłykiem, tak jak nauczyła się na kursach krav magi. Zaraz potem uderzenie pałą zważyło ją z nóg.

Do pisania scenariusza zabierała się od dwóch tygodni, ale ciągle nie znajdowała czasu. Przez te dni – scena po scenie, dialog po dialogu – film sam nakręcił się w jej głowie. I wszystko było jak w branżowym podręczniku, który pożyczyła od Dżonego, napisanym przez fachowca z Ameryki, zdobywcę Oscara. Drabinka scen, wyraźnie zarysowany protagonista, paskudny zbiorowy antagonist, trzyaktowa konstrukcja (jak przykazał sam Arystoteles), stosowna ilość momentów zwrotnych oraz kulminacja, po której wszystko miało podążyć do przejmującej puenty. Napisy, światło, łyzy, owacje. A potem może też Oskar albo przynajmniej Złoty Lew. Marzenia...

Kiwała się nad taśmą papieru odwiniętego z rolki, myśląc intensywnie. Tytuł to podstawa. Często nawet punkt wyjścia, po którym wszystko idzie jak z płatka. Tak napisano w podręczniku.

Myślała, myślała, ale zamiast tytułu, wpisała kolejne znaki zapytania, a po nich wielki wykrzyknik. Tym znakiem, koniecznie przeskalowanym, lubiła poskramić w odręcznych notatkach swoje lenistwo. Czasem pomagało. Po chwili dorysowała drugi wykrzyknik, a zaraz potem ktoś wsadził klucz w drzwi celi i przekręcił go ze

zgrzytem.

– Agnieszka Wyrwał! – Głos strażniczki pobrzmiwał zmanierowaniem i nudą, ale czym w końcu miał pobrzmiwać? Zalotnością stewardessy zachwalającej pasażerom pokładowy sklep duty free? – Wpłacono za panią poręcznie. Jest pani wolna.

Zerwawszy się na nogi i przyjąwszy wyprężoną postawę, co było zapewne efektem obejrzanych filmów, bo przecież nikt od niej tego nie wymagał, Agnieszka wymamrotała:

– Poręczenie...? Ile...? Kto...?

Pośpiesznie zwijała w dłoniach zapisany papier toaletowy, jak uczennica przyłapaną na czymś sekretnym, ale strażniczki to nie interesowało.

– Ja nie wiem, kto wpłacił – odrzekła. – A naczelnik nie powie, bo ta osoba chce pozostać anonimowa.

Była barczysta i wypełniona rutyną aż po pagony, na których widniało podwójne V starszego sierżanta, zupełnie jak u tamtej policjantki z parku. Z pewnością chodziła na cross fit.

– Adwokat poręczyciela właśnie przywiózł nam kwit – dodała.

– On tu jest? Ten adwokat?

– Pojechał sobie. Też chce pozostać anonimowy.

– Ile wpłacił? – zapytała nieśmiało Agnieszka.

– Sto tyśi – odpowiedziała zniecierpliwiona strażniczka, po czym poprawiła się: – Sto tysięcy złotych, proszę pani. Pięćdziesiąt za panią, pięćdziesiąt za pani chłopaka.

Spod koca, którym nakryta była aresztantka z kołnierzem ortopedycznym, doleciał Agnieszkę gwizd podziwu.

Dwa kwadransy później ścisnęła się pod bramą aresztu z Dżonym, udając, że nie czuje kwaśnego odoru, jakim nasiąkł w celi. Po czym objęci, powiedli się wzajem, niczym bitewni towarzysze broni lub para żuli z przytułka, w kierunku najbliższej budy z kebabem, żeby się posilić i wymienić swoje opowieści – śmierdzący, wymięci, niedospani, podminowani gniewem, ale i dumą z powodu odsiadki w szlachetnej sprawie.

Po drodze tulili się, jakby to była ich pierwsza randka. Ta sprzed dwóch lat, kiedy to nie doczekali nawet klusek, jakie zamówili w trattori z makaronami przy Chmielnej, tak szybko eksplodowała między nimi chemia. Rozpętała żądze, które zamordowały głód, przez co nie było już sensu czekać na posiłek. Krzyknawszy w stronę kelnera, że odwołują danie i rzuciwszy na obrus banknot za niedopitą karafkę wina, wybiegli, by złapać taksówkę. Do dziś nic się między nimi w tym temacie nie zmieniło: kochali się często i namiętnie, choć równie często i burzliwie

kłócili.

– Szybko zadziałali. Jestem pod wrażeniem. I jak dyskretnie – odezwał się Dżony z ustami wypchanymi kebabem.

Siedzieli naprzeciwko siebie przy rozkolebanym stole w budzie z tureckim żarciem, mocno nijakiej, trochę obskurnej, karmiącej tanio i smacznie, zatem modnej wśród młodej i źle opłacanej wielkowiejskiej inteligencji. Widok mieli na Pałac Kultury i Nauki, tę cudaczną, wciąż nieoswojoną boję z innego świata, unoszącą się z coraz większym trudem pośród niebotycznych fal ze szkła i stali, jakie naparły na centrum Warszawy.

– Nie rozumiem – rzuciła ze złością.

– A co tu do rozumienia? Mówię, że szybko wpłacili za nas kaucję. I na dodatek incognito. – Cały czas jadł, więc wyrazy z trudem przedzierały się przez pulpę z mięsa i warzyw, tracąc swe kanty i szelesty, doznając zabrudzeń.

– Nie rozumiem, kiedy mówisz do mnie z pełną gębą – uściśliła, lecz zanim wypowiedziała to zdanie, pogryzła dokładnie kęs swojej buły i przełknęła go. – Brzmisz jak starzec, któremu wypadła proteza.

Wciąż nie potrafiła się przyzwyczaić do tego, że on pochłania jedzenie tak łapczywie i tak szybko („Jakbyś był psem z bidula”), a jedząc, próbuje mówić nawet wtedy, gdy ma w ustach zupę. On do tego, że ona nie potrafi się przyzwyczaić, przyzwyczaił się już dawno, więc teraz darował jej przytyk, pokazując tylko w uśmiechu, że zęby, choć upačkane majonezem, ma i na miejscu, i własne.

– Szy-bko wplą-ci-li hajs. Ka-sa. Kau-cja. Sto ty-się-cy. – Celowo mówił tak, jak czasami ludzie prości odzywają się do cudzoziemców w złudnym przekonaniu, że jeśli wypowiedzą coś wolno, głośno i szeroko otwartymi ustami, to tamci ich zrozumieją.

– Ale kto? – trzasnęła go pytaniem, a on natychmiast przestał błaznować.

– Jak to, kto? Legal Heart! Twoja centrala.

– A niby dlaczego akurat oni mieliby to zrobić?

– A niby dlaczego nie oni? – Siorbnął kawy i wgrzyzł się w swoją bułę. – Bo kto, jak nie oni?

– Też tak na początku pomyślałam, ale po pierwsze, w Nowym Jorku teraz noc. A po drugie nie zawiadaniałam ich. Na dołku zarekwirowali mi komórkę.

Gdy wypowiadała te trzy zdania, Dżony zdążył pogryźć, przełknąć i zmieść językiem z zębów szczątki warzywnego dressingu.

– Po pierwsze, Nowy Jork nie zasypia. A po drugie, mógł ich zawiadomić ktoś z mediów.

– Nie zasypiają tam kurwy i handlarze hery. Porządni ludzie śpią.

– Może ktoś ich obudził? Któryś z dziennikarzy zadzwonił po komentarz?

Oderwał zębami solidny kęs, gdy podsunęła mu pod oczy smartfon, na który on zerknął, młóćąc zuchwą.

– Yyyyyy???

– Yyyy! Srrrryy! Nie żryj, jak mówisz! – zachnęła się. – Na Legal Heart nie w ma aktualnościach nic na ten temat. A już by trąbili, gdyby się dowiedzieli. Poza tym przysłałiby do mnie smsa. Próbowaliby dzwonić.

– Więc kto wpłacił kaucję? – Dżony ponownie napił się kawy z papierowego kubka i zaczął go oglądać tak wnikliwie, jakby oprócz logo baru była na nim zapisana odpowiedź na jego pytanie. Z takim samym zacięciem mężczyźni pod sklepem w mazurskiej wiosce, z której pochodził, lustrowali nalepkę na pierwszej porannej flaszcze piwa, co następowało zawsze po pierwszych rytualnych łykach i było o tyle zdumiewające, że przecież znali tę etykietę na pamięć.

Może i znalazł na kubku odpowiedź na swoje pytanie, bo po długiej chwili spojrzął na Agnieszkę wystraszonym wzrokiem mogącym sugerować, że zna prawdę, ale boi się ją ujawnić.

Zbyt dobrze miała go rozpracowanego, żeby nie odgadnąć, kogo ma na myśli. W jednej chwili straciła apetyt. Pożegnawszy swoją niedojedzoną pitę spojrzeniem jakie posyła się zdrajcy, cisnęła ją zwinnym rzutem baseballisty do blaszanego kosza. Załomotało i śniady facet z obsługi uniósł czujnie brwi. Za długo pracował za barem, żeby nie wiedzieć, co mogą zwiastować takie gniewne demonstracje.

Oparłszy się mocno łokciami o blat, jakby zamierzała wyzwąć go na pojedynek na rękę, Agnieszka zajrzała Dżonemu głęboko w oczy i wychrypiła:

– No, kto? Kto, według ciebie?

Nie odpowiedział.

– Kto, według ciebie, wpłacił kaucję?

Uciekł ze wzrokiem, co tylko utwierdziło ją we własnym przekonaniu. Spochmurniała jeszcze bardziej, na burzowo.

– No, powiedz, że to on. Powiedz, kurwa!

Facet za kontuarem pokręcił głową. Nie tolerował sytuacji, w których kobieta krzyczy na mężczyznę, używając przy tym wulgaryzmów.

– Według ciebie to on, tak? – naparła znowu Agnieszka.

I znów odpowiedzią była cisza.

– No, dobra – uspokoiła się. – Założmy, że to on. Ale skąd by się o wszystkim dowiedział?

Ponownie bez reakcji.

– Kazał mnie śledzić? – Nakręcała się, lecz tym razem usłyszała odpowiedź:

– Wystarczy, że oglądał telewizję. Mógł przeglądać net.

Złapała się za głowę.

– Ale dlaczego miałyby to zrobić? Dlaczego on?

Dżony spojrział na swoją kobietę z wyrazem totalnej beznamiętności, jaką ludzie reagują czasem na czyjś brak domyślności.

– A kto? Papież Franciszek? Adam Michnik? Kto w kilkanaście godzin po zatrzymaniu za pobicie policjanta ręczy stoma tysiącami złotych za takich... – Zawahał się.

– Dokończ! – Jej żądanie było nie do odparcia. Tak samo miewał z nią w łóżku. Tuż przed szczytem wykrzykiwała to właśnie słowo: „dokończ!”. Tyle, że wtedy wszystko bywało dużo bardziej przyjemne. Dokończył:

– Za takich obszczymurów jak ty i ja.

I żeby załagodzić, od razu się rozgadał:

– Aga, bo co my znaczymy? Kim my jesteśmy, żeby ktoś za nas ryzykował na poczekaniu dużą stówkę? Tym bardziej, że myśmy naprawdę narozrabiali. Przecież ty temu biedakowi prawie wylupałaś oko. Może nie wrócić do służby.

– A przez ciebie ma wstrząs mózgu. Tak mi powiedzieli na policji.

– Mógł zapiąć kask pod brodą – zarzął Dżony, nieco zbyt knajacko jak na jej gust; nie lubiła go takiego.

– Trzy lata w zawiasach! – ryknęła. – Ja nie chcę mieć kłopotów, kurwa!

Dżony położył karcąco palec na ustach, a potem pogroził nim Agnieszce. Zamilkła. Śniady za barem skinął z uznaniem głową, jakby chciał powiedzieć: „Nareszcie”. Ale wciąż było daleko do „nareszcie”.

– Nie groź mi, frajerze, bo ci połamię ten palec! – wysyczała.

– Zamknij się i mnie posłuchaj – huknął na nią Dżony. – Nie zaczarujesz rzeczywistości. Nie ma innej opcji. Jeśli tej kaucji nie wpłacili ludzie z Nowego Jorku, to musiał ją wpłacić...

– Nie kończ! – przerwała mu. – Nie wymieniaj przy mnie jego nazwiska.

Patrzyli na siebie w napięciu. On oczekując zrozumienia, ona z urazą.

– Dokończ! Nie kończ! – odezwał się. – Zdecyduj się.

W kuchni na zapleczu coś zaskwierczało, zadymiło. Bukiet zapachów, z którym nie umiała sobie poradzić wentylacja, zamówiona bez faktury i po taniości, rozszedł się bo barze i gdyby byli głodni, pod ich językami zaczęłyby się gromadzić ślina. Ale że byli najedzeni, ich usta pozostawały suche, mieląc ciężkie słowa, którymi chcieli się wzajemnie ugodzić.

W końcu Agnieszka pojęła, że niepotrzebnie wyżywa się na Dżonym.

– Bardzo bym nie chciała, żeby to on wpłacił za mnie te pieniądze. Zrozum, proszę.

– Nie musisz prosić. Rozumiem. – Wyciągnął dłoń i pogłaskał ją po policzku. – Wiem, że masz go za co nienawidzić. Ale ja powinienem mu chyba podziękować.

Posłała mu oczyma pocisk nabity pretensją i zdumieniem.

– To dzięki jego pieniądzom siedzę tu dziś z tobą – wytłumaczył.

– O ile to on je włącił – uniosła ostrzegawczo palec.

I wtedy, niczym bomba ukryta w koszu na śmieci, huknęło tureckie disco polo, jeszcze bardziej bałamutne dla mózgu niż słowiańskie. Oboje aż podskoczyli. Agnieszka włożyła sobie do ust dwa palce, a potem tymi palcami dała Dżonemu znak: „Wychodzimy”. Śniady facet, który zauważył jej gest, odprowadził ich nienawistnym wzrokiem.

Taksówką zawiózł ich na Wolę wytatuowany od łydek po szyję półgóły cwaniak w szortach, który przez całą drogę narzekał na skąpstwo pasażerów, wypracowując sobie w ten sposób napiwek. Nie dostał ani grosza.

Za to w sklepiku Promilek Agnieszka i Dżony kupili butelkę wina i torbę piwa, żeby jeszcze tego wieczora uczcić odzyskaną wolność i przynajmniej dwa gole, jakie wzajemnie obiecali sobie strzelić, a którym to terminem nazywali – żartobliwie i na własny użytek – orgazm. Nad drzwiami sklepu widniało stylizowane na gazetowy podtytuł rozwinięcie szyldu: „Zakupy u nas wejdą ci w krew”. Agnieszka zrobiła zdjęcie komórką, od pewnego czasu wspólnie ze studentami prowadziła na Facebooku profil „Kreatywne nazwy miejsc”. To miała być jej prywatna polemika z opiniami o rzekomym ponuractwie Polaków.

– I jeszcze coś... – odezwała się do pobrzękującego flaszkami Dżonego. – To jest początek mojego filmu. – Wcisnęła w kieszeń Dżonego zwitek papieru toaletowego.

– Filmu? – Aż przystanął.

– Przeczytaj w wolnej chwili i wymyśl mi jakiś tytuł, plizzz...

Rozdział siódmy

Jaśko, najmłodszy z rodzeństwa Michalaków, siedział w rozkroku na schodkach ambony i siekał arbuzy, całkiem głuchy na potęgę muzyki Jana Sebastiana Bacha.

Pasja według świętego Mateusza, wydmuchiwana z organów i wspomagana głosami chóru, rozděła świątynię tym rodzajem samoistnego piękna, które ma ambicję być nieskazitelne, więc jest to jedyny przymiotnik, na jaki pozwala człowiekowi, gdy ten porywa się, by je opisać swym kalekim językiem. Nieskazitelne. I kropka.

Ilekoć Jaśko służył do mszy, organy przywodziły mu na myśl obronną palisadę, jedną z tych, jakie widywał w grach na Androida, którą nie wiedzieć po co wzniesiono na balkonie kościółka tak małego, że nawet drugi konfesjonał wydałby się tu zbytkiem. Tyle że ta palisada była nie z drewna, lecz ze srebrnych rur odwróconych szpicami do dołu, co tylko wzmacniało wrażenie jej masywności. Była jak z filmu science fiction i wydawała się chłopcu niebosiężna, tym bardziej, że jej zwieńczenie w kształcie tympanonu dźgało swym szczytem powałę, którą wiejski współczesny artysta, zrzucając z mistrzów baroku, pomalował w obłoczki i aniołki.

Gdyby nawet jednak nastąpił cud i trzynastolatek doznałby łaski rozumienia muzyki Bacha, a może nawet i mówienia o niej zmanierowanym językiem redaktorów Radia Kultura, nie było szans, aby ją usłyszał. Nie było szans, gdyż miał na uszach słuchawki, a w nich udający muzykę elektroniczny pluskot i podrasowany świst samurajskiego miecza. Ta katana o ostrzu ze stopu najtwardszych pikseli w ułamku sekundy robiła z lecącego arbuza zielono-czerwoną sałatkę. Koledzy mieli rację, „Fruit Ninja” wciągało mocniej niż kreskówki Hentai z azjatyckim porno.

Po arbusach przyszła kolej na bakłażany, które chłopak i jego owocowy wojownik w dość dobrym czasie zamienili w chmarę plasterków. Potem pojawiły się łatwe do posiekania pomidory, a następnie morele, które miały pestki, więc były trudniejsze w obróbce, lecz za to można było na nich nabicić dodatkowe punkty. A gdy owocowy wojownik starł rękawem sok z miecza i stanął w rozkroku, aby rozprawić się z nadlatującym stadem cytryn, ekran telefonu zamigotał nagle i wypełnił się czernią.

– Jebana bateria! – zaklął chłopak równie siarczyście jak klął jego ojciec, dziadek i wszyscy pradziadkowie, przy czym żaden z nich nie pozwoliłby sobie na to w kościele. Strwożony własnym bluźnierstwem, uniósł wzrok i spojrzął w kierunku najbliższej ławki, ale za sprawą Bacha nie usłyszał go nikt, może poza tym, który słyszy wszystko. Lud był ludny, uwznioślony i ubrany jak na niedzielę, choć koncert wypadł w dzień powszedni.

Jaśko wyszarpnął z uszu słuchawki – te zatyczki do mózgu, jak mawiał

z przekazem ich proboszcz, który nawet nie umiał wysłać esemesa – a wtedy, niczym tsunami, uderzyła go muzyka zupełnie inna od tej, która kilka chwil wcześniej dopingowała go w bójkę z owocami. Przed ołtarzem stał chór i sławił imię Pana w języku, który zawsze tak bardzo onieśmiała chłopca, a którym – jak powiedział kiedyś żartobliwie ich proboszcz; ach, znów ten proboszcz! – nie mówią już nawet najstarsi aptekarze i najbardziej pobożni księża.

Chór był schludny i napięty jak struna. Trzydzieści dwie osoby w czterech rzędach. Kobiety na dole, mężczyźni na górze. Biel bluzek i koszul skontrowana czernią spódnic i garniturów. Pod grdykami mężczyzn rezonowały muchy, niczym czarne drapieżne ćmy dobierające się śpiewakom do gardeł. Usta rozciągały się w sposób nienaturalny i przesadny, jakby szczęki chórzystów musiały pokonywać jakiś dodatkowy opór. Przed nimi uwijał się dyrygent we fraku, nie mniej żwawy i bojowy niż owocowy ninja, tyle że zamiast śmiercionośnej katany, trzymał w dłoni batutę.

W ostatnim rzędzie śpiewał postawny siwowłosy mężczyzna o twarzy białej jak świeżo odcedzony twaróg. Mimo że wszyscy chórzysci wyglądali dostojnie, nawet pocieszna na co dzień Kochaniewiczowa z gminnej poczty, dostojność mężczyzny było na miarę dyplomaty. Jaśko znał go: to był ten pan, który ufundował kościołowi organy. Ludzie w Kadłubie mówili, że kosztowały tyle, ile cztery nowe domy i bardzo go za ten podarunek szanowali. Kupił też ubrania dla chóru oraz teczki na nuty, oprawne w prawdziwą skórę, które z daleka przypominały Jaśkowi menu w „Capri Pizza”, gdzie kelnerowała jego najstarsza siostra.

Gdy fundatora organów przywożono do wioski jego własnym jaguarem w kolorze wiśni i z białą tapicerką, który parkował przed plebanią, mały Michalak i jego koledzy podchodzili do auta, kopali w opony i muskali palcami karoserię, zupełnie tak samo jak ich przodkowie głaskali grzbiet dzianeta uwiązanego do belki przed gospodą, podczas gdy w środku jaśnie panicz posilał się grzonym piwem z żółtkiem. Co śmielsi, a Jaśko do nich należał, zaglądali do środka przez przydymione szyby, ku irytacji kierowcy, który chciał w spokoju przejrzeć sobie messengera i przeklikać fejsa.

Dostojny pan z ostatniego rzędu zatopił wzrok w teczce z nutami i oddał się śpiewaniu całym sobą, każdym mięśniem, każdym nerwem swojej chorobliwie bladej twarzy. Gdyby jednak nastąpił kolejny tego dnia cud i Jaśko posiadałby dar czytania myśli z cudzego oblicza, przekonałby się, że pasja według świętego Mateusza jest tym, co akurat najmniej pasjonuje teraz starego śpiewaka. A potem – gdyby chciało mu się czytać dalej w obcych myślach – dowiedziałyby się ze zgrozą o udrękach, jakie czekają go w wieku, którego na razie nawet nie umiał i nie chciał sobie wyobrazić.

Witold Niemcewicz, otwierając szeroko usta i dobywając z siebie dźwięki ściśle według sposobu, jaki podpowiadały mu nuty i dyrygent, zastanawiał się jednocześnie,

czy życie może mu zaoferować coś, czego jeszcze nie zaznał i czym by się natychmiast nie znudził. Bo choć już dawno przyznał szczerze sam przed sobą, że jego najlepsze lata bezpowrotnie minęły, to jednak wciąż nachodziła go ochota, żeby zaprzeczyć tym ustaleniom, żeby się im postawić lub przynajmniej wejść z nimi w polemikę. A czymże innym jak nie polemiką z wyrokami przeznaczenia były jego konszachty z azjatyckim załatwiaczem organów?

Uśmiechnął się pod nosem, bo nagle uświadomił sobie podwójne znaczenia słowa „organy”. Spojrzał ku górze, by zobaczyć swój wspaniały dar, którego ogląd psuła teraz, ale tylko w znikomym stopniu, widoczna nad balustradą łysina organisty osaczona kępkami niechlujnych włosów. Lubił rozmyślać, gdy śpiewał.

– Moje życie było gorące, gęste i pikantne jak węgierski bogracz – powiedział kiedyś na papierosie staremu furtianowi w klasztorze, do którego pojechał na warsztaty z kontemplacji. Wtedy palił jeszcze dwie paczki dziennie. Zapytany, skąd takie porównanie, odparł, że w liceum i podczas studiów kilka razy w roku jeździł do Budapesztu, który w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych dwudziestego wieku wydawał się przybyszom z Polski delegaturą Zachodu w ponurym sowieckim bloku. Tam właśnie zakochał się w bograczu. Tam też na przemycanych kryształach i kremie Nivea dorobił się pierwszych niemałych pieniędzy. Tam hulał, nauczył się delektować winem i wręczać łapówki milicjantom, tam posmakował wybornej kuchni, nielegalnej ruletki, tureckiego haszyszu i seksu z Murzynką.

– Znam Węgry – powiedział beznamiętnie starzec w habicie, po czym zaciągnął się camelem, od którego wcześniej oderwał filtr. A gdy wypuścił dym, równie beznamiętnie zaczął opowiadać:

– Zanim trafiłem do klasztoru, odsiedziałem wyrok w Szegedzie za to, że pojechałem z pomocą powstańcom w pięćdziesiątym szóstym. Durnowaty siedemnastolatek zaczadzony Mickiewiczem i zyciorysem Bema. Polak Węgier, dwa bratanki... Siedziałem w Csillagborton. Więzienie-gwiazda. Taki miało kształt. Najcięższe u Madziarów. I wie pan, co? Przez osiem lat ani razu nie dali nam bograczu. Skosztowałem go dopiero w Polsce, w barze na dworcu w Koluszkach.

Dopiero po czasie Witold Niemcewicz uświadomił sobie, że prawdopodobnie stary zakonnik chciał mu w sposób oględny zakomunikować coś ważnego. Może nawet zamierzał go zawstydzić? Czymże jest przemyt kremu Nivea wobec udziału w krwawej rebelii rozjechanej gąsienicami ruskich tanków?

Dyrygent wykonał przed twarzą gest, jakby złapał muchę i w tej samej chwili chór zamilkł. Organista został z Mistrzem sam na sam. Kępki włosów stały nad balustradą na sztorc.

Witold Niemcewicz regulował oddech. Nauczył się tego przed trzema laty na specjalnym kursie samodoskonalenia w Norwegii, na który dał się namówić swojej ówczesnej partnerce, a potem tego żałował. Od tamtej pory stronił od wszelkich form

kontemplacji, które nie były związane z religią, a gdy przez krótki czas miał swój profil na Facebooku, stał się zagorzałym followerem strony „Zdelegalizować coaching i rozwój osobisty!”.

Teraz próbował sobie przypomnieć, w którym momencie życia z hedonisty stał się eremita? I co było tego przyczyną: wolna wola czy wystudzenie żądz? Własny wybór czy usychająca męskość, którą mógł jeszcze podtrzymywać stosowną pigułką, ale po co, skoro wszystkie późniejsze rytuały ciała były już zbyt wielką nudą, a więc i fatygą? Motyle w brzuchu zdechły, nie ciągnęło go do bab, nie ciągnęło go w świat, nie ciągnęło go do alkoholu. Nawet wytworny koniak, który pił niedawno w hotelowym penthousie w towarzystwie Azjatów, smakował mu jak zaprawiona benzyna herbata bez cukru.

Nie ciągnęło go też do forsy, której miał w bród, a ona – po przekroczeniu pewnego pułapu – zaczęła się już kocić sama z siebie, jak to ma w zwyczaju. Czy szczodrość, z jaką obdarowywał Caritas, zakonne garkuchnie, przytułki, z jaką fundował stypendia dla dzieci biedaków oraz nagrody dla artystów, była autentyczna, skoro nie powodowała najmniejszej nawet niewygody? Gdyż nie była wyrzeczeniem.

A czy jego zwrot do Boga, którym swego czasu tak bardzo ekscytowały się tabloidy i z którego tak drwiły postępowe tygodniki opinii – aż na odczepne zagroził jednemu z nich procesem za okładkę, na której pod tytułem „Od huncwota do dewota, czyli nawrócenie milionera” pokazano jego postać wystylizowaną na pustelnika, klęczącego na hałdzie studolarówek – no więc, czy ta jego pobożność nie wynikała czasem z tego, że najzwyczajniej w świecie utracił apetyt na życie?

– A czy roślina czekająca na deszcz zastanawia się, dlaczego wreszcie zaczęło padać? – odpowiedział pewnego dnia na jego wątpliwości proboszcz Kadłuba. – Panie Witoldzie, niech pan nie pyta, dlaczego, lecz niech pan mądrze i szczerze korzysta z boskiej łaski, jaka na pana spłynęła – zachęcił. To był jeden z ich rytualnych „filozoficznych” wieczorów na plebanii, kiedy gaworząc na tematy kardynalne, popijali przy kominku pięciogwiazdkową Metaxę, która była jedynym ustępstwem, na jakie duchowny pozwalał sobie względem zaleceń dotyczących ubóstwa i księżej wstrzeźliwości. – Panie Witoldzie, żadna trzy albo siedmiogwiazdkowa. W przypadku Metaxy tylko pięć gwiazdek! Tylko pięć!

A teraz, gdy się okazało, że serce słabe jak u pisklęcia, czekał go już tylko metafizyczny skandal, jakim pewien filozof nazwał przejście na drugą stronę. Jego, kozaka zadzierzystego, którego gdy przyszli aresztować świtem w osiemdziesiątym trzecim, usadził pierwszym ciosem stukilowego porucznika, potem rzucił o ścianę małym sierżantem i dopiero plutonowy musiał mu przystawić do czoła lufę, aby tamci dwaj, gdy się już pozbierali, mogli go zakuć w kajdanki... Jego, który mógł chlać do północy, a wstawszy o świcie i łyknąwszy wody z kranu, siadał do magisterki, a potem do doktoratu, aby obie te prace obronić z wyróżnieniem na wydziale chemii

Uniwersytetu Wrocławskiego... Jego, który robił sto pompek w jednej serii, a na Orlą Perć wbiegał w tenisówkach...

– Rok wcześniej, rok później, jakie to ma znaczenie? – powiedział w telewizyjnym wywiadzie ten filozof od metafizycznego skandalu. Łatwo tak mówić, gdy ma się dziewięćdziesiątkę z hakiem. Ale co, gdy ma się dwa lata do sześćdziesiątki i serce słabe jak stara bateria? Wtedy na ogół wpada się w panikę. „Sześćdziesiątka to jak nowa czterdziestka” – urabiali go cwaniacy od psycho-tresury na tamtym kursie w Norwegii i choć bardzo chciał im uwierzyć, to w momencie, gdy uświadomił sobie istotę tego łągarstwa, spakował walizkę i wrócił do Polski. Jediną korzyścią z tych autotreningów było to, że przestał się śpieszyć – dokądkolwiek i z czymkolwiek.

Lecz teraz, gdy serce w strzępach, okazuje się, pośpiech jednak wskazany. Trzeba się spieszyć z operacją. A na wszelki wypadek, gdyby się nie udała, trzeba się spieszyć z życiem. Ale co to znaczy, spieszyć się z życiem? Przecież nie trywialny zachłyst możliwościami, jakie dają pieniądze. A zresztą, był już wszędzie, widział już wszystko, pokosztował wszystkiego. Więc co? Zawadiackie odraczanie śmierci, żeby móc umrzeć na własnych warunkach? A może zagranie jej na nosie tuż przed ostatnim tchnieniem? Tylko jak?

Nowego życia dać już nie mógł. Wyniki badań, którym z ciekawości poddał się przed dwoma laty, były jednoznaczne. Wtedy, w gabinecie androloga, dostrzegł wyraz ulgi na twarzy laborantki, gdy podawała lekarzowi wyniki spermogramu. Była grubo przed trzydziestką i musiała cieszyć się w duchu, że natura sunie swoim przyrodzonym torem, niezakłóconym przez modę, life style czy ludzkie bogactwo. Stary dziad nie ma prawa płodzić dzieci, taki jest odwieczny porządek rzeczy, i już.

Za chwilę nieco delikatniej wypowiedział tę regułę lekarz:

– Obawiam się, szanowny panie, że nie może pan już zostać ojcem. – Twarz doktora była zatroskana, ale tylko przez czas potrzebny na wypowiedzenie tego zdania, bo zaraz przymrużył oko i naśladowując przedramieniem ruch tłoka, dodał: – Bo te sprawy to oczywiście nadal bez problemu... – Był młody, ale na tyle już zepsuty przez pieniądze, że pozwalał sobie na poufałość wobec każdego, od kogo mu nimi pachniało. Inni zresztą do niego nie przychodzili: klinika, której był współwłaścicielem, nosiła w nazwie przedrostek „Lux”.

„Nowego życia dać nie mogę, ale mogę bardziej docenić to, które już dałem”, pomyślał po raz setny w tym miesiącu Witold Niemcewicz i stało się to w chwili, w której dłoń dyrygenta zaczęły się unosić, aby skrzesać na nowo śpiew. Otworzył teczkę z nutami, a potem usta, by nabrać oddechu. „Nie tyle mogę, co muszę!”, postanowił, gdy dłoń dyrygenta były już w górze.

Lecz zanim zdążył ubrać to postanowienie w jakiegokolwiek słowa, zobaczył wpatrzona w siebie, przerażona oczy ministranta siedzącego na schodach ambony.

A potem doznał uczucia, jakby ześlizgiwał się w ciemną czeluść, która przypominała omszałą studnię. Nad nim wybuchła cudowna muzyka, ale jej nie usłyszał, bo był już za głęboko.

Struchlały Jaśko Michalak patrzył jak pan, który ufundował organy, wypuszcza z rąk skórzana teczkę na nuty i wali się bezwładny pomiędzy innych chórzystów.

W tej samej chwili, trzydzieści kilometrów dalej w kierunku zachodnio-południowym, Agnieszka Wyrwał wydała z siebie serię dźwięków przypominających skowyt dręczonego psa, po czym jej prężne ciało sflaczało, jakby ktoś nagle wyjął z niego wszystkie kości. Po krótkim czasie kości wróciły do ciała, a ono spięło się i rzuciło z siebie ciężar kochanka.

– Gol! – oznajmiła z dumą. – Dwa jeden dla mnie. Ale zaraz wyrównam. Daj mi chwilę.

Gdy dyszeli, jakby odgrywali płucami jakiś utwór na dwa instrumenty, Dżony powiedział:

– Czytałem tę czołówkę scenariusza.

– I jak?

– I mam dla ciebie tytuł. Serce numer sześćdziesiąt dwa.

Nie odpowiedziała.

– Tylko nie mów, że ci się nie podoba.

– Bardzo dobry tytuł – powiedziała z wdzięcznością i pochyliła się nad jego męskością. – Chodź, wyciągnę na dwa do dwóch.

Rozdział ósmy

Mimo bardzo ciepłej nocy, siwy mężczyzna, biegnący w stronę terenowego mercedesa G500, miał na sobie aż trzy warstwy ubrania. Każde z zupełnie innego katalogu mody, choć wszystkie trzy, rzecz można, bardzo oryginalne i twarzowe.

Ubranie zwierzchnie stanowiła kosztowna granatowa marynarka klubowa z dwoma rzędami guzików z kotwicą, które z daleka przywodziły na myśl wojskowe ordery, co w połączeniu z poszetką w kolorze złota, wystawiającą zawadiacko z kieszonki na piersi swoje dwa rogi, nadawało mężczyźnie admirałskiego szyku, podkreślonego jeszcze przez lampasy spodni. Tyle że one były od pidżamy.

Bo to pidżama była kolejnym ubraniem mężczyzny, który pakował się właśnie do swojego samochodu wraz z pękatą torbą ze skóry, jedną z tych, z jakimi wkraczają w kadr lekarze na westernach lub w serialach o brytyjskiej arystokracji. Pidżama nie musiała się wstydzić przed marynarką, bo była równie wytworna jak ona. Uszyto ją w Londynie z błyszczącego ciemnozielonego jedwabiu w drobne rycerskie lilie, dopełniwszy pikowanymi kłapami w barwie burgunda. Od biedy w jakimś klubie z muzyką house mogłaby uchodzić za ekscentryczną marynarkę.

Pod nią mężczyzna nosił ubranie, w jakie wyposażyla go natura, przykładając się do tego równie sumiennie jak krawcy, którzy uszyli marynarkę i pidżamę. Było to gęste futro zrobione z ludzkich kłaków, które zaczynało się pod szyją, a kończyło nad kostkami, przy czym obie strony torsu i nóg oraz tego, co pomiędzy nimi, zostały obdzielone włosiem po równo.

W dobie depilacji totalnej, by nie rzecz totalitarnej, owłosione nad wyraz ciało doktora Romana Andruszkiewicza budziło pospólną ciekawość na plażach, basenach, w publicznych saunach, tudzież w łóżku, do którego zaciągnął akurat kolejną kochankę, co mimo skończonej sześćdziesiątki udawało mu się nadzwyczaj często. Wiele razy słyszał za plecami słowo „małpa” lub „niedźwiedź”, co go raczej bawiło, niż urażało. Wiedział doskonale, że jego ostentacyjnie włochata zwierzęcość jest jednocześnie zapowiedzią jurności i testosteronowej zasobności, którą wiele kobiet i mężczyzn potrafiło odczytać w sposób właściwy. Kobiety uwielbiał, mężczyźni go nie interesowali, choć swą alergię do gejów skrywał tym staranniej, im bardziej zamożnymi lub wpływowymi bywali jego pacjentami, a innych właściwie już nie miewał.

Owszem, był małpą i niedźwiedziem, ale nie z manier. Te były nienaganne i wypolerowane jak guziki jego marynarki. Było to w jakimś stopniu zasługą genów –

jego zamordowany w Katyniu dziad był rotmistrzem Siódmego Pułku Ułanów Lubelskich – ale głównie wynikało z osobistej zawziętości, aby żyć jak król, przez co rozumiał nie tylko zbytek i wygodę, ale i dworską ogładę. To ta zawziętość spowodowała, że z zahukanego pól sieroty – którego matka, po pochowaniu męża zabitego przez gruźlicę, musiała dorabiać do lichej pensji urzędniczej porannym roznoszeniem mleka pod drzwi, w czym mały Romek, pokonując wstyd przed rówieśnikami, lojalnie jej pomagał – wybił się, mimo hulaszczego życia, na przodującego studenta wrocławskiej Akademii Medycznej, a potem na warszawskiego „lekarza elit”, jak lubiła go nazywać brukowa prasa, co przyjmował z satysfakcją, gdyż ego też miał królewskie. Dlatego fakt, że teraz, prowadząc swojego czarnego G500, Roman Andruszkiewicz miał na sobie aż trzy tak do siebie nie pasujące ubrania, wynikał nie z jakiejś abnegacji odzieżowej czy braku klasy, lecz z braku czasu, po prostu.

Gdy wybudzony telefonem, usłyszał, że jego najważniejszy pacjent popadł w kłopoty, zerwał się z pościeli, złapał swą lekarską torbę, narzucił marynarkę, wsunął stopy w zamszowe mokasyny Salvatore Ferragamo (2,3 tysiąca złotych za parę) i wybiegł z domu. Już w drodze do samochodu spryskał się odruchowo, lecz jak zawsze obficie, dobytą z torby wodą toaletową tej samej marki, która w salonie kosztowała go 500 złotych za malusi flakonik. Owszem, na Allegro można trafić ją taniej, ale czy ludzie z klasą powinni polować na okazje w Internecie?

Pacjent, do którego się tak śpieszył, nie dlatego był najważniejszy, bo najwięcej znaczył lub najlepiej płacił, ale dlatego, że był przyjacielem.

Był przyjacielem od młodości – durnej, chmurnej, zadziornej i nie do powtórzenia. Lecz gdyby mógł, czy doktor zechciałby ją powtórzyć? Po co przeżywać raz jeszcze coś, co przeżyte, przeżute, często zapomniane? Nie lepiej smakować dzisiejszość? Tym bardziej, że ona pławiła się w dostatku, który pozwalał nadać przyjacielskim relacjom całkiem przyjemne oblicze. O ile milej celebrytuje się urodziny starego druha, spożywając z nim obiad na pokładzie jachtu, sunącego nieśpiesznie norweskim fiordem, niż składając mu życzenia, choćby i najserdeczniejsze, ale tylko na Facebooku.

Co innego jednak karmić się na siłę pustymi kaloriami nostalgii, a co innego chojracko powspominać. Tu materii mieli dwaj przyjaciele aż nadto. Polska Ludowa i pierwsza młodość w niej, pełna brawury i beztroski. Studia we Wrocławiu, tym zniewalającym magią poniemieckim mieście, które wskutek wyroków historii ubogacone zostało lwowskim depozytem intelektualnym i które chyba najgorzej ze wszystkich miast od Bałtyku do Tatr czuło się w socjalizmie. Jeden na chemii, drugi na medycynie. Obaj ochotni na życie jak diabli. A naprzeciw nim szaro-bury PRL lat osiemdziesiątych.

Ale radzili sobie. Forsy mieli jak lodu, zarabiali na elitarnych zleceniach

w studenckiej spółdzielni pracy – roboty na wysokościach, malowanie kominów, mycie szyb – ale przede wszystkim na przemyście na Węgry i do Rumunii. Wywozili kryształ, śpiwory, butle gazowe, namioty, ręczniki, krem Nivea i biseptol, który po sproszkowaniu służył rumuńskim kobietom jako środek antykoncepcyjny. Przywozili dolary, którymi szastali.

Nie było tygodnia, aby w studenckim klubie Pałacyk, dawnej renesansowej siedzibie Schaffsgotschów, zdobnej w wykusze, lukarny i wieże, któryś z nich nie dokonał jakiegoś podboju – miłosnego lub pijackiego. Co nie znaczy, że tylko bradziażyli. Z równą gorliwością, co w maratonach tańca czy w pijackich zawodach, brali udział w wielogodzinnych spektaklach teatralno-muzycznych lub dyskusjach o filmie, które i tak szybko przeradzały się w kłótnie polityczne, ku ucieście licznych na sali konfidentów bezpieki, zadowolonych, że będą mieli o czym napisać w swych donosach. Stary portier, który zbudował swój mit na osobistej znajomości z samym Zbigniewem Cybulskim, uwielbiał ich za sute napiwki i nigdy nie wymagał pobierania numerka w szatni.

Hojność dwóch rozrywkowych studentów doceniała też wrocławska bohema artystyczna, sama biedna jak mysz, a przecież stale na kacu, który wymagał pielęgnacji. Widywano ich w barku hotelu Grand, w Złotej Kaczce, w Cyganerii, w kasetce, czyli Klubie Związków Twórczych, i w przypominającej średniowieczny loch Piwnicy Świdnickiej. Nie odpuszczali też festiwalowi Jazz nad Odrą. Jak u siebie czuli się w Rurze przy Łaziennej, która przez długą noc komunizmu była jednym z zaledwie dwóch klubów Europy Wschodniej oznaczonych na jazzowej mapie kontynentu. Drugim było warszawskie Akwarium, do którego też lubili wyskoczyć, a raz zrobili to nawet taksówką.

A potem nowa Polska i druga młodość, czyli czas, kiedy co trzeciemu facetowi odbija i daj Bóg, aby miał wtedy czym nakarmić swoją szajbę. Bo inaczej czernieje z frustracji, kurczy się i kwaśniej jak niedopity kompot. Oni mieli czym karmić swoje szajby. Zarabiali na pokazach video, na sprowadzanym z Berlina sprzęcie audio, na pierwszych komputerach i grach do nich. Przywozili buty z Włoch, pornografię ze Szwecji i anteny satelitarne produkowane w Zielonce pod Warszawą. A wszystko to pracując na lichych etatach – Witold pracownika naukowego uniwersytetu, Roman lekarza.

Zachłyśnięci impetem zmiany i łatwymi pieniędzmi, szlajali się nocami po wrocławskiej starówce kupionym od cwaniaka z Włoch kabrioletem, obaj w śliwkowych marynarkach z podwiniętymi rękawami, żeby dochować wymogów knajackiej mody, ale i zademonstrować swoje roleksy, pokaźne niczym wojskowe kompasy i podrabiane, bo na oryginalne mieli jeszcze czas. Obsługa wyrojonych nagle nocnych lokali brała ich za gangsterów, a gangsterzy za ludzi służb, co było gwarancją nietykalności. Oni zresztą sprytnie te domysły podsycali, bawiąc się nimi

i korzystając z nich obficie.

A gdy się już zmęczyli, parkowali przed przychodnią, w której pracował Roman, i zamknawszy się w zacisznej kanciapie, podłączali się do kroplówek z glukozą i środkami na uspokojenie, aby w spokoju wrócić do życia, pogadując przy okazji, której pielęgniarkę co by zrobili, bo kac-jebaka ma przecież swoje prawa. Sweet, sweet nineties... Mój Boże, jakże to było niedawno! A jednocześnie jak bardzo już daleko stąd.

Tak właśnie – „slit, slit najtis...” – powiedział wczoraj do młodej dziennikarki z prestiżowego tygodnika opinii. Od kilku tygodni naprzykrzała mu się o rozmowę, niezbędną jej do książki o polskich milionerach. Miał to być zbiór wywiadów, ale nie z samymi zainteresowanymi, lecz z ich bliskimi: dziećmi, małżonkami (obecnymi lub jeszcze lepiej byłymi), współnikami (obecnymi lub jeszcze lepiej tymi wystrychniętymi na dudka), współwzięźniami (jeśli któryś z krezusów siedział), nauczycielami z dzieciństwa, trenerami tenisa i asertywności, instruktorami lotnictwa i jazdy konnej, katechetami, sąsiadami, przyjaciółmi, lekarzami w końcu (z zachowaniem reguły tajemnicy lekarskiej lub jeszcze lepiej – nie).

Roman Andruszkiewicz gardził dziennikarzami, mając ich za przekupnych, niedouczonego i naskórkowego sensatów, wiecznie nadymanych własną rzekomą wyjątkowością. Nie była to opinia bezpodstawa, gdyż swego czasu skosztował romansu z kapryśną i wybornie opłacaną gwiazdą „Zdarzeń”, serwisu informacyjnego tak przebiegle mieszającego fakty z rozrywką oraz zmyśleniem, że od lat plasującego się na szczytach oglądalności. Przejął ją po pewnym wziętym pisarzu i tym sposobem dowiedział się, że sława tamtego oparta była głównie na mrówczej, skrytej pracy redaktora w wydawnictwie, który praktycznie pisał na nowo całe książki autora, aby on brał potem za nie znaczące nagrody w prestiżowych konkursach.

Pogarda, jaką doktor żywił do dziennikarzy, jeszcze się pogłębiła po tym, jak swego czasu czołowy portal informacyjny zrobił psychola z człowieka, do którego Andruszkiewicz zdążył teraz z lekarską i przyjacielską pomocą. News o chorobie psychicznej, jaką przeszedł w młodości prominentny dziś człowiek biznesu, utrzymywał się na frontpage'ach krajowych serwisów dziwnie długo, wzbudzając nieprawdopodobną ilość kloacznych komentarzy. Poniekąd doktor czuł się za nie odpowiedzialny, bo to on przed laty podpowiedział przyjacielowi, jak sfingować własną niepoczytalność, na dodatek zorganizował mu pobyt w specjalistycznym szpitalu na prowincji, co poskutkowało tym, czym miało poskutkować, czyli bezwarunkowym odroczeniem od służby wojskowej.

Dlatego za pierwszym razem Andruszkiewicz odmówił wywiadu. Podobnie jak za drugim. Zgodził się dopiero po trzecim telefonie dziennikarki, przekonany zresztą przez samego przyjaciela, o którym miał opowiadać, a do którego ona zdążyła już dotrzeć za pośrednictwem osób trzecich i wkraść się w jego łaski przymilnym mailem,

którego jakimś cudem nie zignorował w potopie codziennej korespondencji. Wciąż jednak miał opory, a stracił je dopiero wtedy, gdy zobaczył jej zadziorne cycki oraz przekonał się, że nie jest aż taka głupia jak inne dziennikarki.

Rozmawiali przy obiedzie w restauracji „Wrona i Przyjaciele”. Sprawa została załatwiona w czasie, jaki upłynął im od przekąszenia carpaccio z tuńczyka do wypicia lampki Martella Cordon Bleu. Pomiędzy były jeszcze: zupa borowikowa z łązankami i orzechami, pieczeń z dziczyzny w jałowcu, obłożona ziemniakami z pieca i koprem, karafka monastrella z hiszpańskiej Jumilii, krem z czarnych porzeczek i filiżanka espresso. O dziwo, oboje jedli i pili to samo: od przystawki po deser dziennikarka wskazywała w karcie takie same dania, jakie wybrał dla siebie doktor. Zapytana, dlaczego to robi, odparła rezolutnie i nie bez zalotności, że polecano go jej jako smakosza nie tylko dobrej gawędy, ale i dobrej kuchni, więc kieruje się wyborem mistrza. Poczul się jak kogut, któremu właśnie ktoś uniósł grzebień.

Uparł się, że to on zapłaci, a nie redakcja tygodnika. Taki był jego królewski warunek, którym chciał okazać swą niezależność i gest. Przezornie przyniósł z sobą własny dyktafon, który przez cały czas rozmowy stał obok jej dyktafonu i wcale nie peszył dziewczyny. Widocznie w jej skurwionym świecie taka asekuracja rozmówcy była nie tylko gwarancją bezpieczeństwa, czymś w rodzaju osobistego bhp, ale i stylem bycia.

Ten dyktafon leżał teraz na półce pod radiem jego terenowego mercedesa G500, którego rozmiary, moc, możliwości oraz przeznaczenie w najmniejszym nawet stopniu nie były uzasadnione trybem życia doktora. Nie polował, nie łapał ryb, nie tęsknił za przyrodą, bo jej nie potrzebował. Nie gonił za młodością po błotach i wertepach poligonów, na oczy nie widział pustyni, a las go odpychał. Na dodatek nie radził sobie za dobrze z parkowaniem takiego smoka, a czasem też wzbudzał nim zawiść. Kiedyś, na pewnym benefisie, młody podpity biedak z branży aktorskiej, celując wyraźnie w doktora, próbował popisać się sucharem o tym, co dojrzali mężczyźni rekompensują sobie rozmiarami swoich samochodów. Andruszkiewicz przez resztę przyjęcia nie spuszczał z łachudry oka. Doczekał się, aż tamtego przycisnęło, i poszedł za nim do toalety. Młody aktor wyszedł z ubikacji zbulwersowany.

Doktor zdjął dyktafon z półki i wcisnął klawisz „play”. Jego głos był dokładnie taki, jaki powinien być głos lekarza opiekującego się elitą. Ciepły tenor wyściełany aksamitem. Kordialność podbita czułością. Stonowana pewność, której należy zaufać. Słuchał siebie z przyjemnością.

– Jego pierwsze pieniądze? Mam rozumieć, że pyta pani o pierwsze poważne pieniądze, czy tak? Dziękuję... Otóż, droga pani, to były nasze pierwsze duże pieniądze. Nasze, bo on mnie wtedy w swój pomysł wciągnął, uczynił współnikiem... I jak ta borowikowa? A nie mówiłem, że pychota?

– Proszę sobie wyobrazić: osiemdziesiąty drugi, pani pewnie jeszcze na świecie nie było, stan wojenny, pokraczna brzydota pe-er-elu, puste półki, bida z nędzą. Na wszystko kartki. Wprowadzono jakiś kretański handel wymienny na linii państwo-obywatel. Za kwit ze skupu makulatury, poświadczający oddanie dziesięciu kilogramów papieru, bo władzy wtedy nawet starego papieru brakowało, można było kupić tanio trzy pary białych skarpet frotte... Tak, trzy pary... Tak, skarpet... Ależ to był wtedy odzieżowy rarytas! Na czarnym rynku sprzedawało się od ręki i z pięciokrotną przebitką. Zarobek sam się pchał w ręce, ale skąd wziąć stosowną ilość makulatury? ... Jeszcze kieliszek? Nie? Pozwoli pani zatem, że doleję sobie...

– Oczywiście, że to była spekulacja, za którą karano sądem, i to był właśnie ten dodatkowy smaczek życia w PRL. Pod ścianą przecież nie stawiali, choć i tak ryzykowaliśmy dużo. Ja na trzecim roku Akademii Medycznej we Wrocławiu. On na pierwszym roku chemii tamtejszego uniwerku. A tu bazarowy handel skarpetami na spekulacyjną skalę... Pani zdrowie...

– A tak, bazarowy, zaraz do tego dojdę, najpierw o makulaturze... Otóż on dowiedział się, że wrocławskie przedsiębiorstwa państwowe, wszystkie te, wie pani, drogbudy, mostostale, wojewódzkie kolumny transportu sanitarnego i jakiego tam jeszcze, okręgowe zjednoczenia przemysłu lekkiego, ciężkiego i Bóg wie jakiego, no więc, że ta rozbudowana monstrualnie biurokracja produkuje całe góry dokumentów, z którymi po ustawowym czasie nie ma co robić, więc zapełnia nimi piwnice. I one pękają w szwach, te piwnice... Uwaga, nadchodzi kelner z drugim daniem...

– Pychota ta sarna... Ale wracając do tematu. Wystarczyło pójść do dyrektorów administracyjnych tych firm, powiedzieć, że my ze studenckiej spółdzielni pracy, a potem znaleźć kogoś z furgonetką i opróżnić im te piwnice w ramach pracy zleconej. Płacili lepiej niż za mycie okien na wysokościach. Następnie do skupu, a potem z zaświadczeniem po skarpety do domu towarowego. Tak się wtedy nazywały centra handlowe... Przepraszam, wolałem wyjaśnić. Dziś nie wiadomo, kto co pamięta, a czego nie...

– Upychaliśmy te skarpety kolanem, a i tak uzbierało się tego osiem plecaków wysokogórskich. Takie ze stelażem, wintydż. My mieliśmy tylko dwa plecaki, więc zrobiliśmy aż cztery kursy, tam i z powrotem, w czterdzieści osiem godzin. Dokąd, pyta pani? Do Warszawy. Osobowym, żeby było taniej. Potem autobusem do Rembertowa. Wtedy był to największy bazar odzieżowy w Polsce. Najmodniejsze trendy, największy zarobek. Ubierały się tam gwiazdy estrady, cinkciarze i żony ambasadorów. Szpenio z pierwszej z brzegu budy wziął od nas wszystko hurtem... Napisała pani swego czasu o Rembertowie reportaż? Co pani powie, naprawdę? Jakże mi miło. Czy znajdę go w sieci?...Przeczytam, obiecuję... O Różyku też? No, proszę... W dwa dni zainkasowałem wtedy roczny zarobek początkującego lekarza w pogotowiu. I to wszystko on wymyślił... Dolewam. Tym razem tak? Oczywiście,

tylko kapkę, jak sobie pani życzy...

– A potem co było, pyta pani? A potem on poszedł siedzieć. Na rok... Nie, nie za spekulację! Broń go panie Boże! Za politykę. Chcieli go relegować z uczelni, ale ujął się za nim profesor Malinowski, stary Lwowiak, znajomy papieża... Ale o tym opowiedzą już pani ci, którzy byli z nim w podziemiu i pod celą. Ja się w to nie bawiłem, choć kibicować, i owszem, kibicowałem solidaruchom namiętnie. Precz z komuną! A teraz wiwat desery!

Samochód przed nim zahamował znienacka. Nagłe uderzenie adrenaliny, klakson, bluzg i kwaśny smak stresu pod językiem. Andruszkiewicz zobaczył psa z podkulonym ogonem, umykającego w przecznicę, zapewne sprawcę incydentu. Zjechał na chodnik, żeby ochłonać, wtedy zobaczył, że jego lekarska torba leży na podłodze.

Ta torba była znaczącym rekwizytem jego osobistej marki. Jakies dziesięć lat temu, gdy odkrył nie bez pewnej ulgi, że nie ma już ani ochoty, ani siły, aby rozwijać się zawodowo i ścigać z młodymi napinaczami, postanowił określić się na nowo. Niech świat pędzi sobie, gdzie chce na tych swoich światłowodach i gigabitach, lecz on, Roman Andruszkiewicz, internista drugiego stopnia, będzie żył od teraz z czegoś, co na swój użytek zaczął nazywać niańczeniem milionerów, a na użytek publiczny patronatem medycznym.

Dzięki rekomendacji swego najlepszego przyjaciela i własnym przymiotom nadspodziewanie szybko dorobił się grona dziesięciu zamożnych pacjentów, dla których stał się kimś w rodzaju lekarza rodzinnego. Stały miesięczny ryczałt w wysokości czterech tysięcy złotych od nazwiska (przez co należało także rozumieć rodzinę pacjenta) pozwolił Romanowi Andruszkiewiczowi wieść życie dokładnie takie, jakie chciał wieść.

Dość szybko potwierdziły się też jego podejrzenia, że częściej niż wiedza medyczna będą w tym sposobie zarabkowania potrzebne: cierpliwość, umiejętność słuchania i znoszenia fochów, odporność na hipochondrię oraz żelazna dyskrecja. A także gotowość do głaskania kogoś po głowie i trzymania go za rękę. Tak czy tak, było to dużo przyjemniejsze niż dyżury w przepelnionych przychodniach lub grzebanie kleszczami w trzewiach, tym bardziej, że głaskane głowy bywały umyte i pachnące, dłonie wypielegnowane, a wizyty miały miejsce w domach, jakich przeciętny Polak nie widuje nawet w skłamanych serialach.

A jak już zdarzyły się przypadki poważniejsze, wymagające interwencji specjalisty lub wizyty w szpitalu, Roman Andruszkiewicz zamieniał się w ustosunkowanego i obrotnego medycznego pośrednika, którego zadaniem było zapewnienie fachowego ciągu dalszego, o co dbali już wybitni specjaliści, których znał i umiał z nimi trzymać sztamę. Nie było w tym za grosz oszukańczego wyrafinowania, bynajmniej, jako lekarz nie wypadł przecież psu spod ogona.

Z racji bywania w wyjątkowym środowisku, ważne stało się pielęgnowanie własnej zewnętrznosci, w czym doktor zasmakował jak kobieta. Musiał też wyposażyć się w luksusowe gadżety, jak choćby w tę pękatą torbę z cielęcej skóry, wzorowaną na dziewiętnastowiecznej, która kilka chwil wcześniej spadła na podłogę mercedesa. Sięgnął po nią, położył na siedzeniu i przypiął pasem. Wtedy usłyszał dobiegający spod fotela głos dziennikarki opiniotwórczego tygodnika:

– Skoro spytałam o pierwsze poważne pieniądze, to nie sposób spytać o ostatnie. Jaki był ostatni złoty strzał pana pacjenta?

Widocznie podczas gwałtownego hamowania dyktafon spadł z półki i wleciał pod fotel. Doktor namacał go dłonią i wyjął spod siedzenia. Teraz usłyszał siebie i znów zrobiło mu się przyjemnie:

– Pacjenta i przyjaciela, pani redaktor... A poza tym bardzo dobre pytanie, klamra musi spać tekst, prawda? Ale najpierw łyk koniaku... Ostatni złoty strzał? Proszę bardzo... Słyszała pani o brawurowym debiucie giełdowym Jagiellonian Wind?... Tak, Jagielloński Wiatr, cudowna nazwa, prawda? I nie na warszawskim parkiecie, lecz w Szanghaju. Tak, w Szanghaju! Za kilka lat co drugi miliarder w Chinach będzie pływał polską łajbą. Pani wie, ilu miliarderów mieszka z samym Pekinie? Stu!... Nie, nie pomyliłem się. Miliarderów, nie milionerów. Człowiek, o którym rozmawiamy, jest ojcem tej firmy i ma w niej dziewięćdziesiąt osiem procent udziałów... A zatem, zdrowko, za pomyślność projektu!

– Pyta pani, kto ma dwa pozostałe dwa procenty? Ja, proszę pani. Ja je dostałem... Tak, od mojego przyjaciela, o którym rozmawiamy... Dlaczego mi je podarował? W imię przyjaźni, pani redaktor. W imię przyjaźni.

Doktor wyłączył dyktafon, schował go do kieszeni marynarki, po czym włączył radio, z którego buchnęła skoczna muzyka. Zjechał z trotuaru i za dziesięć minut zahamował przed szlabanem, za którym rozciągało się osiedle, gdzie mieszkał jego najlepszy przyjaciel, Witold Niemcewicz.

Rozdział dziewiąty

SERCE NR 62

WNĘTRZE. OBÓZ PRACY – DZIEŃ

Ponura cela w obozie pracy jest przepelniona. Po obu stronach ściany stoją bambusowe piętrowe prycze. Niektóre zasłonięto prymitywnymi zasłonkami ze starych firanek i szmat; to przejaw nieustannej walki o odrobinę intymności. Pod sufitem sznurki z praniem. Żadnych ozdób, zdjęć na ścianach, oznak prywatności.

OSADZENI leżą na pryczach. Tylko jeden robi na podłodze gimnastyczną „kołyskę”. Ma na sobie sprane sportowe szorty i podkoszulek na ramiączkach. Muskularne ręce, muskularne nogi, muskularny kark. Nie są to jednak mięśnie sterydowe. Twarzy nie widać.

Słysząc CHRZEŚT rygła. W drzwiach staje CHYTRY STRAŻNIK. Samo jego spojrzenie tłumaczy, skąd ten przydomek.

CHYTRY STRAŻNIK

(po mandaryńsku, napisy)

Numer sześćdziesiąt dwa!

Z podłogi powstaje gimnastykująca się postać. To Więzień nr 62. Wygląda jak atleta z greckiej amfory albo jak Bruce Lee ze swych najlepszych filmów. Mięśnie, żyły, ścięgna.

CHYTRY STRAŻNIK

Idziesz na badania.

Agnieszka skończyła scenę i spojrzała na zegarek w rogu ekranu. Była druga w nocy, co i tak nie miało znaczenia, gdyż trwały wakacje. Bardzo sobie ceniła odpoczynek od studentów, bo jak twierdziła, każdy kolejny rocznik był głupszy od poprzedniego.

Mimo, że sama jeszcze młoda, nie znosiła młodzieży. Ale jeszcze bardziej nie cierpiała wyrzekania na nią, bo ją to we własnych oczach postarzało i umniejszało. Czyniło małostkową staruchą. Ponad wszystko uważała się też za humanistkę, więc jakby z obowiązku wmawiała sobie czasem, że choć nie lubi, to przecież szanuje. A nawet wielkodusznie kocha. Czasem samarytańską miłością papieża, czasem wegańską miłością Dalajlamy, a czasem upaloną miłością hippisów, zwłaszcza gdy sama była po kilku dymkach, co zdarzało jej się rzadko, bo nie lubiła innych stanów świadomości. Opowiadała wówczas Dżonemu o swoich studentach, że to odżywiane syntetycznym białkiem greckie posągi z głowami pełnymi elektronicznego filcu, lecz

więcej w tych opisach było współczucia niż jadu. Unosiła palec do góry, po czym kładła go sobie na piersi i zadawała retoryczne pytanie: „Czy ktoś, kto nie kocha ludzi, zostałby szefem warszawskiej delegatury Legal Heart?”

Zapisała plik scenariusza i zatrzasnęła laptop. Poczuła się tak, jakby zakończyła wyjątkowo sumienny trening bokserski albo wysprzątała mieszkanie na glanc. Czego to nie potrafi zdziałać pilne odrobienie zadania domowego! Minimum jedna scena filmu dziennie, taki sobie narzuciła rygor. A dziś napisała aż dwie. „Ciekawe, czy teraz uda mi się zasnąć?”, pomyślała i już wiedziała, że nie.

W tej samej chwili, po drugiej stronie miasta, tak samo pokrzepiony poczuł się Witold Niemcewicz. Powodem nie była jednak ani praca twórcza, ani sport, ani sprzątanie, bo nawet gdyby miał na którąś z tych czynności ochotę, to nie miałby na nią siły. Salon wytwornego apartamentu, w jakim się znajdował, przypominał teraz mały prywatny OIOM – z aparaturą EKG, butlą tlenową na kółkach i kroplówką na stojaku. Niemcewicz był podpięty do wszystkich tych urządzeń, ponadto nakryty pledem z wielbłądziej wełny, nafaszerowany lekami i pilnowany przez pielęgniarkę z agencji obsługującej tych, którzy nie zwykli korzystać z państwowej służby zdrowia.

Źródłem pokrzepienia Witolda Niemcewicza był tubalny głos jego przyjaciela, dochodzący z holu, gdzie Roman Andruszkiewicz witał się jowialnie z panią Zosią, pomocą domową, która na wieść o tym, co się stało, przyjechała taksówką, żeby zostać na noc i ugotować rano „rosołek dla pana Witusia”.

Roman Andruszkiewicz wtargnął do salonu niczym komandos wysłany do odbicia zakładnika. W biegu zlustrował chorego, aparaturę medyczną i pielęgniarkę, po czym przypadł do sofy, na której spoczywał Niemcewicz i złożył na jego czole pocałunek – przyjacielski, głośny, dosadny. Zerknął na ekran EKG, po którym sunął bezgłośnie zygzak życia, przejrzał buteleczki z lekarami na podręcznym stoliku, zajrzał w oczy pacjenta i odruchowo w dekolot opiekunki, i w końcu się odezwał:

– Miałeś, bracie, szczęście, że pogotowie przyjechało tak szybko. – Z trzaskiem otworzył swoją staroświecką lekarską torbę, wyjął z niej słuchawki, założył je sobie na uszy, po czym nachyliwszy się nad Niemcewiczem, zdarł z niego wielbłądzi pled. – Dzwoniłem do szpitala rozmawiałem z ordynatorem, wiem wszystko. – Andruszkiewicz rozpinął guziki pidżamy chorego. – Przy okazji opierdoliłem ich, że zawiadomili mnie tak późno. – Spojrzał z wyrzutem na przyjaciela. – Twój kierowca też powinien był do mnie zadzwonić od razu.

Przyłożył słuchawkę do piersi Niemcewicza, jeszcze bardziej bladej niż prześcieradło, jakim zasłano stylową sofę od Klera. Wsłuchał się w organizm.

– To była utrata przytomności spowodowana niewydolnością serca drugiego

stopnia. Dlatego pozwolili ci jechać do domu. – Kolejna przerwa, chwila nasłuchiwania, przełożenie słuchawki. – Umrzeć nie umrzesz, ale... – Doktor znów przełożył słuchawkę i zamilkł.

– Ale? – ponaglił go Niemcewicz głosem słabym i zniekształconym przez maskę tlenową, lecz doktor położył palec na ustach.

Ośluchiwał chorego jeszcze przez chwilę, marszcząc i rozmarszczając czoło, po czym posłał pielęgniarkę przeproszającą skinienie głowy: – Pani wybacz, mamy z przyjacielem do pogadania.

Wyszła lekko nadąsana, kręcąc tyłkiem. Dużym i zmysłowym jak u latynoskiej tancerki. Kiedyś obaj by się za nią oblizali, teraz nawet nie spojrzeli.

– Ale? – powtórzył Niemcewicz spod maski.

– Ale do Chin cię nie puszczę. Za Chiny! – Andruszkiewicz nakrył przyjaciela pledem, wyprostował się i wyjął słuchawki z uszu. – Żadnych samolotów przez najbliższe pół roku. – Rozłożył ręce w geście, który mówił: siła wyższa.

Niemcewicz uniósł maskę: – Jak nie dostanę nowego serca, za pół roku będę w piachu – wyszeptał. – Lewicki ci nie powiedział, gdy dzwoniłeś? Jak lekarz lekarzowi?

Doktor jeszcze szerzej rozłożył ręce: – Szukaj gdzieś bliżej. Ja cię w samolot do Azji nie wsadzę.

Ruszył w stronę barku, nalał sobie obficie z karafki z rżniętego szkła, po czym upiwszy łyk, rozejrzał się po wnętrzu, które dobrze znał.

Stylista ożenił tu ascezę ze smakiem, stonowaną elegancją mebli dopełniając sztuką, której autorem była wyłącznie natura.

Tym stylistą był sam Niemcewicz. Pewnego dnia poczuł po prostu, że jako człowiek, który wzbogacił się szybko, nadmiernie i w pierwszym pokoleniu, wcale nie zamierza poddawać się powszechnemu wśród takich jak on, nowobogackich, zwyczajowi słuchania piekielnie chciwych i piekielnie zmanierowanych specjalistów od aranżowania wnętrz, układania diet i wyznaczania stylów życia. A gdy się już w swoim poczuciu umocnił, postanowił kupować wyłącznie to, co mu się naprawdę spodoba, nawet gdyby miało być tanie, co w jego sferach stanowiło synonim pospolitości. Ale i tak przecież tanie nie było.

To dlatego pewnego dnia ogołocił apartament z obrazów i instalacji, które nic nie przedstawiały, ponadto były szpetne, za to wykonane przez wziętych, więc drogich, artystów, i nakazał powiesić na głównej ścianie wielki jak młyńskie koło, nieokorowany plaster drzewa mamutowego, które w dniu ścięcia miało 898 lat, o czym zaświadczały skrzętnie policzone słoje. Na przeciwległej ścianie zawisła imponująca gablota z motylami-gigantami z Ameryki Południowej, których skrzydła były dla Niemcewicza dużo doskonalszą wersją tego wszystkiego, co przez wieki

udało się człowiekowi osiągnąć w jego zmaganiach z paletą barw, linią, perspektywą i techniką malowania. Trzecia ściana pomieszczenia była panoramicznym oknem, a do czwartej, obok drzwi, przyśrubowano i pomysłowo oświetlono płytę z pakistańskiego marmuru. Ręka szlifierza wydobyła ze skały bajeczny rysunek przywodzący na myśl ni to fantastyczny liszaj o nieco waginalnych kształtach, ni to zdjęcie satelitarne Marsa z zaznaczonymi nań poziomiami we wszystkich możliwych stężeniach brązu.

Natomiast w kącie przy oknie spoczywała okazała bryła czarnego hematytu, która w 1851 roku miała być pokazana na Wielkiej Wystawie Światowej w Londynie, lecz w końcu musiała ustąpić miejsca większemu okazowi. Przez dziesięciolecia tułała się po muzeach i magazynach, aby w trzecim millenium wylądować w domu aukcyjnym Christie's, gdzie zakupił ją Witold Niemcewicz, będący akurat pod wpływem alkoholu oraz wielkiej urody minerału. Wypolerowana na błysk, sprawiała wrażenie mięsnej tkanki, jeszcze żywej i pulsującej swą bulwiastą fakturą. Jakby diabeł olbrzym wypluł tu swoje chore płuca, czarne od grzechu i piekielnej smoły.

Jego salon przypominał teraz trochę muzeum historii naturalnej, co powodowało uniesienie brwi, a nawet ledwo widoczne grymasy dezaprobaty tych jego gości, którzy snobowali się na koneserów sztuki. Niemcewicz miał to gdzieś. „Skoro nie jestem w stanie, i to bynajmniej nie ze względów finansowych, posiadać dzieł zrobionych ręką człowieka, które mnie naprawdę zachwycają – mawiał zagadnięty o tę inwazję przyrody na swoje mieszkanie – to wolę mieć w domu dzieła natury.” A gdy zapytany, co go tak naprawdę zachwyca w sztuce, odpowiadał z entuzjazmem, że „Polowanie na hipopotama” Rubensa oraz „Kozacy zaporoscy piszący list do sułtana” Riepina oraz architektura Nowej Huty, grymasy dezaprobaty nabierały ostrości i wyrazu.

Dlatego od dobrych kilku lat tę samą zasadę, której trzymał się przy nabywaniu kosztownych przedmiotów, stosował także wobec tych, których wpuszczał do któregoś ze swoich pięciu mieszkań lub trzech domów rozsianych po Europie. Zapraszani byli tylko ci, których lubił.

A najbardziej lubił doktora Romka, który siorbał teraz jego whisky na środku jego salonu i zastanawiał się, co powiedzieć. W końcu wymyślił.

– Powiedz mi, Witek, dlaczego ty musisz z tym aż do Chin.

Niemcewicz ze złością zdarł maskę z twarzy, uniósł się na łokciach.

– Mówiłem ci tyle razy. Nie wepcham się tu nikomu do kolejki.

– Że niby tam nie ma kolejek, bo ludzi mnogo, więc i dawców skolko ugodno? – Andruszkiewicz uwielbiał rusycyzmy, którymi okraszał swe wypowiedzi często, gęsto. – A skąd ty wiesz, kogo mafia dla ciebie ukatrupi i wypatroszy? – Lekarz uniósł szklankę pod światło, jakby na jej dnie szukał zatopionej mądrości, po czym wlał sobie w gardło całą jej zawartość i ugasiwszy alkoholem obustronną

konsternację, jaką wywołało jego pytanie, rzekł głosem rzeźkim i stanowczym: – Na szczęście nigdzie nie jedziesz.

– Na szczęście? Aż tak źle mi życzysz?

Doktor nie odpowiedział, tylko podszedł do przyjaciela i raz jeszcze pocałował go z czułością w czoło. Zaraz potem skrzywił się i wskazał na komódkę, gdzie stało cyfrowe radio stylizowane na cyberpunk.

– Czy to musi tak pitolić?

– To Bach, on raczej nie pitoli.

– Bach-srach. Miałem ciężki dzień.

Niemcewicz sięgnął po pilota i w pomieszczeniu zrobiło się cicho.

– Właśnie kazałeś mi wyrzucić do kosza wizytówkę ludzkości – powiedział z wyrzutem, lecz udawanym.

Andruszkiewicz posłał przyjacielowi pytające spojrzenie.

– Fuga C-dur Jana Sebastiana – wyjaśnił Niemcewicz. – W wykonaniu Glenna Goulda. To nagranie umieszczono na sondzie Voyager, która opuściła niedawno Układ Słoneczny. Będzie leciała w kosmosie miliard lat. Są w niej jeszcze wizerunki mężczyzny i kobiety, kilka matematycznych wzorów i miedziane płyty z zapisem życzeń w kilku językach i śpiewem wielorybów.

– Jezus, Witek, czym oni cię tu szprycują? – Doktor ponownie zaczął przeglądać buteleczki na podręcznym stoliku. – Śpiew wielorybów? Nie mogli im wysłać Rolling Stonesów?

Zaczął nucić „I can't get no satisfaction”, ugiął kolana, zakręcił biodrami, a potem zamarkował kilka kopulacyjnych ruchów godnych samego Micka Jaggera.

– Jeszcze poszalejemy, Witia. Jak dawniej!

W wykonaniu każdego innego mężczyzny w jego wieku wyglądałoby to albo komicznie, albo obleśnie, jednak Roman Andruszkiewicz miał w sobie to coś, co sprawiało, że nawet w oczach stuprocentowo heteroseksualnego mężczyzny, jakim był jego chory przyjaciel, taniec doktora wyglądał całkiem powabnie.

– Żałosny jesteś. – Niemcewicz znów udał oburzenie. – Poszalejemy? Obawiam się, że beze mnie.

Doktor nie próbował ripostować, tylko sięgnął po książkę, wystającą spod poduszki, na której spoczywał Niemcewicz.

– Plaga słowików? – przeczytał tytuł. – To jakiś horror?

– Filozofia. Eseje. Kołakowska... Córka tego Kołakowskiego – usłyszał w odpowiedzi, która go wyraźnie rozdrażniła.

– Powiedz mi Witek, tak szczerze... – W jego głosie pobrzmiwało zniecierpliwienie. – Co ci to daje? Bach? Filozofia? Wakacje w klasztorach? Jedzenie taniej zupy na Woli? No i ta... – Uniósł książkę, jakby chciał nią cisnąć o dywan, ale

nie cisnął, lecz wyszczał szyderczo: – Kołakowska, córka Kołakowskiego?

Niemcewicz przymknął oczy, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią. Przypomniawszy sobie siebie z tamtych dni tuż po przełomie. Zaczął się wtedy katować Bachem, którego geniuszu nie pojmował, ale czuł instynktownie, że oczyści się w ten sposób z muzycznej tandety, jaka atakowała go zewsząd na co dzień, w taksówce, w biurze, u fryzjera, w knajpie. Był jak człowiek wlewający w siebie kolejne litry wody mineralnej, żeby wypłukać toksyny. Czytał zażarcie Tomasza z Akwinu, z którego rozumiał tylko co trzecie zdanie, ale czytał. Zasnął na Kurosawie, po czym budził się, robił sobie kawę, cofał film do napisów i oglądał go raz jeszcze.

– Poczucie schludności – odpowiedział. – Poczucie schludności mi to daje.

Roman Andruszkiewicz skontrolował błyskawicznie swoją odzież, jakby szukał na niej oznak niechlujstwa, jakiejś plamy, dziury, smugi brudu. Posłał też cenzorskie spojrzenie swojemu roleksowi, rzecz jasna, autentycznemu. Wszystko było jak należy.

– O czym ty mówisz, Wicia? – spytał. – Zawsze byliśmy schludni.

Niemcewicz uśmiechnął się.

– Czuję się schludny wewnątrz.

Doktor nie wiedział, co odpowiedzieć, więc sięgnął do kieszeni marynarki po papierosy. Nagle zrobił minę, jakby namacał w niej sztabkę złota, która gdzieś mu się wcześniej zawieruszyła.

– Byłbym zapomniawszy – powiedział, wyjmując z kieszeni dyktafon. – Rozmawiałem z tą dziennikarką, która spisuje twój życiorys i sobie siebie nagrałem.

Wyciągnął rękę z urzędzeniem w stronę przyjaciela. Niemcewicz wstrzymał go gestem dłoni, więc doktor odstawił dyktafon na blat stolika.

– Nie chcesz o sobie posłuchać?

– Przeczytam w książce – odparł Niemcewicz. – Jak dożyję.

– To ja sobie wyjdę zapalić. – Andruszkiewicz włożył dłoń do drugiej kieszeni, skąd wydobyl papierośnicę. Nastąpiło kolejne lśnienie luksusu, tym razem w barwie starego złota.

– Kto dziś jeszcze przekłada papierosy do papierośnicy? – pokręcił głową Niemcewicz.

– Ja – odparł doktor, wyłuskując spod gumki aromatycznego camela. – Ale inaczej się nie da. Żebyś ty widział, co oni tam teraz drukują na pudełkach papierosów. Wstyd kogoś poczęstować.

– Widziałem.

– Kobieta plująca krwią w chusteczkę.

– Widziałem.

– Facet z dziurą w krtani! – Doktor przytknął palec wskazujący do gardła i wcisnął go aż po koniec pierwszego paliczka.

– Widziałem.

– Koślawe zębiska w zgniłych dziąsłach.

– Widziałem.

– To tak, jakby na flaszce przedniego łyskacza dać zdjęcie wątroby w ostatniej fazie marskości! – Andruszkiewicz rozkręcał się. – Czy ty, Witia, naprawdę nie uważasz, że to za daleko idzie?

– Co za daleko idzie?

Doktor zatoczył ręką: – Wszystko. Świat. Władza. Kontrola nad nami. Zakazy...

Niemcewicz uśmiechnął się pod nosem: – Tak samo narzekał Rzecki.

– Jaki znowu Rzecki? – spytał czujnie doktor. Jego mózg rozpoczął bezzwłocznie proces autoskanowania w poszukiwaniu ustosunkowanych osób o takim nazwisku.

– Ten z Lalki. Tak samo marudził na postęp, gdy rozmawiał z Wokulskim. Kiedy to było? – Niemcewicz przymknął na chwilę powieki. – Prawie sto pięćdziesiąt lat temu.

– Jak ten czas szybko leci – pokręcił głową doktor, po czym postanowił błysnąć: – A Chińczyki trzymają się mocno.

Niemcewiczem wstrząsnął krótki, bolesny śmiech człowieka tuż po zawale.

– Ale to z innej lektury, Romek! – zawołał do szerokich pleców przyjaciela znikających w ziejących czernią drzwiach na taras. Doktor nie odwrócił się, udał, że nie usłyszał, a Niemcewicz dopiero po chwili pojął drugie znaczenie riposty przyjaciela, najprawdopodobniej niezamierzone. To prawda, Chińczyki trzymają się mocno. Przynajmniej w jego, dwukrotnego zawałowca, rankingu szans na uniknięcie spotkania z kostuchą.

Rozżarzony na czerwono świetlik rozpoczął swój taniec za oknem, ale wcześniej Niemcewicz usłyszał kliknięcie zapalniczki Cedes Milano. Roman Andruszkiewicz chwalił się nią przed każdym, z kim po raz pierwszy wychodził na papierosa, dodając, że dopóki istnieją na świecie takie zapalniczki, dopóty nie warto rzucać palenia. Cacuszko wykonano z kła tygrysa, niklu, skóry i aksamitu, i kosztowała blisko tysiąc euro. Witold Niemcewicz wiedział o zapalniczce tak dużo, ponieważ sam kupił ją przyjacielowi na urodziny.

Noc szarpała firanami jak dziecko, które chce zwrócić na siebie uwagę. Niemcewicz opadł na swoje posłanie, przymknął oczy i nie bez nostalgii wciągnął nosem smużkę dymu, która wdarła się nieproszona do pokoju. Nie wiedzieć, dlaczego, stanął mu pod powiekami obraz pewnej mazurskiej nocy sprzed lat.

Sierpień osiemdziesiątego ósmego. Binduga w Krzyżach. Namiot. Na wyciągnięcie ręki czarna miednica Jeziora Nidzkiego, do której spadają gwiazdy. Na zewnątrz, zawieszona na gałązce brzozy, gaworzy turystyczne radyjko nastawione na

Wolną Europę. Specyficzny głos lektora, tak inny od głosów w komunistycznym radiu, dlatego tak bardzo rozpoznawalny, podaje wiadomości, których z tej odległości nie sposób zrozumieć.

Wiek męski, jeszcze ten zwycięski, choć wokół sama pospolitość ożeniona z podłością. Ma dopiero dwadzieścia osiem lat, lecz już czuje się jak Chrystus doznający wniebowstąpienia: takie samo upojenie człowiekiem, taki sam entuzjazm. Właśnie dostał etat asystenta na wydziale chemii, właśnie obronił doktorat, właśnie się zakochał – „Boh trojcu lubit”.

Leży wyciągnięty na łachmanie śpiwora i chce mu się wyć ze szczęścia. Drży. Obok rozchełstana Teresa, wciąż w gorączce i też jeszcze w drgawkach. Między nimi prawie dopita butelka ratafii, kupiona na kartki w wiejskim sklepie.

Gdy zdzierał z niej ubranie, Teresa powiedziała mu, że ma płodne dni, więc żeby uważał. Wydyszał – cały już roznamiętniony, niecierpliwy, roztrzęsiony, rozkochany – że skoro tak, to on się nie boi być ojcem. I potem zrobił wszystko, co trzeba zrobić, żeby nim zostać. Stał się nim już w następnym roku, dokładnie 4 czerwca.

Drzenie ustaje i ręka Witolda błądzi po skotłowanym śpiworze w poszukiwaniu paczki ekstra mocnych, które cały dzień nabierały mocy, prażąc się na tropiku namiotu. Nie ma nic lepszego niż dobry papieros po dobrym seksie. I nagle w szparę namiotu wpycha się głowa Romka Andruszkiewicza, jeszcze kruczoczarna, jak cała jego legendarna sierść. Źrenice rozszerzone, choć to nie on miał akurat przed chwilą orgazm. I krzyk z trudem tłumiony do szeptu:

– Śląsk się ruszył! Strajki w kopalniach! Jastrzębie! Jastrzębie-Zdrój! Nasz Wrocek też szumi. So-li-dar-ność! So-li-dar-ność!

– Śpisz, Wicia? – usłyszał głos przyjaciela, a gdy otworzył oczy, przeżył coś w rodzaju deja vu.

Siwa już, lecz nadal piękna głowa Romana Andruszkiewicza tkwiła teraz między połami zasłon, a bezbłędnie osadzone w niej oczy posyłały Niemcewiczowi pełne troski spojrzenie.

– A wiesz, że ta dziennikarka spytała mnie, czy masz dzieci?

Niemcewicz uniósł się na łokciach, wyraźnie zaniepokojony.

– I co odpowiedziałeś?

– Nic.

– Dlaczego?

– Bo nie wiedziałem, czy mogę.

Rozdział dziesiąty

SERCE NR 62

WNĘTRZE. SZPITAL – DZIEŃ

ZBLIŻENIE – Przysawki elektrokardiografu, przymocowane do klatki piersiowej mężczyzny, unoszą nieznacznie w rytm oddychania. Odchodzą od nich kable i nikną gdzieś pod kozetką, na której leży pacjent. Słychać ODGŁOS rysika rejestrującego pracę serca.

Z bakelitowej maszyny starego typu wysuwa się podłużny pasek papieru z równomiernym wykresem. To wydruk elektrokardiografu. Czyjeś dłonie rozprostowują go.

Obraz poszerza się i teraz widać, że pacjentem na kozetce jest Więzień nr 62. Natomiast sam gabinet to obskurna klitka z wyposażeniem medycznym jak sprzed dziesięcioleci. Odrapana szafka, staroświecki elektrokardiograf z bakelitu w obudowie z drewna, uroda polowego szpitala. Na ścianie jakiś prozdrowotny plakat w języku chińskim.

Za metalowym białym biurkiem siedzi LEKARZ w białym kitlu i spogląda pytająco na PIEŁĘGNIARZA, który też ma na sobie biały fartuch. Spod bieli fartuchów wyłania się zieleń wojskowych mundurów. Pielęgniarz trzyma w rękach wydruk w wykresem.

PIEŁĘGNIARZ

(z podziwem)

Serce jak u tygrysa.

Po tych słowach lekarz zapisuje coś w papierach na biurku.

Agnieszka przeczytała raz jeszcze scenę i spojrzała na okno. Dniało, miasto otworzyło właśnie jedno oko. Od drugiej nie udało jej się zasnąć nawet na chwilę, więc przed piątą, aby zapanować na lękiem, nasadziła na głowę słuchawki i znów wzięła się do pracy. To był dobry pomysł.

Siorbnęła melisy z kubka ozdobionego malowidłem serca gorejącego oplecionego drutem kolczastym. Kupiła go w sklepie z dewocjonaliami przy Ogrodowej, miał być żartobliwym prezentem dla Toma, szefa Legal Heart, który trzy miesiące wcześniej wpadł na kilka dni do Warszawy w ramach zwyczajowego oblotu europejskich delegatur organizacji, którą kierował. Pikawa spętana stalowym cierniem wydała jej się właściwą metaforą tego, czym się zajmują. Kiczowatą, tandetną, ale trafną i wymowną. Łapiącą – nomen, omen – za serce. Obozowy drut, pulsujący krwią organ, cierpienie, krzywda, śmierć.

Tyle, że prezent nie spodobał się jej zastępczyni, Marcie, która zaczęła sabotować

pomysł, posługując się bogatym arsenalem argumentów o religijnej opresji zaczerpniętych z modnych lewicowych kwartalników. Dla świętego spokoju Agnieszka kupiła więc Amerykaninowi album o przedwojennej żydowskiej Warszawie, który on i tak zostawił potem w taksówce. Usłużny taryfiarz dostarczył go na drugi dzień pod wskazany adres, ale Tom znów go zapomniał i poleciał do Ameryki bez prezentu.

Spotkania Toma z pracownikami polskiej delegatury Legal Heart odbywały się w mieszkaniu Agnieszki, gdyż oficjalne biuro organizacji, mieszczące się w trzypokojowym mieszkaniu pod bardzo przyzwoitym adresem na Starej Ochocie, zostało tymczasowo oplombowane przez czyszciciela kamienic, który z dnia na dzień podwyższył czynsz czterokrotnie. Tom, który dzięki wsparciu hojnych sponsorów z Teksasu, dysponował całkiem przyzwoitym funduszem operacyjnym, gotów był ponieść te koszty, ale Agnieszka powiedziała: „Stop!”. – Nie będziemy karmić gangsterów, Tom! – wykrzyczała mu przez Skype’a. – Sprawiedliwość dopadnie skurwysynów!

I w końcu dopadła. Z drzwi siedziby zdjęto plombę, a właściciel kamienicy poszedł za kraty, gdyż odzyskując ją po latach jako przedwojenne żydowskie mienie, posłużył się sfałszowanym pełnomocnictwem osoby, która według dokumentu powinna mieć 142 lata. Urzędnicy stołecznego ratusza jakoś przeoczyli ten szczegół.

Po tamtych naradach z Tomem została jej w mieszkaniu czarna tablica na trzech nogach, taka sama jakie widuje się w szkołach. Od narysowanej na niej białą kredą postaci z czterema rękami i czterema nogami – bo wzorowanej na człowieku witrawiańskim Leonarda da Vinci – odchodziły strzałki. Każda kończyła się napisem po angielsku: serce, wątroba, nerki, trzustka, rogówka, twardówka, płuca, jelito, więzadła, tętnice, kość udowa, skóra, oczy, skalp. Przy każdym organie zapisano cenę w dolarach. Najdroższa była nerka: 250 tysięcy dolarów. Potem wątroba: 150 tysięcy. Serce plasowało się na trzecim miejscu: 120 tysięcy. Zdumienie budziła cena pary oczu – zaledwie 1500 dolarów. – Ceny, rzecz jasna, amerykańskie – mówił im Tom, gdy zapisywał te cyfry. – W Afryce lub Azji pięć razy taniej.

Na marginesie schematu pijany Dżony dopisał czerwoną kredą pytanie: „How much does a soul cost?”. Które doczekało się napisanej po polsku odpowiedzi Marty: „Dusza nic nie kosztuje, bo człowiek jej nie posiada”. Riposta złagodzona została znakiem uśmiechniętej buźki, co mogło być znakiem pokoju, ale i nieznośnego protekcjonalizmu, z jakim Marta odnosiła się do wierzących. Dżony nosił na szyi krzyżyk, Marta też, tyle że odwrócony. Agnieszka nie znosiła jej, ale tolerowała w fundacji jako swoją prawą rękę, gdyż Marta znała aż pięć języków i potrafiła harować jak wół.

Agnieszka dokończyła melisę, choć z powodu nieprzespanej nocy bardziej miała ochotę na kawę. Bała się jednak, że kawa tylko niepotrzebnie ją pobudzi, emocje

miała już rozhuśtane jak morze batożone przez huragan. Bynajmniej nie wskutek wysiłku twórczego.

Ferment w duszy wziął się z pytania: kto zapłacił tę przeklętą kaucję? Legal Heart nie zrobiła tego na pewno, co kilka godzin temu potwierdził jej mailowo sam Tom. Więc kto? Nawet pisząc scenariusz, budowała w myślach hipotezy, potem je obalała, w ich miejsce wstawiała nowe, które za chwilę też obalała, aby niechętnie, a nawet z odrazą i mocno wbrew sobie, lecz przecież w zgodzie z logiką, zbliżyć się, krok po kroku, do tej jednej, jedynej, właściwej odpowiedzi. A ta powodowała w jej głowie jeszcze większy sajgon.

Sajgon. Kiedyś spytała swoich studentów, czy wiedzą, skąd się wzięło to slangowe wyrażenie, którego rzadko, bo rzadko, ale też przecież używają. Nie wiedział nikt, nawet syn naturalizowanego Wietnamczyka, inna rzecz, że urodzony już w Polsce. Wielu nie miało w ogóle pojęcia, że istnieje na świecie takie miasto. Gdy wyłożyła im genezę idiomu, jedna ze studentek, stażystka startującego do medialnych igrzysk portalu lewamarsz.com, spytała wprost i nie kryjąc oburzenia, czy nie jest to aby przejaw językowej przemocy poniżającej ofiary wojen w Trzecim Świecie. – I rasizmu! – dorzucił ktoś z końca sali całkiem serio.

Gdy oderwała się od pracy, sajgon w jej w głowie powiększył się. Pęczniał i kipiał niczym azjatyckie miasto po zmierzchu. A swoją drogą, pomyślała, może warto by się tam kiedyś wybrać? Jak się teraz nazywa Sajgon? Wpisała nazwę w prostokącik Google... O, kurwa, Ho Chi Minh! Miasto imienia czerwonego zbrodniarza. Dzięki bardzo! To jednak najpierw skałki w Dolomitach.

Zdjęła słuchawki, z których przesączały się do jej mózgu brzmienia mis tybetańskich, ów relaksacyjny masaż dźwiękiem, jaki sobie zapodała w nadziei na ukojenie, i który okazał się równie nieskuteczny jak potrójna melisa w kubku z sercem. Usłyszała chrapanie Dżonego. Jego organizm odbierał sobie bez skrępowania całonocną należność, sygnalizując to otoczeniu tyleż beztrąsko, co głośno, na dodatek miarowo. Szczęściarz Dżony. Skurwiel.

Coś trzeba było postanowić. Skoro powodem jej bezsenności było proste pytanie, to może warto poszukać na nie odpowiedzi, tyle że już nie we własnej głowie? I jakakolwiek ta odpowiedź będzie, niechaj już będzie. Dopiero gdy ją uzyska, Agnieszka zastanowi się, czy warto było pytać.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła szósta. Nie za wcześnie? Zanim się zbierze, zanim ubierze, zanim zje śniadanie, zanim dojedzie rowerem – nie, nie będzie za wcześnie.

A może jednak za wcześnie? Czym by tu zabić czas? Otworzyła laptop i dopisała do scenariusza jeszcze jedną krótką scenę, którą wydusiła z mózgu jak resztkę pasty z tubki. Skopiowała ją i wysłała mailem na adres Dżonego.

Począpała do kuchni i przepłukała pod kranem kubek z Jezusowym sercem.

Skrzypnęła lodówka. Postawiła na gazie rondel z wodą, do którego wrzuciła spory kawał kiełbasy podwawelskiej. Na stole postawiła słoik z chrzanem, masło, koszyk z pszennymi bułkami i miskę ogórków kozackich, których esencjonalny, szczypiący smak wart był każdej ceny, tymczasem kosztowały zaledwie sześć złotych za słoik. Do tego – a jebał pies niepokój – czarna kawa. Siekiera z trzech łyżeczek. Plus pięć kostek cukru. I tak spali to wszystko wieczorem przy worku. Szkółka bokserska to był jednak dobry pomysł na rozładowanie stresów i utrzymywanie się w formie. Na pewno lepszy niż sekciarskie bieganie, które wśród jej znajomych stawało się już nie tyle obsesją, co towarzyskim szantażem. No i przy ringu poznawało się ciekawszych ludzi niż na ścieżce do joggingu.

– Odżywasz się jak drwal – powiedział jej swego czasu Dżony, na co odparła, że jak mu to przeszkadza, to niech sobie poszuka Panny Bakłażanny. – I wpierdalajcie razem proso. Jak kury – dodała.

Idąc do łazienki, obrzuciła swego chłopaka szybkim spojrzeniem. Spod kołdry wystawała tylko ruda czupryna, która z daleka wyglądała jak zwinięta na poduszce wiewiórka. Spał snem dziecka. Poczwała złość i zazdrość. W takich chwilach miała ochotę podejść i wyszarpać go za te ryże włosy spod pościeli, po czym... No, właśnie, po czym zapewne zaczęliby się kochać. Na szczęście na dole nie był rudy.

Kolor jego włosów często ją drażnił, czasami rozczulał, i nigdy nie potrafiła sobie wyjaśnić, skąd w niej się to bierze. Gdy w uniwersyteckiej kawiarence zwierzyła się ze swych stanów znajomej doktor psychologii, która upierała się, by ją nazywać psycholożką, usłyszała, że to zapewne utajony i wypierany objaw niechęci do obcych. – My, Polacy, jesteśmy podświadomymi ksenofobami – powiedziała psycholożka znad okularów, jak najbardziej serio. Od tej pory Agnieszka, gdy tylko dostrzegła ją na korytarzu uczelni, sięgała po telefon i udawała, że zawzięcie z kimś rozmawia.

W łazience wyszorowała zęby, zaordynowała sobie chłostę prysznicem – na przemian wrzącą i lodowatą – a potem ręcznikiem, szorstkim jak końska derka, wytarła się prawie do krwi. – Prysznic to najgenialniejszy wynalazek człowieka! – te słowa, ilekroć brała kąpiel, wyćwierkiwała radośnie, opuszczając łazienkę i nie przestała nawet wtedy, gdy Dżony powiedział jej, żeby zmieniła repertuar. Dziś jednak nie ćwierkała, bo mimo wszystko, nie chciała go obudzić.

Śniadanie zjadła sumiennie, choć bez wielkiego apetytu, gdyż ten przytępiony miała bezsennością i wsunąwszy się w bojówki oraz w luźną bluzę z kapturem, wyszła z domu. Pięć minut później pedałowala zawzięcie ścieżką rowerową. Dzień był rześki, konkretny. Warszawa właśnie dochodziła do siebie: siedziała teraz na łóżku, drapiąc się po rozczochranym łbie i popierdując porannie smogiem.

Mapa na ekranie smartfona, tkwiącego w uchwycie przy kierownicy stylowej damki, pokazywała Agnieszcze drogę. U jej kresu znajdowało się osiedle Vilanov Asylum, cel jej podróży. Właśnie tak było to zapisane: przez dwa „v”. „Jakim trzeba

być zakompleksionym prostakiem, aby wpakować w Wilanów podwójne „v”? – pomyślała z rozbawieniem. – I pewnie jest tam jeszcze restauracja Herbova. Ale w końcu kto bogatemu zabroni?”.

I owszem, deweloper, który postawił to osiedle, był człowiekiem bogatym. W końcu metr kwadratowy apartamentu kosztował tu dwadzieścia pięć tysięcy złotych. W sieci wyczytała, że w Vilanov Asylum azyl znaleźli: były prezydent Polski, prezydent Gruzji na wygnaniu, jeden były premier, dwóch obecnych ministrów, ambasador wydalony za szpiegostwo, pięć topowych gwiazd telewizji, rosyjski gangster, któremu nikt nic nie umiał udowodnić, idol disco polo, wybitny reżyser filmowy, czołowa scenarzystka serialowa i co najmniej pięć nazwisk z listy 100 najbogatszych Polaków. Niezła menażeria, choć równie dobrze mógł to być fejk.

Nic dziwnego, że osada otoczona była solidnym płotem, zbrojnym w kamery i czujki, i skojarzyła się Agnieszce z lagrem, w którym polskie miliony spółkowały kazirodczo same ze sobą, płodząc plotki, skandale i afery, jakimi potem łakomie odżywiały się gazety i portale dla idiotów.

Zanim dojechała na miejsce, zatrzymała się pod apteką, aby kupić validol na uspokojenie. Nie wiedziała, co ją spotka w Vilanov Asylum, a na drugą bezsenność nie miała najmniejszej ochoty.

Rozdział jedenasty

– Obawiam się, że nie mogę odpowiedzieć na pytanie, czy osoba, której nazwisko pani wymieniła, mieszka na naszym osiedlu. – Czerstwy ochroniarz o wyglądzie byłego nauczyciela wychowania fizycznego odpowiedział pełnym zdaniem, niby major domus w posiadłości angielskiego lorda. Był równie wyniosły i obrzucił Agnieszkę spojrzeniem, które mówiło: jesteś bez szans. Miał siwe włosy postawione na jeża, czarny kombinezon z mnóstwem kieszeni oraz bojową naszywkę na ramieniu, której wiodącym elementem była czerwona błyskawica.

Znajdowali się w czymś, co kiedyś nazywałoby się stróżówką, a dziś nosiło dumne miano recepcji, choć tak naprawdę było posterunkiem kontrolnym. Monitory, interkomy, stalowa szafa i tajemnicze drzwi z czerwoną lampką nad framugą, za którymi – takie można było odnieść wrażenie – czeka w przyczajeniu gotowy do interwencji oddział facetów w czerni.

Oddzielał ich marmurowy kontuar i gruba szyba z okrągłym otworem do mówienia, przywodzącym na myśl bulaj w burcie statku. Otwór można było zamykać, używając do tego klapki na zawiasach. Po tej samej stronie kontuaru, po której stała Agnieszka, znajdowała się jeszcze automatyczna bramka, taka sama jak w metrze, tyle że wyższa, masywniejsza i bez otworu na bilet.

– Na naszym?! – odpyskowała ochroniarzowi, tyle że w myślach. – Na naszym osiedlu, cieciu?! Ty tu tylko warujesz! Jak pies!

Wyobraziła go sobie, jak co wieczór, po służbie, jedzie autobusem do swej obtłuczonej kamienicy na Pradze Południe lub do bieda-domku w Zielonce, żeby w dziadowskiej kuchni, wypełnionej bukietem smażeniny i niewyniesionych śmieci, odgrzać sobie na patelni kaszanekę i zapić ją piwem z puszki. Co pomyślawszy, posłała mu swój najseksowniejszy uśmiech i zaproponowała aksamitnym głosem:

– Wcale nie musi mi pan zdradzać, czy osoba, której nazwisko wymieniłam, mieszka na tym osiedlu. Przecież rozumiem, ochrona danych osobowych, komfort mieszkańców, dyskrecja, te rzeczy... – Mrugnęła porozumiewawczo. – Proszę tylko sprawić, aby ta osoba dowiedziała się, że jej szukam. To ważne i dla niej, i dla mnie. I niech to ona zadecyduje, czy chce się ze mną widzieć.

I nachyliwszy się w stronę kontuaru, rozsunęła zamek błyskawiczny swej bluzy na tyle, aby facet mógł zobaczyć jej piersi, wzdęte dzięki stanikowi push up jak u aktorki porno.

Zadziałało. W strażniku zakogucilo się. W mgnieniu oka urósł, nabrał blasku, naprężył się, zupełnie jak podrażniony umiejtnie penis.

– Zadzwoń, gdzie trzeba, ale to wcale nie znaczy, że ta osoba mieszka na naszym osiedlu. – Mrugnął do niej okiem, jakby chciał powiedzieć: „Proszę w najmniejszym stopniu nie wierzyć w to, co mówię”, po czym zatrzasnął bulaj, aby go nie słyszała, i podniósł słuchawkę.

Wtedy dopiero uświadomiła sobie, że interpretacja jej zalotnego gestu mogła zostać przez strażnika rozszerzona o osobę, do której teraz dzwonił. Że mogła najnormalniej w świecie zostać wzięta za zniecierpliwioną lub namolną kochankę. Na dodatek dużo młodszą. Po krótkiej chwili dyskomfortu uznała, że to nawet lepiej dla sprawy.

Na kontuarze po drugiej stronie pancерnej szyby, tytułem do dołu, leżała jakaś książka. Agnieszka ożywiła się jak grzybiarz na widok prawdziwka. Takie miała hobby: ilekroć zobaczyła, że ktoś czyta, to musiała się dowiedzieć – co. Przekrzywiła głowę. Zdjęcie i nazwisko autora nic jej nie powiedziało, poza tym, że jest Polakiem. Zapewne kolejne objawienie krajowego kryminału. Uwagę zwracała niezwykła grubość książki. Agnieszkę zawsze intrygowało, co takiego ciekawego ma do powiedzenia autor, który w jednym tylko tomie potrafi zmieścić więcej słów niż przez całe życie zapisali wszyscy ewangelicści razem wzięci. Te wszystkie trylogie o komisarzach-alkoholikach, przy których Trylogia Sienkiewicza to zaledwie zeszyt. „Dwadzieścia stron sensu i sześćset stron polit-poprawnej waty, tak mniej więcej wygląda cała ta okrzyczana literatura skandynawska. Dziś w każdej księgarni śmierdzi tranem i dorszem, a rybacy na Lofotach masowo porzucają swoją pracę, żeby pisać kryminały na polski rynek.” – przypomniała sobie swoje słowa z niedawnych ćwiczeń ze studentami. To były zajęcia z pisania recenzji książek i filmów, a ona bezskutecznie próbowała zachęcić ich do oryginalności i wyrabiania sobie własnego zdania.

Ochroniarz, wciąż ze słuchawką przy uchu, odwrócił się i domyśliwszy się jej ciekawości, przewrócił książkę tytułem do góry. „Mordercza rekontra”. Litera w gotyku, rozsypana talia kart poplamionych krwią i sztylet dopiero co wyciągnięty z czyichś bebechów. Facet zmarszczył wymownie nos, jakby chodziło nie o utwór literacki, tylko kawałek zgnilizny. „Może jednak nie uczył wu-efu, lecz był polonistą? – pomyślała. – Nagła choroba, renta, a teraz niewolnicze trzy złote na godzinę w systemie dwanaście na czterdzieści osiem”. Społeczna wrażliwość odzywała się w niej w najmniej oczekiwanych momentach.

Mężczyzna za szybą zaczął mówić coś bezgłośnie do telefonu, taksując Agnieszkę wzrokiem. Domyśliła się, że daje komuś po drugiej stronie jej opis. Okręciła się jak modelka na wybiegu, a on zrozumiał żart i wystawił do góry kciuk. Zaczynała go lubić.

Odłożył słuchawkę i otworzył okrągłe okienko.

– Musimy chwilę poczekać – wytłumaczył i wskazał na książkę. – Czytała pani?

Top topu listy bestsellerów.

Teraz ona zmarszczyła aktorsko nos, jakby poczuła smród.

– Nie czytam książek z topu topów – odparła. – Są dla mnie za grube. Zawsze mnie zastanawia, dlaczego gdy wszystko idzie dziś w skrót, powieść współczesna wręcz przeciwnie, puchnie.

– Nie wie pani? To jak z potrójną paczką parówek za cenę pojedynczej. Każdy się skusi. – Postukał palcem w okładkę. – To książka mojej zmienniczki. Mówi, że jak wydaje w księgarni cztery dychy, to chce mieć czytania na długo... – Ponownie odwrócił książkę tytułem do dołu, jak zdjęcie kogoś, kogo się nie lubi. – Hemingway nie miałby dziś szans ze swoim „Starym człowiekiem...”. Wydawca kazałby mu dopisać z pięćset stron.

Zaśmiała się i to szczerze. Rozbawił ją. Tak, facet z pewnością nigdy nie nauczał wu-efu. Właśnie miała zapytać, czym się zajmował wcześniej, gdy zadzwonił telefon. Ochroniarz znów zatrasnął bulaj.

Rozmowa była krótka, a gdy ją skończył, właściwie mógł się nie odzywać, bo jego twarz, którą prawie włożył w okrąg na powrót odemkniętego okienka, była jak wielki stempel odmowy. Ale się odezwał:

– Bardzo mi przykro. Osoba, o którą pani pytała, nie może się z panią zobaczyć.

Choć spodziewała się, że taką właśnie odpowiedź dostanie, poczuła się, jakby splunięto jej w twarz.

– Nie może czy nie chce? – upewniła się.

– Tego mi nie sprecyzowano – odparł chłodno ochroniarz.

– Ale przecież coś jeszcze panu powiedziano?! – podniosła głos. – Jakaś informacja dla mnie?

– Żadnej poza tą, którą przekazałem – odparł jeszcze chłodniej.

Znów był profesjonalistą za nieprofesjonalną godzinową stawkę, znów wyrósł między nimi przezroczysty pancerz, a po błyskotliwej rozmowie o książkach nie została nawet para na szybie.

– Kobieta czy mężczyzna?

– Co kobieta czy mężczyzna?

– Kto panu powiedział, że ta osoba się ze mną nie zobaczy? Kobieta czy mężczyzna?

Pokręcił głową i patrząc w bok, powiedział twardo:

– Proszę już sobie iść.

Zawstydzona, zasunęła zamek bluzy pod samą szyję i bez pożegnania wyszła z budynku recepcji. Spojrzała na solidny szlaban przy bramie wjazdowej, na chowający się w ziemi stalowy próg zdolny powstrzymać czołg, na kamery, które lpyły czujnie ze słupków niczym jastrzębie przy autostradzie, wypatrujące

rozjechanych myszy i żab. Pomyślała o tym, jak bardzo nieoczekiwanie islamski terroryzm stał się wygodnym alibi dla buty i próżności nowej klasy polskich panów. Nagle te wszystkie zapory i parkany z monitoringiem przestały być oznaką złego gustu, a stały się dowodem na przezorność i rozwagę.

Potoczyła wzrokiem po osiedlu. To nie była seryjna, ogrodzona i dowartościowana megalomańską nazwą, kolonia dla korpo-ludków. To była naprawdę pierwsza klasa architektury i planowania przestrzennego. Przenikające się sześciany z piaskowca i szkła. Panoramiczne okna, obszerne tarasy, elewacje wyłożone egzotycznym drzewem i zieleń, jakby o nią dbał nie ogrodnik z sekatorem, lecz grafik z photoshopem. Syta sielskość z zagwarantowanym poczuciem prywatności. Dwa i pół miliona za standardowy apartament.

Natoczyła sobie językiem śliny do ust. Nabrała powietrza nosem, uniosła głowę, nadeła policzki i splunęła siarczyście jak kryminalista na bramę więzienia, które właśnie opuszcza. Widziała taką scenę na którymś z filmów Vegi. Mokry pocisk pofrunął długim łukiem i spadł za szlabanem.

Chciała jeszcze wystawić w stronę osiedla środkowy palec, lecz uznała, że byłoby to już za bardzo filmowe, a zatem i żałosne. Wsiadła więc na rower i odjechała, naciskając pedały tak mocno, jakby chciała zrobić im krzywdę.

Z panoramicznego okna najbardziej luksusowego apartamentu na osiedlu odprowadzało ją spojrzenie pełne uwagi, ale i poczciwości, podkreślonej na dodatek czapką miłosierdzia, pielęgniarzkim czepkiem, oddalonym od dobrotliwych oczu zaledwie o wysokość czoła.

Tenże apartament wypełniało głośne męskie chrapanie, znamionujące niespokojny sen człowieka chorego, gdyż było nieregularne, świszczące i pełne nagłych przyśpieszeń, które równie nagle przechodziły w bezdech. Jakby u wezgłowa chorego stała kostucha i niewidoczną dłonią zatykała mu dla hecy nos.

Dobre oczy spojrzały na śpiącego i stały się jeszcze bardziej dobre.

Rozdział dwunasty

Zawleczka została zerwana z sykiem i puszka, niczym wystraszona mątwą, bluznęła pianą, obryzgując Dżonemu dłonie i koszulkę. Bardzo nie lubił takich sytuacji, choć piwo i owszem.

Upiwszy sumienny haust, wzniosł puszkę, niczym berło, w stronę żulików okupujących sąsiednią ławkę. Odpowiedzieli na pozdrowienie ochoczo, unosząc niemal jednocześnie swe plastikowe kubeczki zabarwione do połowy na czerwono. Było ich trzech, mieli do podziału litrową butlę nalewki malinowej.

Dżony rozpoznał w jednym z nich byłego gwiazdora filmów młodzieżowych z lat siedemdziesiątych. Facet stanowił atrakcję tej części Woli, wołano na niego Parapet. „Prawy prosty” – taki był tytuł serialu o młodym chuliganie, który zapisuje się do sekcji bokserskiej warszawskiej „Legii” i wychodzi dzięki temu z życiowego dołka. Jak się po latach okazało, przesłanie filmu nie objęło odtwórcy głównej roli, choć były aktor wciąż trzymał się niezłe. Jego uroda w niewytłumaczalny sposób oparła się kataklizmowi, jaki sprowadził na swoje życie, i gdyby nie otwierał ust, prawie całkowicie pozbawionych zębów, wyglądałby jak dobrze starzejący się artysta. Rzecz w tym, że bez otwierania ust nie mógłby opowiedzieć tych wszystkich malowniczych historii, którymi potrafił zauroczyć nie tylko kompanów od kielicha, ale i niejedną dojrzłą kobietę marzącą o przygodzie z jakimś łobuzem.

Dżony znał gościa, uwielbiał jego gawędy, myślał kiedyś nawet o napisaniu o nim sztuki, więc i teraz nadstawił chciwie ucha.

– ...tak, to było na pewno w siedemdziesiątym czwartym – ciągnął Parapet swoim sznaps barytonem. – Przyszedł bilet do armii i nie ma zmiłuj, nie udało wywinąć. Dacie wiarę, że nawet Wajda próbował coś tam w mojej sprawie zadziałać, ale nic z tego... Tak, sam Andrzej Wajda, poprosił go o to mój reżyser, któremu uciekał główny aktor, więc i hajs... Zawieźli nas na Tyniecką, do Krakowa. Brygada Podhalańska, nie byle co. Płaski hełm, piórko, peleryna, jak w filmie...

Parapet gołnął z kubeczka, skrzywił się, poczekał, aż jego żołądek oswoi się z nową porcją jadów i kontynuował.

– Oni tam, w Krakowie, strasznie nie cierpieli warszawiaków, zresztą, nie lubią ich do dziś. Więc od razu starszyczna zaczęła z nas robić sobie zbyty. Na początek kazali ogolić jajka. Że niby włosy to niehigienicznie, bo mendy i tak dalej. Dziś każdy sobie goli, ale wtedy to był dla mężczyzny straszny dyshonor.

Parapet lubił tak dobierać słowa, aby jego słuchacze nie mieli wątpliwości, że mają do czynienia z kimś, kto mimo krzyczących pozorów, nadal jest z wyższej półki.

– Ogoliłem, co się będę wychylał, fala to fala, święta rzecz, ktoś w armii rządzić musi, skoro trepy tylko chlały. Chociaż... – Całkiem fachowo zamarkował prawego sierpa. – Mogłem przecież przypierdolić. Znam boks, musiałem się nauczyć do filmu...

I kolejny łyk, ale już bez protestów organizmu.

– Rozpoznali mnie po tygodniu. I wtedy zmiana o sto osiemdziesiąt. Szacuneczek, zero ganiań ze szmatą. Gdyby mogli, to by mi te włosy z powrotem do jaj przykleili. Legalnie... No, koleżko, polej.

Dżony zachichotał na swojej ławce i pragnąc jak najszybciej zapisać historyjkę, w nadziei na przyszłe wykorzystanie jej na potrzeby filmu lub teatru, sięgnął po spoczywający na ławce laptop. Zabrał go na podwórko, bo lubił pracować na powietrzu, przy piwku, na ławce pod parchatą wierzbą z ułamanym konarem, którego nikomu nie chciało się sprzątnąć, otoczony pejzażem, jaki nieodmiennie go rozczulał.

Beżład garaży, z których każdy miał inną bramę. Rozgardiasz dobudówek, dostawek, daszków, wiat. Nowotwory z betonu i blachy. Koślawe chodniki, pochylony trzepak, na którym nikt od dawna nic nie wytrzeptał, i skrawek trawnika obrany tak, że nawet psy wyglądały na nim, jakby stąpały na palcach, a przecież ich nie mają. A do tego tablica upamiętniająca ofiary niemieckiej rzezi z 1944 i zawsze świeże kwiaty pod nią. Nigdy nie udało mu się przyuważyć, kto je przynosi.

Kiedyś napisał na Twitterze, że jego marzeniem jest wygrać w totka, przenieść się do zapuszczonego Wałbrzycha i zostać tam alkoholikiem kontemplującym urodę rozpadu. To było po tym, jak spędził na Dolnym Śląsku kwartał, pisząc w zrujnowanym hotelu „Sudety” sztukę o górnikach z dzikich sztolni. Nie chciało mu się potem wyjeżdżać z miasta. Podwórka na Woli przypominały nieco wałbrzyskie pejzaże, tyle że, jak powiedział w wywiadzie dla pewnego ambitnego portalu o kulturze, miały w sobie wartość dodaną: pod ich spękaną, betonową skorupą znajdowały się warstwy ziemi użyźnione krwią męczenników.

Posadził sobie komputer na kolanach, otworzył go, obudził i zapisał w folderze, który dawno temu nazwał „szkatułą pomysłów”, usłyszany przed chwilą monolog Parapeta. A potem zerknął na pocztę, gdzie na samej górze widniał opatrzony wykrzyknikiem mail od Agnieszki. Otworzył go.

„Ta scena to ostatnia z kilku, jakie wydłubałam z siebie w nocy. Nie mam do niej przekonania, więc rzuć okiem, może dogładszisz. Dzieńks. Ja jadę coś załatwić. Na wkurwie, bo nie zmrużyłam oka. Zrób coś ze swoim chrapaniem! Kocham. Aga”.

Pociągnął z puszką i pochylił się nad tekstem scenariusza:

WNĘTRZE. OBÓZ PRACY – DZIEŃ

Obskurną stołówkę obozową urządzone w wielkim namiocie z brezentu. Osadzeni wioskują łyżkami

w cynowych miskach. Jedzą jakąś podłą papkę. Wśród nich Więzień nr 62. Obok niego KOLEGA z celi. Kilka miejsc dalej posiłek spożywa SKAZANIEC z tatuażem na szyi. Pilnuje ich znudzony STRAŻNIK z karabinem na plecach.

KUCHARZ w białej czapie podchodzi do wytatuowanego i kładzie przed nim miskę, z której paruje dodatkowy kawałek mięsa. Dokłada mu pajdę chleba i dwa jabłka. SKAZANIEC patrzy pytająco na kucharza, ale kucharzowi nie chce się niczego tłumaczyć. Odwraca się i odchodzi.

Ta scena zwraca wśród więźniów powszechną uwagę.

Kolega nachyla się do Więźnia nr 62.

KOLEGA

(półgłosem po mandaryńsku, napisy)

Niedługo pójdzie pod nóż. Zawsze, jak chcą kogoś pokroić, to najpierw go tuczą.

– Niezłe – mruknął pod nosem Dżony i w tej chwili usłyszał klekot roweru podskakującego na nierównościach. Uniósł głowę i zobaczywszy Agnieszkę, zawołał w jej stronę: – Niezłe!

Nawet nie zwróciła na niego uwagi. Ani na pozdrowienie, jakie posłał jej ze swojej ławki Parapet: – Pani kierowniczo, pani zdrowie!

Była rozjuszona i czerwona z wysiłku. Zsiadła z roweru, odepchnęła go z całej siły, a on zwałił się w trawę jak koń zagoniony na śmierć. Sięgnęła po piwo Dżonego jak po swoje i, niby lump, wypła je duszkiem do dna. Chrupnęła blacha, miażdżona drobną dłonią, i puszka pofrunęła na środek trawnika.

– Recykling – napomniał ją Dżony, wskazując palcem pojemnik z żółtą klapą stojący przy śmietniku. Wstał, podniósł puszkę i zaniósł do kubła.

– Co się stało? – zapytał, gdy wrócił.

Nie odpowiedziała, a on nie nalegał, bo za dobrze ją znał. Siedzieli obok siebie na ławce i milczeli jak licealiści na pierwszej randce.

– Odprawił mnie! – odezwała się w końcu.

Dżony nie musiał pytać, kto. Ale miał inne pytania.

– Skąd wiedziałaś, gdzie go szukać?

– Z gazety. Kiedyś przeczytałam, że ma apartament na Vilanov Asylum. Pojechałam w ciemno.

– Vilanov Asylum... – Dżony pokręcił głową. – Kto wymyśla te nazwy? Po co do niego pojechałaś?

– Muszę się dowiedzieć, czy to on wpłacił tę kaucję.

– A jak on, to co?

– To mu ją oddam.

– Jak?

– Srak! – odpaliła, po czym krzyknęła w stronę ławki, na której trwała biesiada: – Dzień dobry, panowie!

Odkłonili się szarmancko, emanując tym rodzajem gorliwej uprzejmości, jaką ludzie z marginesu wykazują często w stosunku do kobiet, których i tak nie mają szans osiąść. Jakby przesadną dżentelmenerią chcieli zamaskować swój upadek i zdusić poczucie winy. Jeden z nich, ten najmniejszy, kroił właśnie nożem na trzy równe części mielonkę z puszki i układał ją na chlebie, dokładając starań, aby każdemu z biesiadników dostało się po równo mięsnej galaretki.

– Powiedziałas, że cię odprawił. Rozumiem, że się widzieliście?

– Nie widzieliśmy się. Nawet ze mną nie rozmawiał. Ciec spuścił mnie ze schodów.

– Dosłownie? – Przyjrzał się jej, jakby szukał śladów po przemocy.

– Metafora, głupku! – Pacnęła się w czoło, po czym zerwała z ławki i pobiegła w stronę klatki schodowej.

– A rower? – zawołał za nią, ale się nie obejrzała.

Wbiegła na trzecie piętro, przeskakując po dwa stopnie. Od drzwi od razu skierowała się do łazienki, gdzie w pawlaczu trzymała pudło z osobistymi duperelami. Jakieś zdjęcia z wakacji, kasetka VHS z podstawówki, bilet ze studiów, pamiątki z podróży, magnesy na lodówkę, kubki z fotografiami pejzaży, mosiężne lub gipsowe miniaturki wież i zabytków, maska wampira z Halloween, pocztówki od psiapsiółek, pierdółki, szkatułki...

W jednej z takich kasetek, tej z napisem „Karpacz” i wypaloną na wieczku twarzą górala z orlim nosem, znalazła to, czego szukała. Przedmiot połyskiwał złotem wysokiej próby. Włożyła go do kieszeni i zostawiwszy na podłodze rozgrzebane pudło, wyszła z mieszkania. Tym razem nie śpieszyła się. Z dłonią na poręczy zstępowała nieśpiesznie, jakby starała się dopasować rytm kroków do klatek filmu, który wyświetlała sobie akurat w głowie. Wyświetlała w zwolnionym tempie, ponieważ nie chciała przegapić najmniejszego szczegółu.

Scena pierwsza. Wnętrze świątyni jest ciepłe i jasne, jakby to nie był kościół, lecz szkolna sala sportowa lub pływalnia. Obłoki na sklepieniu kłębią się i zachodzą na siebie. Siedzą na nich aniołki, niektóre z trąbami przy ustach. Dziewięcioletnia dziewczynka wpatruje się w nie jak zauroczona. Jest ciekawa, jaką grają melodię.

Ma na sobie komunijną sukienkę. Obok niej siedzą w ławce tak samo ubrane równolatki. Obowiązek już spełniony, więc są rozluźnione, rozgadane, wesole.

Przy ławce stoi siostra zakonna. Rozpromieniona i uduchowiona jak dyrygent po udanym koncercie. Pod ścianą przemyka z miotłą i wiadrem pomoc kościelna, mała kobiecina o urodzie elfa.

– To była wasza ostatnia próba przed wielkim dniem – oznajmia uroczyście

zakonnica, a Agnieszka spogląda w stronę nawy bocznej, gdzie z ławki pod ścianą uśmiecha się do niej po matczynemu pani Halinka i wznosi do góry oba kciuki.

Scena druga. Podróż autobusem PKS. Stary autosan ledwo trzyma się kupy. Klekoce, charczy, podśmierduje benzyną, ludzkim zmęczeniem i papierosami palonymi przez kierowcę. Puszka na kółkach przenosząca z punktu A do punktu B pakunki, zapachy, choroby, marzenia i niedole.

W ostatnim rzędzie pani Halinka i Agnieszka. Podskakują na siedzeniach ze skaju. Dziewczynka wpatrzona w podmiejski pejzaż za oknem. Sosny podobne do tych nad morzem. Pani Halinka je prince polo i popija colą z puszki. Radio nadaje wiadomości. Polska rozpoczęła właśnie drugą rundę negocjacji akcesyjnych z Unią Europejską, a w agencji towarzyskiej „Las Vegas” w Gdyni został zastrzelony gangster Nikodem Skotarczak, pseudonim „Nikoś”.

Pośród sosen, stopniowo, zaczynają wychylać się drewniane wille w dziwnym bajkowym stylu. W większości są zapuszczone, dziabnięte zębem czasu i przygniecione pe-er-elem, który choć zdechł dziewięć lat wcześniej, zostawił po sobie gnuśne dziedzictwo prowizorki. Ni to ruskie dacje, ni to alpejskie schroniska, ni pies, ni wydra, coś na kształt Świdra. Agnieszka jest zachwycona. Autobus przystaje w zatoczce i syczy. Kierowca nie odwracając się, drze gębę: – Otwock!

Scena trzecia. Park szpitalny. Na inwalidzkim wózku siedzi łysa kobieta o twarzy Indianki. Choroba, którą aż promieniuje, nie pokonała jej szlachetnych rysów. Pozbawiona włosów, nadal jest piękna. Wózek, na którym siedzi, ma futurystyczną linię i mnóstwo przycisków, wygląda jak z filmu science fiction. Soczysta wiosna obnaża swą krasę. Jest ciepło, słychać śpiew ptaków, stukanie dziecięcia. Alejkami człapią ludzie w szlafrokach.

Kobieta na wózku zmrużyła oczy, wystawia twarz do słońca. Na jej kolanach leży peruka.

– Mamusiu, pani Halinka mówi, że byłam najpiękniejsza! – krzyczy Agnieszka. Ma na sobie komunijną sukienkę. Za nią, niczym czujna, mądra kwoka, kroczy pani Halinka, niosąc w ręku turystyczną torbę na zamek.

Kobieta na wózku speszona. Pośpiesznie nakłada perukę. Poprawia sztuczne włosy. Przywołuje uśmiech, który i tak leży na jej twarzy krzywo.

Scena czwarta. W zaułku za szopą ogrodnika matka Agnieszki i pani Halinka palą papierosy. Zdjęły już z twarzy uśmiechy, bo niczego nie muszą udawać. Są poważne, skupione.

– Nie mam szans na przepustkę. – Głos matki jest słaby, jakby dobiegał z wnętrza trumny. Palce z papierosem trzęsą się przy ustach, z trudem w nie trafiając. Za to sztachnięcie głębokie, łapczywe, jakby to palił drwal na zrębie, a nie umierająca kobieta na wózku.

Agnieszka obserwuje scenę spod rozłożystego klonu, gdzie przebiera się w zwyczajną sukienkę, chowając tę komunijną do turystycznej torby. Słyszy wszystko, choć one myślą, że nie.

– Nie wypuszczą mnie już stąd – mówi matka.

Pani Halinka zdezorientowana. Widać, że chce pocieszyć, ale jeszcze mocniej widać, że bardzo nie chce kłamać.

– Dlatego pomyślałam, że dobrze będzie, jak na własne oczy zobaczysz małą w sukience. A nie potem na zdjęciach z kościoła.

– Nie jestem pewna, czy będzie jakieś potem, Halinko – mówi matka i zerka z obawą na Agnieszkę, czy aby nie usłyszała.

Długie minuty milczenia. Smutna zaduma. Kobiety kończą palić. Pani Halinka skrzętnie zdusza niedopałki w pustym pudełku po zapalniczkach, zamyka je i chowa do kieszeni lekkiego płaszcza.

– Czy ojciec dziewczynki przyjdzie na uroczystość?

Matka kręci głową, że nie.

– Wyjeżdża... Interesy... Skurwiel... Był tu jego adwokat. Z jakimiś pieniędzmi na pożegnanie. Ochłapy. Bo my bez ślubu, to nic mi się nie należy. – Uderza wściekle dłońmi w profilowane podłokietniki wózka. – I ten karawan mi jeszcze zafundował. Na pocieszenie. Mówił, że to gównie droższe niż niejeden samochód... No i zostawił mi komplet peruk. Z Włoch. Jakbym, kurwa, była jakąś śpiewaczką operową!

Pani Halinka patrzy z troską w kierunku Agnieszki, chyba wolałaby, aby mała tego nie słyszała.

– Błagałam, wyjaśniałam, przepraszałam... Ale mi nie wybaczył – łka matka i pociąga nosem.

Pani Halinka nie odpowiada. Głaszcząc matkę Agnieszki po głowie. Po policzkach ciekną jej łzy. Płacze też matka. Płacze i córka, schowawszy się za drzewo.

– A to kazał dać Agnieszce. – Matka sięga do kieszeni szlafroka i wyjmując błyszczący złotem przedmiot, podaje go przyjaciółce. – Ale dopiero w dniu komunii.

Pani Halinka podchodzi do wózka, nabożnie sięga po kosztowność, przybliża ją od oczu i porusza wargami, odczytując napis. Rozkłada chusteczkę do nosa, zawija w nią przedmiot i chowa go do kieszeni. Nie wyjmuje z niej ręki, bo cały czas chce mieć nad nim kontrolę. Tak jakby był to zwitek banknotów, a wokół kipiało targowisko pełne kieszonkowców.

Film w głowie Agnieszki urwał się nagle, bo uświadomiła sobie, że stoi pod drzwiami na podwórku. Szyba zbrojona siatką nosiła wklęsły ślad uderzenia, od którego rozchodziły się promieniste pęknięcia. W rysach na szkle odłożyła się zaschnięta krew. Jakiś nerwus miał naprawdę mocny cios.

Gdy wyszła z budynku, od razu skierowała się w stronę ławki z menelami. Parapet

uniósł się na jej widok, dygnął i ponownie usiadł. Gdy stał, wyglądał trochę jak czapla, ale chyba był już za bardzo zmęczony. Stała przed nim i wręczyła mu przedmiot ze złota, który zabrała z mieszkania.

– Niech pan za to kupi coś sobie i swoim kolegom, panie Romku – powiedziała, a on chrząknął z uznaniem, bo pochlebiało mu, gdy ludzie pamiętali jego imię. Dopiero potem spojrzął na podarunek i jego oczy błysnęły chytrze.

Patrzył za odchodzącą Agnieszka, oczekując wyjaśnień, lecz się ich nie doczekał. Gdy doszła do ławki, na której siedział jej chłopak, odwróciła się i krzyknęła: – Na zdrowie, panie Romku! Bawcie się dobrze!

Parapet podziękował skinieniem głowy i zerknął na zegarek, który mimo życiowych burz, udało mu się jakimś cudem zachować. Za kwadrans otwierano lombard na Okopowej.

Obejrzał dokładnie przedmiot, którym go obdarowano. Było to serce ze złota wielkości dłoni. Z jednej strony płaskie, z drugiej wypukłe, ciężkie i znakomicie oszlifowane. Z małym uszkiem w roli zawieszki. Z racji wagi i rozmiaru raczej nie do noszenia na szyi. Można je było potraktować jako wotum do powieszenia w kościelnej gablocie lub lokatę kapitału, finezyjną formę sztabki ze złota na czarną godzinę.

Wygrawerowany zawijasami napis po płaskiej stronie serca głosił: „Mojej ukochanej córeczce w dniu Pierwszej Komunii Świętej”.

Rozdział trzynasty

Miasto fermentowało. Było jak potężna kultura bakterii, dla której pożywką są spaliny, hałas, wigor i światło neonów. Smog wisiał nad dachami niby grubo osmolona pokrywa kotła, domykając szczelnie to pandemonium od góry. Od czasu do czasu z czarnej chmury wyfruwał monstualny biały ptak i przeleciawszy nad dachami tak nisko, jakby chciał porwać suszące się na nich pranie, lądował z rykiem na pobliskim lotnisku. W żaden sposób nie zakłócało to pracy mrowiska, w którym ruch odbywał się głównie na rowerach i skuterach. Ogrom i ciasnota. Pośpiech i powolność. Asceza i pazerność. Chaos układający się w bezkolizyjną normę. Azja.

Chirurg uwielbiał atmosferę azjatyckich metropolii, które jego zdaniem były esencją kontynentu, zwłaszcza po zmroku. Nie jakieś tam pagody przytulone do himalajskich urwisk, nie pustynna nieskończoność żwiru, gdzie ponoć wykluwa się mistycyzm, nie bezmiary tajgi pociętej rzekami, nie plantacje herbaty ani pola ryżowe z ludzikami zgiętymi nieodmiennie wóół, lecz właśnie zgiełkliwe, rozgorączkowane, wielomilionowe miasta oddawały istotę Azji i ducha jej mieszkańców.

Upił łyk prosecco i rozsiadł się na krześle w ogródku odgrodzonym od jezdni ażurowym płotem w smoki. To była jedna z tych restauracji, gdzie aby dostać stolik, trzeba było zadzwonić trzy dni wcześniej lub być osobą z „kręgu”. Chirurg nigdy nie zwracał sobie głowy telefonowaniem, a na stolik czekał nie dłużej niż kwadrans.

Naprzeciwko Chirurga siedział jego asystent i bawił się telefonem. Obaj mieli na sobie sportowe marynarki, przy czym ta pomocnika była bardziej ekstrawagancka, bo ze skóry strusia. Czekali na kolację, porządnie już głodni, więc lekko podrażnieni.

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczął Chirurg. – Polak miał atak serca.

– Który Polak? Niemcewicz? – zapytał na odczepnego asystent, nie unosząc wzroku znad smartfona. Zabrzmiało to jakby kot zamiauczał „nemsewis”.

– A ilu mamy Polaków na liście?! – zirytował się Chirurg. – I patrz na mnie, gdy do ciebie mówię.

Sekretarz natychmiast odłożył telefon.

– Czy to znaczy, że musi się śpieszyć z przeszczepem? – zapytał gorliwie. – To chyba dobrze. Szybciej zarobimy.

– Tyle, że on nie ma sił tu przylecieć. Za daleko.

Asystent pogłównkował chwilę.

– Zawieziemy mu towar do Polski? – spytał. – To podniesie koszty. Ale... – Wzruszył ramionami. – Jak oni tam w Polsce mówią? – Podrapał się w głowę jak człowiek, który szuka w niej zapomnianej frazy. – Na biednego nie trafiło?

– W tym przypadku pieniądze nic nie pomogą. – Chirurg pokręcił głową, trochę w geście zaprzeczenia, trochę z irytacji. – Za daleko. Nie pamiętasz procedur?

– Pamiętam – zgorszył się sekretarz. – Dwadzieścia cztery godziny.

– To przy nerce, idioto! Serce może przebywać poza ciałem nie więcej niż pięć godzin.

Asystent pacnął się pokazowo w czoło, jakby chciał ukarać się w ten sposób za głupotę.

– No tak, pomieszało mi się. Tyle było tych nerek ostatnio – wyjaśnił. A po chwili dodał gorliwie: – Oczywiście, że pięć godzin. Tak, pięć. Najwyżej pięć.

– A w pięć godzin nie dolecimy do Polski.

– Nie dolecimy – potwierdził sekretarz i zdjął ręce ze stołu, żeby zrobić miejsce na talerz.

Kelner, ubrany w czarne kimono a la Bruce Lee, postawił przed nimi parujące jedzenie i oddalił się bezszelestnie jak wąż. Złapali za pałeczki, pochwytyjąc w nie pierwsze kęsy mięsa na pierwszy głód. Jedli łączywie, a kaczka po seczuańsku ze smażonym ryżem smakowała im wybornie.

Gdy byli już zdolni do rozmowy, pierwszy odezwał się asystent.

– Czy Polak poczuje się kiedyś na tyle dobrze, że będzie mógł tu przylecieć?

Chirurg zmarszczył nos w grymasie oznaczającym zwątpienie.

– Raczej prędzej umrze – podzielił się przypuszczeniem.

– Stracimy dobrego klienta.

Chirurg wycelował w asystenta pałeczkę umazaną sosem.

– Stracimy dobre pieniądze – poprawił.

Na powrót pochylił się na jedzeniem. Trzęsły im się uszy, takie było dobre.

W pewnym momencie sekretarz zarejestrował swym podskórnym radiolokatorem jakiś dziwny ruch. Czujnie spojrzął w bok, gotując się na zagrożenie. Był nie tylko asystentem i prawą ręką Chirurga, ale i jego ochroniarzem. Pod marynarką ze strusia nosił szelki z kaburą, w której siedział samopowtarzalny pistolet Jericho 941.

Lecz alarm był fałszywy. Przy sąsiednim stoliku kucharz w okazałej czapie dokonywał prezentacji żywego homara. Skorupiak trzepał odwłokiem i poruszał masywnymi szczypcami zdolnymi zapewne odciąć palec. Skrępowano je jednak opaskami zaciskowymi, więc zamiast strachu, zwierzę wzbudzało wyłącznie litość lub apetyt. Zachwycona para białych turystów potakiwała gorliwie głowami, więc kucharz poczłapał na zaplecze, żeby wrzucić homara do garnka z wrzątkiem.

Sekretarz uśmiechnął się chytrze.

– Nie musimy tracić tych pieniędzy od Polaka – powiedział, odprowadzając wzrokiem kucharza.

– Nie rozumiem – mruknął niechętnie Chirurg. Zajęty był jedzeniem,

przedstawienia z homarem nawet nie zauważył.

– Przed chwilą kucharz przyniósł swoim klientom żywego homara – wyjaśnił sekretarz. – To dla nich dawca.

– Dawca?

– Dawca smacznych kąsków.

Chirurg przez moment marszczył czoło, zastanawiając się na sensem porównania. Naraz zrobił minę osoby nieoczekiwanie oświeconej i spojrzał na swojego asystenta z podziwem. Pominąwszy rozkosz cielesną, jakiej był dostarczycielem, oraz ochronę osobistą, którą zapewniał, chłopak miał czasem niezłe pomysły i wart był swej ceny. Jako szefowi, Chirurgowi wypadało jednak zgłosić pewne zastrzeżenia. Choćby dla samej zasady.

– To będzie wymagało wielu dodatkowych działań – rzekł, nasycając swe słowa sporą dawką zwątpienia. – Nie zawsze bezpiecznych. Nie zawsze tanich.

Sekretarz rozłożył dłonie.

– Wszystko, co robimy, jest niebezpieczne, szefie. Poza tym Polak zapłaci.

– Na biednego nie trafiło? – zachichotał Chirurg.

– Dokładnie! – zawołał sekretarz, po czym napełnił kieliszki i wzniosł swój w górę w geście zachęty. – Jutro dzwonię do Polski.

Rozdział czternasty

SERCE NR 62

WNĘTRZE. OBÓZ PRACY – DZIEŃ

Ta sama obskurna stołówka w namiocie. Trwa obiad, w miskach jak zwykle ohydna papka. Wśród skazanych Więźni nr 62. Je wolno, dokładnie przeżuwa, osowiały, zamyślony. Nagle dostrzega jakiś cień na stole. Unosi wzrok.

Stoi nad nim kucharz w białej czapie i trzyma w ręku miskę z parującym sporym kawałkiem mięsa. W misce także dwie pajdy chleba i jabłko. Kucharz kładzie jedzenie przed Więźniem nr 62 i odchodzi, unikając wzroku obdarowanego.

Gest kucharza zwraca w stołówce powszechną uwagę. Jeden z osadzonych trąca w bok swego sąsiada i pokazując brodą na Więźnia nr 62, przejeżdża palcem po gardle. Więźni nr 62 udaje, że tego nie dostrzega.

– Potrafisz tak pisać w czasie jazdy? – zapytał Dżony znad kierownicy. Jego głos pobrzmiwał pretensją. – Przegapiasz niezłe widoki. Byłaś tu kiedyś?

Agnieszka uniosła głowę znad klawiatury. Ich czternastoletni volkswagen passat combi sunął skalnym wąwozem Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Po obu stronach drogi ciągnęły się wapienne urwiska, niezbyt wysokie, ale malownicze jak w westernie. Od czasu do czasu wąwóz rozszerzał się, ustępując miejsca łąkom, z których wyrastały gruzłowate białe ostańce. Wypolerowane przez czas lub wręcz przeciwnie, pogryzione erozją, niedojedzone jak ogryzek, przywodziły na myśl kości zwierząt tak potężnych i tak pradawnych, że nie byłaby w stanie wyobrazić ich sobie ani paleontologia, ani ludzie zajmujący się tworzeniem mitów i gier komputerowych.

– Tą drogą jeździli królowie – odezwał się Dżony, który kątem oka dostrzegł zachwyty Agnieszki okolicą, więc zrobiło mu się miło. Zobaczył, że zamknęła klapę laptopa i przytuliła czoło do szyby. – Chyba już Łokietek. A na pewno Kazimierz Wielki.

– Ten z banknotu? – zapytała. – Z pięćdziesiątki?

– Innego Wielkiego Kazika nie mieliśmy. Chyba, że Deynę. No i Staszewskiego. Byłaś tu kiedyś?

Skinęła ochoczo głową.

– Na koloniach, ale nic nie pamiętam. Za cholere.

– Zaraz zamek w Pieskowej Skale. A to... – wskazał palcem na strzelistą skałę o falicznym kształcie, która wyłoniła się zza zakrętu. – ...to Maczuga Herkulesa. Zwana też Skałą Twardowskiego albo Maczugą Kraka. Legenda mówi, że za jego panowania straszny smok...

– Stop! – przerwała mu – Czy my jesteśmy w powieści kryminalno-krajoznawczej? Zaraz zaczniesz o templariuszach i tajnych kodach albo o turystycznych atrakcjach krainy. Literacki product placement. Nienawidzę.

Położyła mu dłoń na krocze i zaćwierkała zalotnie: – Poza tym widuję ciekawsze maczugi.

– Maczugi? Trochę niepokoi mnie ta liczba mnoga – zażartował. Jego głos był miękki, rozgotowany, bo cała męska hardość Dżonego spłynęła mu z serca i pęczniała teraz pod jej dłonią.

Od czasu, gdy wyjechali z Warszawy, kochali się po drodze już dwa razy. On nazywał to nawrotem miłości, ona padaczkowymi atakami ruchania. Tak już mieli, że nowe okoliczności, nowe krajobrazy, nowe pomieszczenia wywoływały w nich wzajemną żądzę, która musiała być zaspokojona natychmiast i bezwarunkowo.

– Już widać zamek – odezwał się Dżony. – Pieskowa Skała. Orle Gniazdo. Mam nadzieję, że dali nam podwójne łóżko. Wylizę cię do kości.

Ich dwudniowa wizyta w Ojcowskim Parku Narodowym stanowiła miły przystanek w drodze do Krakowa, gdzie na międzynarodowej konferencji, której tematem był handel ludźmi, Agnieszka miała wygłosić referat o czarnym rynku organów. Organizatorzy dali uczestnikom prawo wyboru miejsca noclegu, byle nie dalej niż pięćdziesiąt kilometrów od Krakowa, przy czym dojazd trzeba było sobie zapewnić na własną rękę. Po przejrzeniu kilku stron z ofertą noclegową Agnieszka nie miała wątpliwości: tylko Jura Krakowsko-Częstochowska. Swe wystąpienie planowała przygotować w drodze, ale wciągnęło ją pisanie nowych scen do Serca nr 62. Zamierzała zresztą i o tym opowiedzieć na seminarium, trochę dla uatrakcyjnienia wywodu, trochę, aby się pochwalić i nakarmić swą próżność. W końcu nie każdy aktywista dobrej sprawy pisuje scenariusze do filmu.

Zdjęła dłoń z rozporoka Dżonego, bo podjeżdżali pod zamkowy mur, wzdłuż którego rozpościerał się parking pilnowany przez przysadzistego człowieczka o twarzy podobnej do rumianego jabłka. Karminowy makintosh skonstrastowany z seledynem odblaskowej kamizelki. Małopolski pierwowzór gatunku ludzkiego płci męskiej, pomyślała Agnieszka. Wirtualny fantom mężczyzny z parkingu powinien być wyświetlany w krakowskim muzeum historii naturalnej, gdyby kiedyś takie powstało. Jego żeńskim odpowiednikiem mógłby być w tym muzeum model zakutanej w chustę baby, równie rumianej i z koszykiem pełnym oscypków. Dokładnie takiej, jaką zobaczyła właśnie przy bramie na dziedzińcu zamku, tylko że ta, zamiast w koszu, trzymała oscypki w wiadrze.

Wyjęła komórkę i ukradkiem zrobiła zdjęcia obojgu. Czowała lekkie zażenowanie, jakby obfotografowywała parę karłów w cyrku, więc wmówiła sobie, że nie dla taniej turystycznej pożywki pstryknęła te fotki. Pstryknęła, gdyż poczciwość naturalszczyków przywołała nieoczekiwane wspomnienie dni, kiedy wszystko wkoło było przewidywalne jak smak kompotu do niedzielnego obiadu: mama gotowała go zawsze z wiśni.

Jakby świat wrócił nagle do stanu, kiedy mało kto się czemukolwiek dziwił, bo

wszystko było takie, jakie być powinno. Jakby znów nikt nigdzie się nie śpieszył, jakby mięso wciąż smażyło na smalcu, a telefon w domu miał jedno jedyne niezmiennie miejsce: w przedpokoju, pośrodku stolika nakrytego serwetą wydzierganą przy pomocy szydełka. Jakby nadal wszędzie bezkarnie pachniało zupą i papierosami, bo nikomu to wtedy jeszcze nie przeszkadzało. Jakby znów miała siedem lat, kochającą matkę, obrotnego ojca i swój kawałek podwórka na wrocławskim „trójkącie bermudzkim”, gdzie wbrew paskudnej opinii, jaką przez lata wypracowała sobie dzielnica, dało się całkiem dobrze żyć, zwłaszcza gdy się było jedynaczką, a w studwudziestometrowym mieszkaniu nie zabrakło nigdy niczego. Jakby wciąż jeszcze było przed serią katastrof: powodzią tysiąclecia, zalaniem mieszkania, przeprowadzką do stolicy, chorobą matki, ucieczką ojca, pogrzebem.

– Jezu, jak ja kocham te nasze zadupia! Jak ja kocham Polskę be! – zawołała Agnieszka. – A co do lizania... – Walnęła Dżonego w udo. – To najpierw wolałabym jednak gryzienie.

A gdy spojrział na nią pożądliwie i kłapanął seksownie zębami, zakrzyknęła:

– Jeeeeeeść, durniu! Umieram z głodu! Mają tu fajną knajpę, widziałam w necie.

Kwadrans później w kamiennej fortecy przerobionej na stylową restaurację napoczęli karafkę czerwonego węgierskiego wina. „Tu jest Galicja, teren dawnych Austro-Węgień, a to zobowiązuje”, czarował kelner o urodzie brazylijskiego tancerza samby (niewielki wzrost, wielki zad, wąska talia, kruczoczarna czupryna). W kuchni pichciły się dla nich placki ziemniaczane i stek z dzika, który kazali okraszyć smażonymi jabłkami oprószonymi cynamonem. Lepiej być nie mogło.

– Może ci się przydać do scenariusza – odezwał się Dżony, odstawiając kieliszek i wskazując na jej smartfon leżący obok solniczki z drewna, którą jakiś lokalny sprytek wyrzeźbił w kształt rycerza w zbroi.

– Co? – zapytała Agnieszka.

– Wysłałem ci, jak byłeś w kiblu – wyjaśnił.

– Nie byłem w kiblu. Byłam kupić oscypki. Zaniósłam do pokoju.

– Nie cierpisz oscypków.

– Chciałam dać zarobić tej kobiecie przy bramie. Przypomina mi panią Halinkę.

– Sprawdź – ponaglił, szturchając palcem smartfon.

Podniosła telefon i odczytała wiadomość na głos:

– Jak donosi Carla del Ponte, była główna prokurator Międzynarodowego Trybunału Karnego dla byłej Jugosławii, podczas ostatniej wojny w Kosowie handel ludzkimi organami trwał w najlepsze. Raport Rady Europy w tej sprawie przypisał odpowiedzialność za to albańskiej Armii Wyzwolenia Kosowa, której dowódcą był dzisiejszy premier Kosowa Hashim Thaci.

– Mocne – potwierdziła i napiła się wina. – Dzięki. Ale wykorzystam sobie to

w referacie. Wolę, żeby akcja mego filmu działa się jednak w Chinach, a nie na Bałkanach.

– Mojego? – zaśmiał się, ale ostrożnie, trochę zwiadowczo, jakby się jej bał. – Mówisz, jakbyś już miała producenta. No, właśnie – ożywił się – co cię wzięło, że zaczęłaś to pisać?

– Dostałam zlecenie – odparła. – Jakiś miesiąc temu.

– Zlecenie? Miesiąc temu? I nic nie powiedziałaś? – Dżony wypowiadał te pytania głosem mężczyzny, który dowiedział się, że jego kobieta poszła na kawę z przypadkowo spotkanym przystojniakiem. – Zlecenie? – Przeżuwał to słowo jak nieznaną potrawę. – Jakie zlecenie?

– I pieniądze – dodała nieśmiało. – Zapłacili z góry... A nie chwaliłam się, bo nie byłam pewna, czy w ogóle przyjmę ofertę. – Mówiąc to, uciekła ze spojrzeniem w bok. Zawsze tak miała, gdy kłamała.

W rzeczywistości przyjęła propozycję od razu, kwestią do rozstrzygnięcia pozostawało tylko, czy przeznaczy honorarium na statutowe cele Legal Heart w całości czy tylko w połowie. I właśnie tych swoich wahań wstydziła się przed sobą najbardziej, przypisując je nagle obudzonej chytrności. Pogardą dla grzechu chciwości zaszczerpiła ją pani Halinka, odkąd wzięła ją na wychowanie do domu, który był ubogi, lecz czysty i nie dotyczyło to tylko stanu pościeli czy łazienki.

Jednak ta połowa zarobku pozwoliłaby jej na zapłacenie aż szesnastu czynszów za mieszkanie na Woli, w którym tak dobrze mieszkało im się z Dżonym, z czego cztery czynsze to były już zaległości. Dostaliby rok spokojnego życia. I jeszcze zostałyby na kilka książek.

– Pieniądze? – Oczy Dżonego błysnęły drapieżnie. Nie był chytry, nie był pazerny, nie był też skąpy. Za to stale po uszy w długach. – Ile?

– Nie podniecaj się. – Agnieszka bezbłędnie odczytała jego ożywienie i w tym samym momencie podjęła decyzję. Poczowała ulgę, jakby zdjęła z siebie plecak z żeliwem. – I tak wszystko przeznaczę na fundację. – Upiła łyk wina. – Pięćdziesiąt tysięcy.

– Pięćdziesiąt kawałków?! – Poderwał się na krześle, ale zaraz usiadł. – Kto ci to zlecił?

– Stołeczny Fundusz Filmowy. Zadzwoił ich dyrektor kreatywny, powiedział, że chcą wejść w fabułę na przyszłoroczny festiwal kina zaangażowanego w Toronto. Szukają jakiejś mocnej opowieści o ludzkim nieszczęściu. Czy mam taką? – Uśmiechnęła się z politowaniem do własnego wspomnienia jak krawiec, którego ktoś zapytał, czy potrafi przyszyć guzik. – Jasne że mam. Cały worek opowieści. A jedna bardziej nieszczęśliwa od drugiej. I każda zaangażowana jak sam skurwysyn. – Wskazała oczami swój pusty kieliszek, a Dżony sięgnął po karafkę. – Umówił mnie

w „Szpulce” ze swoją asystentką, omówiłyśmy szczegóły, a za dwa dni przyszły pieniądze. Wyznaczyli mi deadline do końca lata. Gdybym się rozmyśliła, mam im tę kasę oddać. Ale przecież nie oddam.

– Przyszli do ciebie tak, o? – Dżony pstryknął palcami koło ucha. – Jak do Agnieszki Holland? I zapłacili z góry?

– Tak, o? – wypowiedziała to w taki sposób, jakby złapała go na nielojalności. – Wydaje ci się, że tylko ty potrafisz kleić i zapisywać historie? – Jej głos pobrzmiwał oburzeniem, nieco przerysowanym, nieco udawanym, ale tylko nieco.

W pisaniu trochę rywalizowali ze sobą, choć Agnieszka wiedziała, że jest przy Dżonym bez szans; posługiwał się bardziej brawurową frazą, ciekawszymi metaforami, konstruował bliższe życiu dialogi, a logika jego wywodów była jak żyleta. Wszystko to na razie bezużyteczne i bezdochodowe z powodu obelgi, na jaką się powążył w stosunku do tych, którzy mają moc zamawiania sztuk, esejów, opracowań i wstępów do modnych książek. O ile jednak brak twórczego spełnienia nieomal zagryzał Dżonego, o tyle Agnieszkę zaledwie podgryzał.

– Polecono mnie na uczelni – wyjaśniła z wyrzutem. – Może i nie jestem Agnieszką Holland, ale prowadziłam przez dwa semestry zajęcia z kreatywnego pisania, tak?

Wątpiąca mina nie zniknęła w twarzy Dżonego. Wkurzał ją.

– I wiedzieli o „Trzynastu stolikach” – warknęła.

„Trzyście stolików”... Dżony uśmiechnął się z nostalgią, jak na wspomnienie fajnych wakacji. To był scenariusz Agnieszki, który on nieco tylko podszlifował. Wystartowała z nim w dość prestiżowym konkursie na serial telewizyjny i wygrała go. W miasteczku na Mazurach na zapleczu restauracji o nazwie „Trzyście stolików” kucharz znajduje zwłoki Violetty Wedler, telewizyjnej znakomitości, autorki otoczonego kultem programu „Kuchenne metamorfozy”. Restauracja bierze akurat udział w tym programie. Nagie ciało celebrytki spoczywa w lodówce na mięso i jest poznaczone figurami geometrycznymi przypominającymi te, jakie widuje się na schematach podziału półtuszy wołowej. W tle jowialna polska prowincja zmacona na moment paluchem szołbiznesu.

Ten serial miał ich ustawić na długo i być początkiem scenopisarskiej kariery Agnieszki, niestety, telewizja, która zakupiła prawa, nakręciła tylko dwa odcinki, po czym nawet ich nie wyemitowała, wystraszona piekłem sądowych pozwów i odszkodowań, jakimi zagroziła stacji rozhisteryzowana gwiazda od widelca i chochli.

– Trzyście stolików, mój Boże... – zadumał się Dżony. – Pamiętasz tamto hasło z billboardów?

– Pierwszy dobrze wysmażony polski kryminał.

– Złapaliśmy pana Boga za nogi.

– Ale się nam Pan Bóg wyszarpnął – skwitowała Agnieszka i wskazała palcem w stronę drzwi do kuchni. – A propos smażonego... – W ich stronę zmierzał tanecznym krokiem latyno-słowiański kelner, niosąc w każdej dłoni olbrzymi półmisek.

Gdy posiłek znalazł się na stole, oboje złapali za sztucce i wbili je w mięso, które trysnęło sokami i aromatem. Jedli jak zwierzęta.

„Chyba będzie napiwek”, ucieszył się kelner i poszedł na zaplecze zagrać na telefonie w „Wolfensteina II”, gdyż w knajpie chwilowo przerzedziło się.

Następne dwa dni minęły im na seksie, uczestnictwie w konferencji i nieśpiesznym spacerze po Wawelu, gdzie Agnieszka koniecznie chciała odwiedzić grób Marii i Lecha Kaczyńskich w krypcie Pod Srebrnymi Dzwonami. Złożyła na nim kwiaty. Na nieco zakłopotane pytanie Dżonego, dlaczego to robi, skoro tak ostentacyjnie stroni od polityki, a na dodatek nie wierzy w wersję zamachu, odparła: – Na przekór pętałom.

Skosztowali też gęsih pipek na Kazimierzu i pobuszowali w księgarni Dedalus na Grodzkiej, gdzie kupili Pasje Franciszka Liszta, zbiór nowel filmowych Jerzego Stefana Stawińskiego. Wieczorami wracali do Pieskowej Skały, otwierali okna, wpuszczali do pokoju letnią noc i odkorkowywali wino. Kamienna ściana, którą mieli za oknem nieomal na wyciągnięcie ręki, oddawała spazmy Agnieszki z perfekcją dźwiękowca z planu porno.

Drugiego dnia konferencji, gdy Agnieszka słuchała ostatnich referatów po tym, jak przy aplauzie sali wygłosiła swój, Dżony wymknął się z centrum kongresowego i zaszył w kawiarni, gdzie korzystając ze smartfona, przeprowadził małe śledztwo. Klikał, czytał, dumał, robił jakieś notatki na serwetce. Wykonał też cztery telefony i po każdym kolejnym coraz bardziej posępniała mu twarz.

Dniem ich powrotu była niedziela. Sunęli przez jurajski krajobraz ukształtowany jak na zamówienie którejś z hollywoodzkich fabryk, zamierzającej nakręcić tu film historyczny. Podzieliła się tym porównaniem z Dżonym. Kiwnął głową z uznaniem, a ona, odczytując to jako zachętę, poczęstowała go pełnym pasji wywodem, z którego wynikało, że dziś i tak nikt już nie kręci prawdziwych historycznych filmów. Takich, które precyzyjnie trzymają się starożytnych realiów. Dziś w pogardzie jest nawet zwyczajna logika, mówiła. Jak zły książę, to koniecznie o dwóch twarzach (jedna skryta na potylicy za włosami). Jak zwierzę bojowe, to nieodmiennie zmutowany słoń, trzy razy większy od normalnego i ubrany w zbroję z najeżonych kolców. Jak straż przyboczna, to każdy wojownik półnagi i z tak doskonałą tarką na brzuchu, że aż się chce pracować na niej majtki, zwłaszcza gdy jest się kobietą. Jak starożytna muskulatura, to nie taka, jakie widuje się na rzymskich amforach czy mozaikach, lecz

tak wybujała i przerysowana, że od razu wiadomo, iż trudzili się nad nią najlepsi kalifornijscy magicy od anabolicznych kuracji.

Dżony nie miał odwagi jej przerwać, żeby poruszyć w końcu temat, który powinien był podjąć wczoraj. Swoje milczenie usprawiedliwiał tym, że należy dać partnerce nasycić się pejżażem. Może o trudnych sprawach lepiej rozmawiać w otoczeniu bardziej przysadzystym, mniej barwnym i lekko oszpeconym? Za trzydzieści kilometrów zaczynał się przemysłowy Śląsk.

Na krzyżówce z siedemset siedemdziesiątką trójką, łączącą Skałę z Olkuszem, omal nie wpadli na ludzi idących do kościoła. Na szczęście Dżony wyhamował w porę. Tamci wyszli zza zakrętu ławą, niczym grupa szturmowa, z książeczkami do nabożeństwa jako podręcznym orężem. Ubrani byli w odświętną odzież, która przestała być modna jakieś dwadzieścia lat temu i która tak bardzo odstawała od kosmicznych ubrań licznych tego dnia turystów. Cztery kobiety, mężczyzna i dziecko. O mały włos... Pewnie się za bardzo zapomnieli, pewnie utracili na moment czujność, pewnie sądzili, że wciąż są u siebie. A od dawna już nie byli.

Rozgniewany Dżony uchylił okno i już miał się wydrzeć, gdy usłyszawszy warknięcie Agi – „Ani się waź!” – spotulniał i przyjął przeprosiny tamtych. Rzucił nawet „z Bogiem” i pojechali dalej.

– Oni są tu u siebie – odezwała się po dłuższym milczeniu.

– Nikt już nigdzie nie jest u siebie – odpowiedział i wcisnął włącznik radia.

Za szybą, oświetlone boską lampą, znów wypiętrzyło się piękno, a w radiu pewna aktywistka tokowała o podłości czasów, w jakich przyszło jej żyć. Wszystko przez lud, który dał się omamić wizją zasiłków i obietnicą rozprawy z elitami, a teraz raduje się, gdy słyszy, że w stolicy prawdziwi Polacy wyrzucają z tramwajów ludzi z kręconymi włosami. Gdy prowadzący audycję westchnął ciężko i wtrącił „Ludzie ludziom zgotowali ten los”, Agnieszka nie wytrzymała.

– Co ona pierdoli?! – zawołała. – I pomyśleć, że kiedyś z tą idiotką robiłam projekty. – Sięgnęła po telefon.

– Co robisz? – zainteresował się Dżony.

– Piszę do nich. Przecież podają kontaktowego maila. Niech idiotka wie!

Przez kilka minut mozolnie wstukiwała do telefonu treść listu, a potem odczytała go na głos:

– Droga Joanno, nie sądzisz, że to za mocne motto jak na obecne czasy? Nałkowska ozdobiła nim opis piekła, tymczasem mamy dziś co? Spójrz na Polskę okiem drona. Grupki porządnie ubranych i najedzonych ludzi zmierzają spokojnie do kościoła, umyte samochody zapełniają parkingi pod centrami handlowymi, a ich właściciele wydają w tym czasie pieniądze na jedzenie, ubrania, rozrywkę, kulturę, książki, kino, zbytki wszelakie. Inni z kolei siedzą w tym czasie przed telewizorami,

wielkimi jak ściana, i rozmyślają, który z 567 kanałów obejrzeć, a przy okazji łowią nosem zapachy niedzielnego obiadu, obowiązkowo z mięsem. Naprawdę taki ten nasz los parchaty, Szanowna Koleżanko? No, chyba że mówimy o losie tych z kręconymi włosami, których nagle ktoś zaczął wyrzucać z tramwaju. Napisz mi, proszę, bo nie dosłyszałam, czy oni są wyrzucani w biegu i na których liniach?

– Naprawdę jej to wyślesz? – zachichotał Dżony.

– Już poszło!

– I na zdrowie. Niech mają... – zawiesił głos. – Aga, ale i ja muszę ci powiedzieć coś mocnego. – Posłał jej spojrzenie ojca z amerykańskiego filmu. Takiego, który lubi wywalić synowi prawdę w oczy i tego samego domaga się od niego. A potem obaj idą na mecz i dużą porcję smażonych skrzydełek.

Trwało to krótko, bo musiał pilnować drogi, ale wystarczająco długo, żeby Agnieszka poczuła złość. Nie znosiła tej jego pozy, gdzie on się tego nauczył?

– Mów – zachęciła z grobową miną.

– Nikt w Stołecznym Funduszu Filmowym nie słyszał nawet twojego nazwiska. Nikt u ciebie nie zamawiał żadnego scenariusza. Dyrektor kreatywny nigdy z tobą nie rozmawiał i nigdy nie miał pomysłu na film o ludzkich nieszczęściach. Nikt też nie zapłacił ci żadnego honorarium za żaden pieprzony film.

Rozdział piętnasty

– Zaraz, zaraz... Czy ja dobrze zrozumiałem? – Roman Andruszkiewicz odłożył nóż i widelec w sposób informujący kelnera „nie ruszać, jeszcze jem!”, po czym splótł dłonie w odwrócone siodełko, oparł na nim brodę i wbił spojrzenie w rozmówcę. – Czy ten człowiek przyleci z Azji, aby umrzeć w Polsce i podarować serce memu przyjacielowi?

– Nie podarować, lecz sprzedać – poprawił go rzeczowo, choć z domieszką irytacji, opalony człowiek po drugiej stronie stołu, po czym zwrócił się do Niemcewicza, który był trzecim uczestnikiem obiadu:

– Panie Witoldzie, rozumiem, że mogę poruszyć przy tym panu – wskazał nożem na Andruszkiewicza, nie obdarzając go nawet spojrzeniem – wszystkie aspekty wiadomej sprawy? Łącznie z tymi finansowymi?

– Nie mam przed moim przyjacielem najmniejszych tajemnic. – Mówiąc to, Niemcewicz odłożył nóż i potarosił kędzierzawą czuprynę Andruszkiewicza.

Doktor nadstawił mu się jak pies i posłał opalonemu spojrzenie pełne triumfu, które ten zignorował, wkładając sobie do ust kęs jagnięciny w sosie miętowym. Był to w jednej osobie właściciel i dyrektor prywatnej kliniki kardiologicznej, najlepszej między Warszawą a Kaliningradem. Najlepszej i najdroższej. Najdroższej i najbardziej dyskretnej. Przycupniętej – bez ostentacji i przepychu – na odludziu, pomiędzy garbami mazurskiej moreny. Mężczyzna miał nienaganną sylwetkę, a jego opalenizna należała do tych, jakie nabywa się nie w solarium dla plebejuszy, lecz w trakcie dalekomorskich rejsów jachtem lub wysokogórskiej wspinaczki.

Niemcewicz dźgał widelcem dietetyczną sałatę dla rekonwalescenta, a doktor Andruszkiewicz miał na talerzu gruby na dwa palce stek po angielsku, obowiązkowo krwisty. Spotkanie miało miejsce w warszawskiej restauracji na Powiślu, choć początkowo planowano odbyć je w apartamencie Niemcewicza. Chory zmusił się jednak do wyjścia, bo – jak zażartował w obecności pielęgniarki, zaniepokojonej, że tak szybko kazał się odłączyć od aparatury i przygotować ubranie – nigdy nie było jego marzeniem, aby umrzeć z łóżku. Z pościeli wstał dziarsko, po czym wziął prysznic, ogolił się pewną ręką i spryskał obficie z zielonej buteleczki „Polo” Yvesa Saunt Laurenté’a. Na kierowcę, który zaproponował, że odwiezie go na garażowy podjazd wózkiem, huknął: „Spieprzaj, dziadu!”.

Rozmowa w restauracji odbywała się bez alkoholu: Niemcewicz nie pił, bo chory, Andruszkiewicz, bo kierował autem, dyrektor kliniki, bo biegał maratony. Zza baru lypał na nich długowłosy kelner, sprawiający wrażenie utytego spaniela, który mimo

przekarmienia, wciąż domaga się nowych kąsków.

– Skoro nie ma pan przed przyjacielem tajemnic, to wyjaśniam – skinął głową dyrektor. – I zaznaczam, że wiem, co mówię, gdyż jestem kardiologiem, a nie lekarzem rodzinnym.

Ostatnie zdanie aż kipiało pogardą. Nie można było wymierzyć celniejszego ciosu w zawodową godność Adruszkiewicza. Równie dobrze kardiolog mógł go nazwać znachorem.

Następnie mężczyzna zwrócił się do Niemcewicza.

– Podczas gdy będzie pan znieczulony, do żyły na szyi oraz do tętnicy lewej nogi lub ręki wprowadzimy panu cewniki. Owszem, ta procedura może wydawać się nieprzyjemna... – Kardiolog spojrzał na Niemcewicza badawczo, ale twarz przyszłego pacjenta nie wyrażała żadnych emocji. – ... ale jest on niezbędna, abyśmy mogli dostarczać panu płyny do organizmu oraz monitorować stanu serca przed i po operacji...

– Wciąż nie odpowiedział pan na moje pytanie! – przerwał mu Andruszkiewicz. – Co wtedy dzieje się z żółtkiem?

– Słucham? – spytał wyniośle szef kliniki.

– Co z dawcą? Czy on czeka za parawanem na zastrzyk śmierci?

Kardiochirurg posłał lekarzowi rodzinnemu spojrzenie, jakim usadzał zbyt wyszczekane pielęgniarki, co zdarzało mu się wyłącznie w szpitalu publicznym. W jego prywatnej placówce pyskatość i wścibstwo były zakazane równie surowo jak brud za paznokciami.

– Proszę sobie nie pozwalać! – huknął na Andruszkiewicza, aż kelner-spaniel zastrzygł uszami, jakby usłyszał głos pana. – I proszę dać mi dokończyć!

Lekarz rodzinny nie odpowiedział, lecz wysunął zza krawędzi stołu środkowy palec, niczym pacynkę, po czym szybko go schował.

Kardiolog udał, że tego nie zauważył. Przełknął ślinę i też odłożył sztućce; wyglądało na to, że cała trójka nie miała już ochoty kończyć posiłku, bo i Niemcewicz porzucił widelec.

– Przy przeszczepie serca ważne jest, aby narząd dawcy znalazł się w sali operacyjnej jeszcze zanim operacja się rozpocznie – wyjaśnił kardiolog, patrząc wyłącznie na Niemcewicza.

– Czym go ukatrupicie? Cyklon B? – Andruszkiewicz spróbował kolejnej prowokacji.

– Poddamy pana kolejnemu znieczuleniu – Właściciel kliniki nie dał się zbić z tropu. – I zostanie pan podłączony do maszyny, która przejmie chwilowo czynność serca i płuc.

Twarz Niemcewicza pozostawała niewzruszona, więc dyrektor,

zinterpretowawszy to jako objaw nieznamomości tematu, dodał:

– Chodzi o pompowanie i wymianę gazową.

Wtem Niemcewicz ożywił się. Zaczął mówić tak, jakby czytał z promptera albo cytował rolę, której wyuczył się na pamięć.

– Urządzenie to nazywacie pomostem sercowo-płucnym lub po prostu płucosercem. W tym czasie usuwacie moje chore serce i umieszczacie w jego miejscu narząd dawcy, po czym to nowe serce podłączacie chirurgicznie do moich najważniejszych naczyń krwionośnych. I chociaż gdy tak o tym opowiadam, może się to wydawać nieskomplikowane, to jednak do przeprowadzenia operacji potrzebnych jest... – Niemcewicz zrobił pauzę, jakby liczył coś w pamięci, lecz kardiochirurg, pełen uznania, pośpieszył mu z pomocą:

– Potrzebnych jest trzech chirurgów, dwóch anestezjologów, technik obsługujący aparat do krążenia pozaustrojowego oraz dwie lub trzy pielęgniarki – dokończył.

I dodał po chwili, jakby dopiero sobie przypomniał: – Oraz pięciu dodatkowych lekarzy specjalistów i pielęgniarka. Trzech z nich to ci, którzy nieco wcześniej i w innym miejscu stwierdzą zgon dawcy i jego śmierć mózgową, bo zgodnie z polskim prawem, lekarze wchodzący w skład takiej komisji nie mogą potem uczestniczyć w pobraniu narządów osoby zmarłej. Natomiast dwóch kolejnych pobierze od dawcy pańskie nowe serce, a asystować im w tym będzie wyspecjalizowana pielęgniarka. – Zakończył wyliczanie, westchnął bezradnie i dodał z uśmiechem, jakby chodziło o nowy model porsche: – Jak pan widzi, to nie może być tanie.

Niemcewicz skinął głową na znak, że rozumie i że nie stanowi to dla niego problemu.

– Pięćset tysięcy – obwieścił dyrektor kliniki.

– Złoty czy euro? – zapytał rzeczowo Niemcewicz.

– Na pewnym poziomie ceny podajemy wyłącznie w euro. Oczywiście, mowa tylko o zabiegu i opiece pooperacyjnej. Za narząd zapłaci pan komu innemu.

– Chirurgowi – ni to stwierdził, ni to zapytał Niemcewicz.

Kardiolog chrząknął z zakłopotaniem.

– Raczej naszemu azjatyckiemu partnerowi w interesach. Wobec tamtej osoby wolę używać słowa „partner” niż „chirurg”. W końcu sam nim jestem.

Ostatnie zdanie wypowiedział z naciskiem i spojrzął wymownie na Andruszkiewicza, lecz ten gapił się ostentacyjnie w sufit. Zza krawędzi stołu znów wyrzwał jego środkowy palec.

– A zatem partner – zgodził się Niemcewicz, po czym zerknął na nadąsanego przyjaciela.

– Chcesz o coś dopytać, Romeczku?

– Od samego początku chcę! – wybuchnął Andruszkiewicz. – Przypomnę swoje pytanie, które ten pan – tu lekceważący gest kciukiem w stronę dyrektora kliniki – tak zgrabnie ominął, robiąc nam wykład z oczywistości, które ja pamiętam jeszcze ze studiów. To pytanie brzmi: „Czy dawca przyleci z Azji, aby umrzeć w Polsce?”.

– Nie, proszę pana, nie przyleci! – odparował momentalnie kardiolog. – On już tu jest!

Przy stole zapanowała cisza, w której, niczym ważki, unosiły się znaki zapytania. Kardiolog był wytrawnym kłamcą i jeszcze lepszym aktorem, potrafił grać pauzą.

– To człowiek nieuleczalnie chory – wyjaśnił, gdy uznał, że przetrzymał swych rozmówców wystarczająco długo. – Przyleciał do Polski, aby tutaj umrzeć. Przebywa teraz w hospicjum, znajdującym się w pewnej odległości od naszej kliniki. Tam zapewniono mu godne warunki. Gdy będzie wiadomo, że kres jest już bliski... – mężczyzna sięgnął po szklankę z wodą i upił łyk – ... a przecież my lekarze potrafimy dziś stwierdzić to z dokładnością do kilku godzin.. – odstawił szklankę – ... zadzwonimy po pana. – Skłonił się w stronę Niemcewicza. A ten zapytał:

– Czy mogę się spotkać z tym człowiekiem?

– Wykluczone. Z przyczyn zasadniczych. – Dyrektor pokręcił stanowczo głową. – Przecież pan dobrze wie, że biorca nie ma prawa poznać nawet personaliów dawcy, cóż dopiero spotkać się z nim osobiście.

– Owszem, w normalnych okolicznościach – zaznaczył Niemcewicz i zapanowała cisza. Nieco kłopotliwa. – Na co umiera ten człowiek?

– Dawca to człowiek w zaawansowanym stadium raka. Strasznie cierpi. Została mu szczypta życia. Sprzedał swoje serce i dzięki tym pieniądзом jego córka będzie mogła pójść za studia.

– On ma raka?! – zakrzyknął Roman Andruszkiewicz. – Dawca ma raka?! – powtórzył i wyrecytował, jakby czytał ze strony internetowej ministerstwa zdrowia, zakładka o przeszczepach: – Stwierdzenie choroby nowotworowej u dawcy jest przeciwwskazaniem do pobrania serca.

– Z wyjątkiem nowotworów mózgu! – skontrował go dyrektor kliniki. – Odsyłam do książek! – Znow demonstracyjnie nie patrzył na Andruszkiewicza. – Tak, dawca ma raka mózgu i umrze na niego w Polsce... No, chyba że nastąpi cud. Ale wszyscy wiemy, że nie nastąpi. – Kardiolog jeszcze mocniej nachylił się w stronę Niemcewicza. – Odnoszę wrażenie, że pana przyjaciel – subtelne wskazanie głową na Andruszkiewicza – bardzo źle panu życzy, skoro ciągle ma jakieś wątpliwości.

– On się tylko o mnie troszczy – odparł pogodnie Niemcewicz i znow potar mosię czuprynę przyjaciela. – Coś jeszcze, Romeczku? –

– Tak. Rachunek! – warknął Andruszkiewicz. – I sam płacę za siebie.

Pomachał w kierunku kelnera kartą kredytową, wyjąwszy ją z tej samej kieszonki

na piersi, z której wystawiała swoje trzy rogi ręcznie szyta poszetka z jedwabiu. Zarówno karta, jak i chusteczka były koloru złotego.

Nadpobudliwy kelner znalazł się przy stoliku szybciej niż sugerowała to jego tusza. Jak kanapowiec, któremu pomachano herbatnikiem.

Rozdział szesnasty

Kelner znalazł się przy ich stoliku dużo później niż sugerowałyby to jego cielesna nadpobudliwość. Agnieszka chciała go nawet szturchnąć ostrym słowem, ale dała sobie spokój, poprzestając na wymownym spojrzeniu na zegarek. Po pierwsze, nie była aż tak głodna, po drugie, wciąż dręczyło ją to, co usłyszała od Dżonego w samochodzie. To pierwsze wynikało z tego drugiego.

Pochylili się nad kartami. Dojechali już na Śląsk, więc niedzielna tradycja domagała się rosołu, a na drugie klusek z roladą i czerwoną kapustą. Przy sąsiednim stoliku jakaś para, pomagając sobie łyżkami, nakręcała na widelce długie nitki makaronu. Kluchy udawały spaghetti carbonare, pławiąc się w bezmiarze sosu, który był za tłusty. Tak to się kończy, gdy jakaś pocziwa pani Gabrysia, przyzwyczajona do śląskiej sutości, zostaje przymuszona przez menadżera knajpy do gotowania wbrew sobie, pomyślała z przekąsem Agnieszka, bo na kimś musiała wyładować wzburzenie i lęk.

Przyjrzała się jedzącym. Nad czołem mężczyzny, wsparte o grzywkę, rozsiadły się okraciem słoneczne okulary, które chciały być markowe, ale nie były. Jeszcze jeden dupek, który zamiast na oczach, nosi okulary we włosach, pomyślała, bo wzburzenie i lęk wciąż ją rozpierały.

Restauracja też udawała lokal, którym nie była. Wymyślona jako egzotyczna, miała się odcinać od pospolitości okolicy nazwą, wystrojem i kartą dań. I skończyła jak wiele podobnych przydrożnych knajp, które w ambitnych początkach sadzą się na śródziemnomorskość, hinduskość, bliższą lub dalszą azjatyckość, względnie wegańskość, aby prędzej czy później ugiąć się pod naporem bezlitosnych praw rynku i jeszcze bardziej bezlitosnych apetytów podróźnych, zwłaszcza kierowców TIRów, wywiesić białą flagę i przyjąć warunki bezwzględnej kapitulacji, która oznacza likwidację karty win oraz powrót na główne miejsce w menu schabowego z kością, kapustą i efektem „Wow!” w postaci informacji, że kotlet usmażono na prawdziwym smalcu. Wyjątkowo, w odruchu litości, los zostawia pokonanej restauracji jakiś honorowy relikwyt dawnych aspiracji, tak jak wziętemu do niewoli oficerowi pozwala się czasem zachować gwiazdki zerwane mu z pagonów. W knajpie, w której postanowili zjeść, takimi gwiazdkami z pagonów były: owo nieszczęsne spaghetti, fototapeta z Wezuwiuszem wklejona w kamienny łuk oraz nazwa „Palermo” nad wejściem.

Plajta pomysłu na zainstalowanie na Śląsku kawałka podrabianej Sycylii wyszła restauracji tylko na dobre. Przekonali się o tym już przy talerzu rosołu, który był tak

dobry i tak ponadczasowo swojski, że zapieczętowany w fiolce, mógłby być śmiało złożony na Wawelu pośród innych narodowych relikwii. Swe pierwsze wrażenie potwierdzili przy roladzie z kluskami. Pani Gabrysia, której obecności w kuchni zaledwie się domyślali, znów była sobą z korzyścią dla wszystkich.

Przez cały obiad prawie się do siebie nie odzywali, jednak przy kawie Agnieszka nie wytrzymała.

– Co cię tknęło, że zacząłeś węszyć wokół tego scenariusza?

Dżony wzruszył ramionami jak chłopak zapytany, dlaczego nadmuchał żabę przez słomkę.

– Bo tak. To źle? – odparł. A widząc, że ta odpowiedź Agnieszki nie zadowala, dodał: – Jesteśmy razem i muszę dbać o twoje bezpieczeństwo.

– A co ty jesteś? BOR?

– Przecież sama najlepiej wiesz, jakim się narażasz ludziom.

– W życiu ich na oczy nie widziałam. – Agnieszka wypowiedziała to zdanie z niejakim żalem. – Najwyżej na zdjęciach. Robionych z ukrycia albo na sali sądowej, jak się już Interpolowi uda złapać skurwiela, jednego z drugim. Nawet na Chirurga się pod hotelem nie doczekaliśmy. Cała nasza działalność to edukacja, uświadamianie, konferencje, pogadanki, czasem jakiś protest. Kto tak naprawdę może chcieć na mnie zapolować?

– Robisz hałas, a pieniądze lubią ciszę. Zwłaszcza takie pieniądze. Wchodzisz złym ludziom między wódkę a zakąskę.

– I to z wdzięczności źli ludzie przelewają mi kasę na konto, tak? Przecież te pięćdziesiąt tysiąków jest na moim koncie. A propos wódki. Muszę sobie z tych emocji... – Poszukała spojrzeniem kelnera i wystawiła do góry dwa palce, jakby pokazywała znak zwycięstwa. – Dwie śliwowie!

– Prowadzę – zaprotestował Dżony.

– Obie dla mnie.

Gdy wypła jednym haustem pierwszy kieliszek, chuchnęła w kułak i zapytała raz jeszcze:

– Zatem źli ludzie przelali mi tę forszę z wdzięczności?

– Może chcą cię kupić? – Dżony zaczął odliczać na palcach. – Może do czegoś sprowokować? Może kiedyś czegoś w zamian zażądają? Może mają w tym jakiś interes, którego nawet się nie domyślamy?

– Ale ja mam przecież numer do tej asystentki. Rozmawiałam z nią. Mam jej mail. Poczekaj...

Wyjęła smartfon i dobrała się palcem do jego pamięci. Stuknęła paznokciem, przyłożyła telefon do ucha.

– Kurwa! Numer nie istnieje! – Sięgnęła po drugi kieliszek, ale upiła go tylko do

połowy. – Poczekaj. Mam maile od suki.

– Z jakiej domeny? – spytał Dżony głosem, który zwiastował, że i tak zna odpowiedź.

– Z gmaila – odpowiedziała znad ekranu telefonu.

– Ten fundusz filmowy ma swoją domenę. Od własnego skrót. Nie tknęło cię nic?

– Odpierdol się! – Złapała za kieliszek i opróżniła go do końca. Ponownie rozejrzała się za kelnerem, a on jakby tylko na to czekał. Uniósł do góry brwi i dwa palce. Potwierdziła skinieniem.

– Zrób jeszcze coś, zanim się schlejesz – poprosił Dżony. – Będziemy mieli pewność.

– Co?

– Wejdź na swoje konto i spróbuj przelać jakąś małą sumę na rachunek, z którego przysły pieniądze. Jakies dziesięć złotych.

Pochyliła się nad telefonem, odrywając od niego wzrok tylko na tę chwilę, w której kelner przyniósł dwie kolejne wódki – żeby mu podziękować.

– Podany numer rachunku jest nieprawidłowy – odczytała w końcu.

– Nieprawidłowy, bo konto zlikwidowane – dopowiedział Dżony. – To wszystko fejk.

– Tylko pieniądze prawdziwe – skwitowała i objęła palcami kieliszek. Teraz mogła się już upić i bardzo tego pragnęła. Rąbnęła obie wódki jak pijanica na trzydniówce. Dżony nie oponował. „Zaśnie i będę miał spokój”, pomyślał.

Ale nie zasnęła. Kawa plus wódka, ta mieszanka uruchomiła w niej gadanego. Mam gadanego, mawiała często po kawie lub w chwilach euforii, łącząc po domu za Dżonym i tokując na temat, który sama sobie zadała. A on odnosił się do tych stanów wyrozumiale, z pobłażliwym uśmiechem na wargach. Kochał Agnieszkę bezwarunkowo, ponadto te słowotoki potrafiły być czasem urocze, a i literacko ciekawe.

Wszystko zaczęło się od tego, że wychodząc z knajpy, zgarnęła tygodnik opinii, jaki ten z okularami we włosach zostawił na stole. Swą namiętność do prasy tłumaczyła koniecznością „bycia na bieżąco”, a tę z kolei zajęciami na uniwersytecie, choć tak naprawdę sama nie wiedziała, co w tym przypadku było jajkiem, a co kurą. To znaczy, dużo czytała, bo wykladała, czy wykladała, bo dużo czytała?

Na okładce magazynu tłustawy facet z wąsem i w czapce z pawim piórem łytał gniewnym okiem zza parawanu na plaży, który był w kolorze biało-czerwonym. W tle palmy i morze. Tytuł brzmiał: „Kargul w tropikach. Polskie strefy w egzotycznych kurortach”.

– Następane life story z dupy wzięte – westchnęła Agnieszka.

– To po co brałaś? Wyrzuć – poradził Dżony, otwierając przed nią drzwi samochodu. Mimo stażu, jaki mieli za sobą, mimo rutyny, która osiadła na ich związku jak mech na dachu, mimo luzu, jakiemu oboje hołowali, nadal starał się pamiętać o manierach. Szacunek, dżentelmeneria, opiekuńczość... Agnieszka potrafiła docenić takie gesty.

– Kolejna lekcja wychowawcza udzielona Polaczkom – zaczęła w samochodzie, tłukąc dłonią w rozłożone strony tygodnika, jakby siedział tam jakiś robal. – A taka to była porządna gazeta. Dlaczego Amerykanie użyczają tej marki każdemu, kto o to poprosi? – rozkręcała się. – Dlaczego sprzedają tytuł i licencję pod tak gówniane dziennikarstwo. To jakby „Hugo Boss” sprzedał swoje logo gangowi garażowych krawców z Kiszyniowa, którzy z chińskiego ortalionu walącego chemią, kroją bluzy rękami małoletnich niewolników.

Dżony tylko skinął głową. Wyjechali z parkingu pod „Palermo” i wbili się w główny nurt gęstniejącego przed wieczorem ruchu. Polska wracała z weekendu, aby złożyć głowę na poduszce z Ikei i zasnąć snem sprawiedliwego, mając pod powiekami wszystkie te, zaliczone przez weekend i obsłużone należycie na Facebooku, zamki, aquaparki, turnieje rycerskie, rekonstrukcje bitew, tory kartingowe, kręgielnie, parki linowe, rezerwy dinozaurów, muzea lokomotyw, miasteczka miniatur, skalne labirynty, solne grotty, wieże widokowe, zalane sztolnie i komnaty zagadek. A także liczne i hucznie obchodzone, choć nie istniejące w liturgicznym kalendarzu, święta, jakie dla rozbawienia polskiego ludu wymyślono w ostatnim dziesięcioleciu. Te wszystkie Dni Pasa Łowickiego, Tygodnie Kruchego Ciasta, Święta Suchej Kiełbasy, Festiwale Miodu i Wina, Weekendy Chmielu i Słodu, Karnawały Krówki Ciągutki i wiele, wiele innych.

– Piszą tu – ciągnęła Agnieszka znad gazety – że w niemieckiej prasie furorę zrobił artykuł o polskich strefach nad Morzem Śródziemnym. To takie turystyczne enklawy, gdzie masz się czuć jak u siebie. Schabowy, polski język, polska muzyka, polskie towarzystwo, polska wódeczka, śledzik, kiełbaska, ziemniaczki, rosółek...

– Coś w tym złego? – przerwał jej Dżony, bo choć obiecał sobie milczeć, poczuł zainteresowanie tematem.

– Okazuje się, że tak! – krzyknęła. – Mamy się tego wstydzić! Jakiś dziennikarski pajac w Berlinie porównał to do rzekomo rosnącej izolacji Polski. Że proszę, oto Polacy, prostacy, odgradzają się od świata nawet wtedy, gdy go turystycznie podbijają. I pokazują temu światu fucka! – Wystawiła środkowe palce obu rąk i zaczęła dźgać nimi powietrze. Rozkręciła się na dobre. – A nasze zakompleksione kundle od razu merdają ogonami. Ojoj, popatrzcie, znowu świat się z nas śmieje! Ale siara! Czerwieńmy się ze wstydu, bijmy się w piersi. – Uderzyła się pięścią w mostek, aż zadudniło.

Stary volkswagen Dżonego sunął posłusznie w rozświetlonej ledowym blaskiem

karawanie, która przemierzała przekłety do niedawna i wyśmiewany kraj, gdzie pewnego dnia zupełnie zniecka zniknęło wieki, wydawałoby się, błoto, a obrane toalety, ten upokarzający symbol panującego tu nieporządku, naraz zalśniły, zapachniały lawendą i nikt nie kradł już w nich papieru.

Agnieszka ucichła na moment, niczym burza, która zbiera siły, i znów zdetonowała samą siebie.

– A przecież takie turystyczne enklawy istnieją wszędzie! Wszędzie... – Pogroziła palcem rozłożonej na kolanach gazecie. – Pamiętasz mój felieton, który przysłałam do Tygodnika z Teneryfy? – zapytała, ale nie dała Dżonemu szans na odpowiedź. Zaczęła cytować samą siebie:

– Kruczczożarny Jose dorabia sobie w naszym hotelu jako barman. Ubrany w tyrolskie portki ze skóry, z bawarskim kapelusikiem na głowie, nalewa z kija monachijskie piwo pod gołonkę po alpejsku, a za plecami ma wielki ekran, na którym wyświetla się Bundesliga. Jest to jeden z najbardziej popularnych barów na Teneryfie. Widać stąd skaczące w Atlantyku delfiny. Zgadnijcie, w jakiej strefie jestem...

– Szkoda, że nie byliśmy tam razem – wszedł jej w słowo Dżony i Agnieszka zamilkła.

To prawda, chyba się tym razem zapędziła w swym gadanym. Na Kanary poleciała z Tomaszem Szcześniakiem, drugim producentem odzieży patriotycznej w kraju. Wówczas wciąż początkującym biznesmenem z branży odzieżowej, bo był to czas, kiedy mężczyźni nie oddawali jeszcze za pomocą garderoby czci i chwały bohaterom, gdyż woleli dużo bardziej rubaszne hasła w rodzaju „Piwo moje paliwo” albo „Najlepsze ciacho w mieście”.

Spotykała się już wtedy z Dżonym, ale sporadycznie i jeszcze nie dała mu się zaciągnąć do łóżka, bo nie była pewna, czy tego chce. Dopiero potem zakochała się w swoim – jak czasami mawiała – rzyżym wojowniku. Szcześniak, niedoszły doktor uniwersyteckiej germanistyki, miał być wakacyjną odskocznią, a okazał się całkiem sympatycznym, inteligentnym facetem, który na dodatek przeżywał w tropikach moralne katusze, gdyż bardziej mu się tam podobało niż w Polsce. Uznał to za dużą sprzeczność swojej osobowości, którą zapijał ostro w niemieckim barze, próbując wdawać się tam w geopolityczne dyskusje z niemieckimi robotnikami na urlopach, które oni podejmowali niechętnie, bo albo nie dorównywali Polakowi wiedzą i swadą, albo dławiała ich polityczna poprawność.

Z tamtych wakacji Agnieszka przywiozła żelazne postanowienie: nigdy więcej tropików, nigdy więcej urlopów alles inclusive. „Dziki, nieokiełznany industrial połączony ze śmietnikiem, które nie cuchnie tylko dlatego, że jest spalone słońcem. Niekończące się ciągi warsztatów i myjni samochodowych, jazgot, ruchliwe drogi tuż przy plażach. Wszystko ładne tylko z samolotu, przed lądowaniem. Na stołówce upokarzające kolejki. Oto osławione kurorty pośród palm. Polacy, wybierajcie

rodzimą sosnę” – napisała w felietonie do Tygodnika po powrocie.

Z producentem patriotycznej odzieży pożegnała się w przyjaźni i bez żalu. Kilka miesięcy później przeniósł swą firmę na Wyspy Zielonego Przylądka, skąd udanie zarządzał produkcją i dystrybucją koszulek z wizerunkami AK-owców i husarzy galopujących na koniach jak smoki. Ale o tym dowiedziała się dopiero po jakimś czasie, podczas warsztatów ze studentami, kiedy zadała im research na temat firm z rodzimym kapitałem, które w trakcie ostatniego ćwierćwiecza zarobiły pieniądze na oryginalnych lub brawurowych pomysłach. Studenci mieli po prostu wyszukać w sieci lub w czytelni artykuły o takich przedsiębiorstwach i ich szefach.

– I pamiętajcie, nie chodzi mi o magików z giełdy albo macherów od piramid finansowych, którzy bez krawata czują się, jakby byli nago – napominała grupę. – Chodzi o selfmademanów. Sól ziemi. Prawdziwków. Nie dajcie się też zwieść stereotypom, jak się dają zwodzić wasi starsi koledzy. Żadnych materiałów o białych skarpetach do czarnych mokasynów i fioletowych garniturach. Nic o aferach. Ani słowa o korpo! Chcę, żebyście się dogrzebali do Wokulskich nowej Polski!

Jeden z artykułów, jakie w formie ksero lub wydruków złożono po tygodniu na jej biurku, opowiadał o kolesiu od patriotycznych tiszertów. Więcej dowiedziała się o tym człowieku z tego reportażu, na którego lekturę poświęciła kwadrans, niż z dwutygodniowych wspólnych wakacji wypełnionych jedzeniem, pićciem i seksem. Że był ambitny. Że zarzucił doktorat, bo „to tylko produkcja pustych słów, których nikt i tak nigdy nie przeczyta, nawet sam promotor”. Że w czasach, kiedy wszyscy chcieli być on-line oraz wirtualni i marzyli o załapaniu się na informatyczną żyłę złota (to nie musiał być od razu Facebook, ot, jakaś sfinansowana z unijnych pieniędzy komputerowa przymierzalnia soczewek do oczu albo aplikacja o miejskich zabytkach), on zawsze pragnął produkować rzeczy przydatne i konkretne. Że wynajął mieszkanie w Łodzi na zakapiorskich Bałutach, gdzie niedowidząca emerytowana szwaczka nauczyła go robienia wykrojów, szycia, fastrygowania. Że pojechał na kurs do Mediolanu, aby poznać technologię barwienia tkanin. Że harował po nocach, a w dzień biegał do studentów ASP i zamawiał u nich rysunki rycerzy, toporów, koni, karabinów, do których te ambitne pięknoduchy, zmanierowane ławizną moderny, podchodziły tak, „jakby im ktoś publicznie kazał zrobić kupę”. Że rzuciła go dziewczyna, z którą był na Kanarach i że także z tego powodu wyprowadził się z Polski...

Po tamtych zajęciach z researchu prasowego został jej w pamięci jeszcze jeden reportaż, którego odbitkę ksero dostała na biurko. To była historia doktora chemii, który nudząc się na uniwersytecie za marną pensję, porzucił świat nauki i wszedł w mniej lub bardziej udane interesy, aby na końcu kupić za grosze stocznię jachtową na Mazurach, zrujnowaną i rozszabrowaną po 1989 roku. Wielkim wysiłkiem postawił ją na nogi, dorabiając się przy okazji majątku, jaki wyniósł go do pierwszej

setki najbogatszych Polaków. Jego jachty zyskały światową renomę: pływały nimi gwiazdy rocka, rosyjscy miliarderzy, arabscy szejkwowie, potwornie przepłacani piłkarze i stara porządna brytyjska arystokracja, choć ona rzadziej, bo wiedziona tradycją i patriotyzmem, wolała kupować luksusowe łodzie w Southampton niż w jakiejś Ostródzie, Olecku czy Węgorzewie.

Po lekturze reportażu długo dręczyło ją pytanie, czy to mógł być przypadek. Czy to mógł być przypadek, że spośród dwunastu studentów w grupie, zaledwie pięciu odrobiło zadanie, ale aż dwóch przyniosło prace, które opowiadały o mężczyznach, z którymi ją coś łączyło? Czy to mógł być przypadek?

Nie ma przypadków, są tylko znaki, przypomniała jej się stała śpiewka liderki grupy DDR, do której dała się kilka lat temu zaciągnąć w nadziei, że uśmierzy to trawiący ją lęk istnienia, który na szczęście nie był stały, lecz atakował nawrotami – kilka razy w roku. Dorosłe Dzieci Rozwodników... Mimo że nazwa ruchu niezbyt dokładnie oddawała jej życiową sytuację, Agnieszka przez pewien czas starała się być pilną uczestniczką anonimowych spotkań.

Gdy po latach próbowała ustalić sama z sobą, co najmocniej odepchnęło ją od „dej-de-erów”, jak żartobliwie nazywali sami siebie, doszła do wniosku, że były to zbyt silne zapędy niektórych uczestników, by stać się mądrzejszym od medycyny. Ponadto na proste pytanie, kto daje te znaki, które ona interpretuje jako przypadki, odpowiadali z wahaniem, że Bóg, dodając natychmiast formułkę „jakkolwiek go rozumiemy”. Ta słowna bojaźń była kolejną rzeczą, która ją od nich odstręczała, więc po pół roku przestała przychodzić na spotkania i zapisała się do klubu bokserskiego, gdzie wytrenowała ciało, a pod wpływem otoczenia zrobiła tatuaż na szyi i ręce.

Nawet nie zauważyła, kiedy minęły jej lęki, tym bardziej, że niebawem zaczęła pracować w Legal Heart, co pochłonęło ją do reszty, choć nie dawało spełnienia, na jakie liczyła. Zaś niechęć do zbiorowych terapii wyraziła się obserwowaniem na Facebooku strony „Zdelegalizować coaching i rozwój osobisty”, której moderator ze swadą obśmiewał absurdy z poradników samodoskonalenia i kursów motywacyjnych.

– Zasnęłaś? – zapytał Dżony, a wtedy Agnieszka otworzyła oczy, uświadamiając sobie, że od dłuższego czasu nie wypowiedziała ani słowa. Za oknem zaczęła się już lichota Mazowska. Tak, musiała zasnąć.

– A co, jeżeli to on przysłał te pieniądze za scenariusz? – zapytała znienacka.

– On, czyli kto? – dociekał Dżony, choć nie musiał, bo wiedział.

– Wiesz dobrze – odparła ze złością. – On.

– To by znaczyło, że ciągle cię kocha.

Żachnęła się, jakby ją uraził. Nie takiej odpowiedzi oczekiwała. A jakiej? Tego też nie wiedziała.

– Zjedź tu! – krzyknęła nagle na widok stacji Orlenu. – Muszę się napić.

Rozdział siedemnasty

Witold Niemcewicz, ubrany w stylowy szlafrok, siedział w domowym gabinecie i zbierał myśli po kolejnym liście, którego po raz kolejny nie dokończył i który zgnieciony w kulę, poniewierał się teraz pod biurkiem. Już pięć takich papierowych pigułek cisnął dziś na podłogę.

Szóstego listu nie miał nawet siły rozpocząć, więc odsunął teczkę z papeterią, odłożył pióro ze złotą stalówką i wyjął z szuflady skrawek flaneli. Zaczął nią polerować przedmiot tak zniewalająco ładny, że swego czasu przeniósł go z głównego salonu w swoje zacisze, gdzie przebywał częściej, więc dłużej mógł mieć go na oku i pod ręką – jak ukochanego psa lub kota. Te przenosiny odbyły się też z korzyścią dla rozmów, jakie odbywał w salonie z tymi nielicznymi gośćmi, których przyjmował jeszcze w swym wilanowskim apartamencie. Bo choć przybyłych nieodmiennie intrygował wielki plaster drzewa mamutowego na ścianie, dziwny czarny minerał na podłodze czy pstrokatość gąbłoty z motylami, to jednak tym, co najbardziej pochłaniało ich uwagę – nawet tych, którzy gościli u Niemcewicza po raz kolejny – był niespełna metrowej długości eksponat ustawiony na szklanym postumencie, nie opodal sofy, i zmyślnie podświetlony dwoma krzyżującymi się snopami światła, z których jeden strzelał z podłogi, a drugi spadał z sufitu.

Zwłaszcza mężczyźni nie mogli się skupić na rozmowie, raz po raz zerkając na cacko zmaistrowane z trzech gatunków drewna, stali szlachetnej, szkła mineralnego i skóry w kolorze białym. Niemcewicz uwielbiał ten ich chłopacki zachwyty, ten dziecięcy wyraz oczu, które wychodziły z orbit, jakby znów mieli po dwanaście lat. Po tych spojrzeniach mógł się domyślić, który z nich wychował się w niedostatku, jaki, oprócz niedoboru kalorii, cechuje się także deficytem zabawek i stałą, dręczącą zazdrością, że koledzy mają ich więcej i lepsze. A teraz, po latach, natykali się nagle na zabawkę, za którą w swej młodości gotowi byliby zabić nawet najlepszego kumpla, lecz częściej własnych rodziców – za to, że ich na nią nie stać. A nie byłoby ich stać na pewno.

Zabawką tą była, wykonana własnoręcznie przez Niemcewicza, wierna replika drewnianej łodzi motorowej Riva Tritone Super, produkowanej we Włoszech przez firmę rodziny Riva na początku lat 60. i uważanej przez znawców za jedną z najpiękniejszych na świecie. „Taki pływający Rolls Royce – tłumaczył Niemcewicz swym gościom, z których wielu było snobami. – Na dodatek limitowany, bo Rive produkowano tylko przez trzy lata. Jest ich na świecie zaledwie dwadzieścia jeden”.

A jeśli Niemcewicz był z gościem zaprzyjaźniony lub po prostu mu ufał, dorzucał

też czasem mimochodem, że historia rodziny Riva, której nazwisko stało się dla arystokracji i bogaczy całego świata synonimem luksusu, zamożności, elegancji i perfekcji, była impulsem, jaki sprawił, że i on zajął się produkcją jachtów. Gdy gość unosił brwi, dając do zrozumienia, że chce słuchać dalej, dostawał syntetyczny wykład na temat legendy rodziny Riva i jej równie legendarnych jachtów.

Lecz tylko nielicznym dane było usłyszeć, że model Riva Tritone Super 63, nad którego stworzeniem Niemcewicz mozolił się, dzień w dzień, przez siedem miesięcy, był także jego osobistą pokutą. Kuracją duchową i cielesną, jaką sobie narzucił, i która nauczyła go cierpliwości, pokory, milczenia i wytrwałości. A palce obu rąk na powrót odzyskały sprawność, jaką utraciły po tym, gdy młotek trzymany przez gangstera z Wołomina pogruchotał w nich wszystkie kości, kostki, kosteczki i paznokcie. Przy okazji Niemcewicz uwolnił się od palenia, obżarstwa, opilstwa i kompulsywnego seksu. Dużo zawdzięczał tej łódce.

Teraz przecierał model szmatką, ale więcej w tym było pieczyoty niż konieczności; łódka była wolna od jakiegokolwiek brudu i błyszczała jak szykowny mebel z pałacu dla lalek. Gadżet Jamesa Bonda. Zabawka, która być może uratowała Niemcewiczowi życie. A na pewno je naprawiła.

Gdy sponiewierany psychicznie i zdrowotnie (wołomińscy połamali mu też trzy zębra, nos i nogę), kurował się w szpitalu, natrafił w stercie gazet, jakie przynosił mu codziennie wierny Andruszkiewicz, na miesięcznik o jachtach, a w nim na rozmowę z pewnym Anglikiem, który znalazłszy niszę na rynku, postawił w niej zakład szkatuńczy w wersji mini. Człowiek ten założył, że milionerzy, którzy kupują sobie produkowane w krótkich seriach luksusowe łodzie znanych firm, chcieliby także posiadać modele swych statków, aby móc je eksponować w gabinetach, salonach, na biurkach, okapach kominków – tak jak się demonstruje zdjęcie własnego dziecka w todzie i bircie prestiżowego collage’u. Niestety, stocznie dysponowały wyłącznie jedynym modelem prototypowym, którego nie zamierzały się pozbywać. Anglik, wiedząc o tym, uruchomił ręczną produkcję luksusowych modeli w wysokim standardzie i dość szybko zyskał sławę oraz pieniądze.

Przewracając kartki zębami, gdyż dłonie miał w gipsie, Niemcewicz przeczytał artykuł, przejrzał fotografie perfekcyjnie dopieszczonych replik, po czym postanowił, że gdy tylko wyjdzie ze szpitala, zajmie się właśnie czymś takim. Nie żeby w polskich warunkach panował szczególny popyt na modele jachtów. Aby mieć chrapkę na miniaturę luksusu, trzeba posiadać jego duży oryginał, a na to stać było w kraju może kilkaset osób. Przy czym stać, nie znaczy od razu chcieć. Witold Niemcewicz postanowił robić modele na rynki Europy.

Do sprawy podszedł metodycznie i na przekór swojej biznesowej brawurze, która tyle razy wynosiła go do sukcesu, by ostatecznie wpędzić w kłopoty. Umówił się sam ze sobą, że dopóty nie rozpocznie produkcji, dopóki sam, własnoręcznie, nie wykona

modelu, który spełniałby jego oczekiwania. Wybrał legendarną Rivę Tritone Super, bo łódź urzekła go swoim konserwatywnym pięknem zaklętym w aerodynamicznej formie. Była jak dorodny tuńczyk z chromowanymi płetwami – obła, błyszcząca, silna, pewna siebie i porywająca.

Jeden z garaży swej ówczesnej willi w Konstancinie kazał przerobić na warsztat, po czym wziął na przyzwoitą pensję emerytowanego kierownika modelarni Muzeum Techniki w Warszawie, który z samego tylko szczęścia, że jego życie znów nabrało sensu, wcielił się w rolę nauczyciela – tyleż wymagającego, co doskonałego.

Wacław Cieśla nauczył Niemcewicza piłować, strugać, skrawać, szlifować, heblować, gładzić, toczyć w drewnie i metalu, wiercić, wkręcać, wyrzynać. Cierpliwie objaśniał, jak trzymać knypel, jak uderzać nim w dłuto, aby wydłubać otwór, a jak, żeby otrzymać gniazdo lub wręb. Pokazał mu, jak bejcować, aby uzyskać równomierne zabarwienie, i wyjaśnił, dlaczego zamiast pędzla, lepiej użyć do tego tamponu z gazy wypełnionej skrawkiem starego bawełnianego podkoszulka, koniecznie białego. Wytłumaczył, jak przechowywać obłogi i forniry, aby się nie odkształcały i nie falowały. Zdradził, jak olejować, aby najpełniej wydobyć fakturę drewna.

Pozwalał swemu uczniowi irytować się, wrzeszczeć, kaleczyć drewno i marnować je, rzucać kolejnymi spartaczonymi prototypami o ścianę, załamywać się. Po czym łypiąc mądrym okiem spod kosmatej brwi, zarządzał: „ Na dziś wystarczy. Nie od razu Rzym zbudowano, jutro pójdzie lepiej.” I rzeczywiście, na drugi dzień wychodziło Niemcewiczowi dużo lepiej.

Ta ciesiółka z Cieślą była dla jego palców większym dobrodziejstwem niż specjalistyczna rehabilitacja w elitarnej przychodni. Stała się też ukojeniem dla duszy. Odstawił wódkę, kawę, tytoń, kokainę, leki na uspokojenie i kurwy. Wyłączył telefon. Zaczął jadać czarny chleb i biały ser, popijał wodą z cytryną. Wysypiał się. Gdy nie pracował w warsztacie, odbywał długie forsowne marsze, które go krzepiły i oczyszczały ze złych wspomnień i jeszcze gorszych pokus. Po niespełna siedmiu miesiącach model był gotowy.

To wtedy usiedli w trójkę – Niemcewicz, Andruszkiewicz i Cieśla – na ogrodowej ławie i podziwiali ustawioną na stole łódź. Model miał 90 centymetrów długości, 28 centymetrów szerokości i 25 centymetrów wysokości. Niemcewicz użył do jego wykonania trzech rodzajów drewna. Czerwonawa olcha poszła na poszycie kadłuba, jasny jawor posłużył do poszycia pokładu, a limba wysokogórska, która jest świetna w obróbce, bo ze względu na surowe alpejskie warunki ma mniejsze przyrosty, więc niezwykle gęste słoje, znakomicie nadała się na wzdłużniki burtowe i pokładowe oraz na niewidoczne dla oka belki montażowe.

Kadłub lśnił bezbarwnym lakierem, a wypolerowane miniaturowe okucia, kluza i knagi, przy których wykańczaniu Niemcewicz pozdzierał sobie skórę z palców,

błyszczały niczym biżuteria. Szyba ochronna kultowej motorówki zrobiona była ze szkła mineralnego, takiego samego, z jakiego wykonuje się szkiełka do zegarków, a kanapa w kokpicie obleczone została delikatną skórką białą jak śnieg. Nawet środek koła sterowego, będący jednocześnie klaksonem, ozdobiony został kropłą z bursztynu – niczym pierścionek lub kolczyk.

A do tego piękna i kunsztu dochodziła legenda wielopokoleniowej rodziny Riva, która była zaprzeczeniem biznesowego stylu, w jakim Niemcewicz funkcjonował i dobrze się miał od 1989 roku, a który – jak kiedyś wyznał w jednym z wywiadów prasowych – więcej miał wspólnego z chaosem niż z etosem. Ale innego stylu w uwolnionej nagle od komunizmu i przypominającej mrowisko Polsce nie było, jeśli nie liczyć odosobnionych piekarń, gdzie z ojca na syna przechodziło nie tylko konto w banku czy przepisy na zakwas, ale i zwyczaj wczesnego wstawania, szacunek do ciężkiej pracy oraz dbałość o klienta.

To dlatego tak bardzo zaimponowała mu historia o biednym skutniku Pietro Rivie, który w 1842 roku nad włoskim jeziorem Iseo naprawił łodzie rybaków zniszczone wielkim sztormem, stając się od tego czasu – jak zapisano 160 lat później w wydanych na najlepszym papierze materiałach promocyjnych firmy Riva Yacht – panem własnego losu. W tej historii było wszystko, czego tak bardzo brakowało uroczemu, ale przecież kundlowatemu kapitalizmowi polskiemu spod znaku bazaru i wypożyczalni kaset video. A czego z kolei biznes większego kalibru, ten w wydaniu agentalno-partyjnym, nie miał za grosz. Otóż był w niej mit.

Bo Pietro Riva miał syna o imieniu Ernesto, też skutnika, który rozbudował interes ojca. Ernesto spłodził Serafina i on także konstruował łodzie, zamieniając rodzinny biznes w kawałek prężnego przemysłu stocznioowego. A Carlo, który był prawnikiem ubogiego Pietro, nadał rodowemu nazwisku światowy szlif, czyniąc łodzie Riva przedmiotem pożądania najbogatszych ludzi globu.

Wtedy, na ławie ogrodowej, pierwszy z podziwu otrząsnął się Roman Andruszkiewicz:

– Zdolniacha z ciebie! – Grzmotnął przyjaciela w plecy.

– Tak, niezła łódka. – Pokiwał głową Wacław Cieśla i nie było w tym ani kurtuazji, ani prywaty.

Stary modelarz doskonale wiedział, że uczciwie zarobił na swoje sowite wynagrodzenie, bo w pół roku spod jego ręki wyszedł mistrz, jakiego nie udało mu się wykształcić przez całe swoje zawodowe życie.

– Tylko tak się zastanawiam, panie Witku, po co to panu? Pan przecież taki poważny człowiek.

– Nie rozumiem... – Niemcewicz spojrzał na starszego pana czujnie, spodziewając się ironii albo czegoś gorszego. Nie mylił się w swych przecuciach.

– Dlaczego chce pan robić zabaweczki dla bogaczy? – prychnął z pogardą stary mistrz.

– Bo taki był plan! Po to mi pan dawał lekcje przez ponad pół roku... Żebym robił zabaweczki dla bogaczy. – W ostatnim zdaniu przedrzeźnił starego.

Wacław Cieśla zaprzeczył głową, jakby chciał tym ruchem unieważnić ponad tysiąc treściwych godzin, jakie spędził razem z Niemcewiczem w jego warsztacie. Bardzo rzeczowym tonem powiedział:

– Poważny człowiek nie powinien żyć z produkcji zabawek.

– Nadal nie rozumiem!

– Po co robić miniatury dla milionerów, skoro może pan robić dla nich takie same łodzie, tylko w skali jeden do jeden?

Teraz, muskając model flanelą w swoim wypełnionym książkami gabinecie, Witold Niemcewicz przypomniał sobie tamtą rozmowę, od której jego życie zaczęło się na nowo, na dodatek nabrało sensu. Był wtedy dwa razy starszy od Pietro Rivy w chwili, gdy tamten zaczynał, lecz poczuł się zupełnie jak on, kiedy nad jeziorem Iseo stanął nieoczekiwanie przed wyzwaniem, które „uczyniło go panem swego losu”. Już na drugi dzień pojechali z Wacławem Cieśłą na Mazury, żeby poszukać odpowiedniego miejsca na stocznię jachtową.

Za dwa tygodnie zastawił w banku wszystko, co miał, łącznie z konstancińską willą, i do otrzymanego kredytu dorzucił to, co mu zostało po zaspokojeniu wołomińskich, a zostało niemało. Przeniósł się na Mazury i zamieszkał w pakamerze w stoczniowej stolarni. Za cztery miesiące zwodował pierwszy jacht motorowy i od razu sprzedał go z zyskiem.

Złożył flanelową szmatkę na cztery i sięgnął po szczoteczkę do zębów, którą zaczął szorować wypukły napis na burcie. Niedawno nadał łódce imię, które ułożył z niklowanych liter wielkości czcionki stosowanej w tytułach gazet. Brzmiało ono: Agnieszka.

Rozdział osiemnasty

– Agnieszka, patrz! – krzyknął Kielon i schowawszy głowę w ramionach, zaczął bić pięściami w worek, zmyślnie balansując tułowiem. Dłonie miał owinięte w brudny bandaż.

– Lewy! Prawy! Lewy! Prawy! – wykrzykiwał, choć jego gardło i tak przegrywało z odgłosem piekielnych uderzeń, jakie wyprowadzał całym ciałem na worek. Dum! Dum! Dum!

– Teraz ty! – Odsunął się od posklejanego plastrami worka. Po bokserku roztańczony, rozgrzany, bezlitosny. Niezawodny i dziki, takim go widziała.

Agnieszka wyprowadziła cios, prawy prosty. Potem lewy. I tak na przemian, coraz szybciej. Raz, drugi, trzeci, dziesiąty... Nabierała impetu, a każde jej uderzenie było mocniejsze od poprzedniego, choć i tak wszystkie razem nie tak dotkliwe jak jeden cios jej instruktora. Swego czasu Kielon chodził w wadze junior ciężkiej i miał przydomek Młot, wstawiany na plakatach między imię i nazwisko oraz malowniczo przeciągany przez wydzierających się przed walką spikerów, z których każdy nosił białą koszulę i miał pod szyją muchę. To naprawdę nie było łatwe: wykrzyzczyć zaledwie jednosylabowy wyraz tak, aby utrzymał się on nad głowami widzów przez co najmniej dziesięć sekund. Młooooooooooooottttt!!!!!!

Lecz gdy Młot zaczął pić, ćpać i zajął się z bandyterką, jego ksywa uległa z czasem degradacji i podmianie. Jednak mimo siedmioletniego ciągu narkotykowo-alkoholowego, przerwanej dwuletnią odsiadką, siła ciosu Młota, który w międzyczasie stał się Kielonem, spadła tylko nieznacznie, aby po rocznym odwyku w Monarze wrócić do dawnego poziomu. Tyle że pięściarz nie wrócił już na ring. Dostał robotę instruktora w podrzędnym klubie bokserkim urządzonym po spartańsku w pomieszczeniu po upadłej księgarni – w jednym z przejść podziemnych na Woli. Było dokładnie tak jak w Rocky „jedynce”: obskurne szafki z metalu, liszaje na suficie i wentylacja nie radząca sobie z nadmiarem agresywnego smrodu, lecz przynajmniej nie przyłazili tu szpanerzy z korpo.

Agnieszka uwielbiała i klub, i instruktora, do którego zwracała się przydomkiem z czasów dawnej świetności, co on potrafił docenić, poświęcając jej dużo więcej czasu i uwagi niż innym „laluniom”, jak żartobliwie i otwarcie oraz bez względu na płeć mawiał o tych, którzy na boks zapisywali się „dla zdrowia”, a nie po to, żeby skosztować prawdziwej walki.

– A ty dlaczego tu trafiłaś, laluniu? – zapytał ją kiedyś w saunie, gdzie spiekotą wyganiali z organizmu toksyny i zmęczenie, owinięci dokładnie ręcznikami, bo

Kielon zwracał uwagę na to, aby – jak mawiał – nie szczać tam, gdzie się jada.

– Dla konkretnego, Młot, dla konkretnego – odpowiedziała bez namysłu i zgodnie z prawdą.

Gdyż tak było w istocie. Tęskniła za konkretem, za emocją, za spełnieniem, których do końca nie potrafiły jej zapewnić ani zajęcia na uczelni, ani udzielanie się w organizacji. Ilekroć opowiadała komuś o swej pracy na uniwerku, tylekroć podkreślała, że jest to tylko forma dorobienia, a nie cel sam w sobie. Tytuł doktora, który dostała za pracę o manipulacjach politycznych, jakich dopuszczają się główne portale informacyjne w Polsce, nie dawał jej nic i nic nie oznaczał poza osobistą satysfakcją, która szybko zwietrzała. Mimo doktoratu, o etacie na uczelni mogła tylko pomarzyć. Stawka za godzinę ćwiczeń seminaryjnych była tak obelżywie niska, że Agnieszka wstydziła się zdradzać ją znajomym, a sami studenci okazali się tak rozczarowująco miały, że zajęcia z nimi nie dawały jej żadnej podniety.

Nie mniej rozczarowała ją kadra naukowa, napompowana własnym ego, rozhuśtana plotkami, prawie całkowicie pozbawiona poczucia humoru i nastawiona na konsumpcję euro-grantów, dojranych dzięki projektom, które nie służyły nikomu i niczemu, a już najmniej nauce.

Z kolei robota w Legal Heart, mimo patosu, etosu i transatlantyckiego zadęcia oraz stałej, choć skromnej pensji, ograniczała się głównie do sporządzania statystyk, sprawozdań i wygłaszania emocjonalnych referatów na konferencjach urządzanych z zbożnych celach w różnych miastach Europy. Trzy kwadransy horroru wzmocnionego multimedialną prezentacją, potem catering, zwiedzanie miasta, wieczorny drink lub dwa w mniej lub bardziej nudnym towarzystwie, czasem jakiś zbędny flirt, a o świcie pospólny jogging, który Europie zastąpił poranną modlitwę, po czym wyjazd na lotnisko. Tak wyglądała jej walka z dilerami ludzkich serc, jelit, nerek, skóry, wątrób, płuc czy rogówki.

Agnieszka jeździła też po krajowych szkołach, bibliotekach i świetlicach, wpędzając słuchaczy w trwogę przykładami zła, któremu nie tylko nie potrafiła zapobiec, ale z którym jako aktywistka nawet się osobiście nie zetknęła. Bo prawda była, jaka była. Nigdy nie zobaczyła na własne oczy trupa wypatroszonego dla pieniędzy i zszytego niestarannie grubym ścięciem. Nigdy nie włożyła palca w ranę powstałą po wyjęciu nerki lub śledziony. Nigdy nie rozmawiała nawet z wdową lub sierotą po dawcy, którego zamordowano i sprzedano na części.

Czasem dawała wywiad do gazety lub radia, bywała gościem telewizji śniadaniowych i ciągle czuła się jak oficer opowiadający o wojnie, na której nie spędził nawet minuty. Demonstracja przed warszawskim hotelem wymierzona w Chirurga była najpoważniejszą akcją bezpośrednią, jaką zorganizowała, być może dlatego – z nadmiaru zaangażowania – puściły jej nerwy i wylądowała w areszcie.

Po czterdziestym ciosie odsunęła się od worka, zrobiła przysiad, pamiętając, aby

stopy w całości przylegały do podłogi, dotknęła rękami taniej wykładziny, po czym skokiem wyciągnęła obie nogi w tył, przechodząc do pozycji „na deskę”. Zrobiła pompkę. Skokiem wróciła do przysiadu, wstała i podskoczyła, robiąc nad głową pajacyka. I tak dziesięć razy. Burpees, ulubiona zaprawa komandosów. Tortura dla ciała. Najlepsze ćwiczenie na świecie.

Po ostatnim pajacyku dziesięć głębokich oddechów i ponowne okładanie worka, tym razem czterdzieści naprzemiennych sierpów. Prawa. Lewa. Prawa. Lewa... Potem znów dziesięć burpees. I tak przez pięć serii. Następnie trzy rundy skakanki, każda po trzy minuty, a na koniec pompki do upadłego. Na pierwszym treningu, przed rokiem, zrobiła zaledwie pięć; teraz nie schodziła poniżej pięćdziesięciu. Co by nie mówić, to był przecież cholerny konkret.

Gdy skończyła, rozejrzała się za Kielonem. Był przy sąsiednim worku, gdzie dawał komuś lekcję kroków, ale niej zapomniał o niej. Uniósł kciuk w górę, ale za moment pokręcił głową.

– Dupsko masz trochę za ciężkie – zawołał. – W przyszłym miesiącu odstaw kardio i aeroby, a siłkę zastąp interwałem. – Odszedł od zawodnika i dał jej krótki wykład z fizjologii treningu: – Wysięk beztlenowy zmusi twój organizm do zregenerowania włókien i odbudowy zapasów glikogenu. A to pobudzi lipolizę. Szybciej schudniesz.

– A co to jest lipoliza? – spytała.

Podrapał się po głowie, lekko zakłopotany.

– Jak organizm wpierdala sam siebie.

Agnieszka uwielbiała ten slang, w którym język profesorów akademii wychowania fizycznego miksował się z knajackością szemranych gladiatorów. Tak, to był jakiś konkret. Jakże na dodatek malowniczy. Poza boksem Kielon nauczył ją podstaw krav magi, teraz już wiedziała, jak komuś złamać nogę, wyłupić oko, zmiażdżyć genitalia.

I chyba jeszcze przyszła tu dla wyładowania złości. Za dużo jej w sobie nosiła, od złości bolała ją dusza. Przy czym nigdy nie zamierzała cudzym bólem leczyć własnego. Ani razu, mimo namów Kielona, nie stanęła do prawdziwego pojedynku, czy to z kobietą, czy z mężczyzną. Co najwyżej sparing – w kasku i ochraniaczach i bardziej z markowaniem ciosów niż ich zadawaniem. Nawet okładając z całej siły worek, nie pozwalała sobie na fantazje, że oto bije kogoś, kogo zna i nie lubi. Choćby miał to być najbardziej nawet bezwzględny na świecie handlarz ludzkim towarem.

Po czasie zaboksowała swoją złość na śmierć. Pięściarstwo dało dużo lepszy efekt niż ćwiczenia na seminariach, jakie w egoistycznym celu rozładowania prywatnego gniewu wprowadziła swego czasu pod pozorem twórczego myślenia. Studenci mieli za zadanie opisywać ludzi, rzeczy, słowa i sytuacje, które wyprowadzają ich

z równowagi, wpędzają w furję, powodują nienawiść. I mieli się nie hamować, nawet językowo.

„Najbardziej mnie wkurwia, jak ktoś do mnie dzwoni po numer telefonu wspólnego znajomego. Nie wiem, dlaczego, ale dostaję wtedy szału”.

„Nienawidzę odgłosu pożeranego w kinie popcornu”.

„Długie pożegnania. Jak ktoś nie umie wyjść, tylko stoi w drzwiach i gada, gada, gada, choć dawno się już pożegnał”.

„Jak w strefie ciszy w pociągu ktoś pije wodę i mu głośno chodzi grdyka. Zabiłbym! I wszystkich tych, którzy chodzą wszędzie z małą butelką mineralnej”.

„Przestarzałe słowa wplatane do współczesnej mowy. Wszystkie te przedpotopowe: onegdaj, azaliż, drzewiej bywało, powinszować”.

„Nie cierpię słów INNOWACJE i APKA. I jeszcze słowa MOTYWACYJNY”.

„Jak ktoś chce na siłę mówić młodzieżowym slangiem i używa słów, które już dawno wyszły z użycia. Jak było na polaju? – usłyszałam ostatnio w serialu i natychmiast przestałam go oglądać”.

„Jak sprzedawca nie ma wydać reszty albo pyta o końcówkę. Jak to jest, że jak pracowałem w Londynie, to zawsze mieli wydać resztę, a u nas nigdy?”.

„Jak ludzie wrzucają na FB mapki z zaliczonego biegu z kaloriami i średnią prędkością”.

„Jak wrzucają na FB zdjęcia swoich posiłków”.

„Nienawidzę jebanych emitikonów!!!”.

„Biało-czerwonych wielkich cylindrów na meczach i kibicowskich szalików. Wieszałabym na nich tych, którzy je noszą”.

Ostatnie pięć minut treningu poświęciła na rozciąganie się, po czym poczłapała do sauny. Siedziały tam już dwie twardzielki, które do boksu przyszły nie „dla zdrowia”, lecz dla przygody, co było widać zarówno po ich obliczach jak i ciałach. Twarze jak twarze, ale ciała dziewczyn wpędzały Agnieszkę w kompleksy. Kiedyś podzieliła się z Dżonym obserwacją, że do boksu trafiają zazwyczaj dziewczyny o urodzie plebejskiej, podmiejskiej, których rysy stają się wskutek otrzymanych ciosów jeszcze bardziej pospolite, wręcz bandyckie, ale które od szyi w dół zamieniają się w boginie seksu, co jest skutkiem morderczych treningów. Podniecił się tak, że od razu zażądał seksu.

Z sauny wygnał ją wilczy głód. Zawsze tak miała po treningu. Pomyślała o pobliskim barze „Pierogi pani Hani”. Uwielbiała takie nieskomplikowane gastronomiczne klimaty i nie było w tym nic z pozerstwa hipsterów szukających oryginalności w banale. A raczej nostalgia za popołudniami, kiedy siedząc przy zasłanym ceratą stole, spoglądała niecierpliwie na parujący na kuchence gar, z którego

pani Halinka miała za chwilę zacząć wylawiać durszlakiem pierogi i obdzielać nimi po równo swojego syna oraz Agnieszkę, mówiąc za każdym razem: – I polejcie śmietaną. Ze śmietaną lepsze.

*

Nagryziony pierożek tkwił między dwoma pałeczkami i wyglądał jak zdobycz niesiona do gniazda przez ptaka o długim dziobie. Był nadziewany mielonym mięsem z kurczaka, siekaną krewetką i cukinią.

Jak zdobycz niesiona do gniazda... Asystent Chirurga lubił te swoje obrazowe skojarzenia, które tak często wpadały mu do głowy. W skrytości ducha zastanawiał się nawet, czy nie powinien ich sobie zapisywać. Ot, tak, dla zabawy, może urodzi się kiedyś z tego jakiś poemat albo opowiadanie. Gdyby nie był gangsterem, na pewno zostałby poetą, tylko czy wtedy stać by go było na jądanie w takich miejscach jak to?

Chiński pierożek został starannie utyłany w miseczce z sosem, po czym zniknął w ustach Chirurga, gdyż to jego dłoń trzymała pałeczki, które skojarzyły się asystentowi z ptasim dziobem. Dłoń wyrastała z mankietu sklamrowanego spinką w kształcie smoka. Nienaganna biel koszuli kontrastowała szykownie z czernią marynarki.

Asystent wzorem swego szefa też spożywał pierożki i też był elegancko ubrany. Wszystko wokół było eleganckie: kelnerzy, wystrój lokalu, goście przy innych stolikach. W tle buzowało to samo azjatyckie miasto co poprzednio, tyle że bezgłośnie, gdyż oddzielono je od jedzących dźwiękoszczelną szybą i kurtyną powietrzną, która opuszczała się miłym chłodem ze szczelin w suficie.

Chirurg nie lubił rozmawiać o interesach z pustym żołądkiem, więc asystent czekał, aż jego szef zaspokoi pierwszy głód. Uznał, że nastąpiło to wraz z połknięciem czwartego pierożka i dopiero wtedy odezwał się:

– Trzy bilety. Business class. Lot pojutrze wieczorem.

Trzy równoważniki zdań i cztery nowe zera na koncie. Asystent doceniał hojność szefa, zwłaszcza gdy miał pewność, iż sumiennie sobie na nią zasłużył.

– A jak się miewa nasz pacjent? – zapytał od niechcienia Chirurg.

– Nie dowiadywałem się o jego zdrowie. – Asystent miał zakłopotaną minę. Jakby wystraszył się nagle, że o coś nie dopytał, że czegoś nie dopatrzył. – Ja z nim właściwie nie rozmawiam. Tylko z lekarzem z kliniki, gdzie dojdzie do przeszczepu.

– Nie o Polaka pytałem.

– A, ten... – Asystent uśmiechnął się z ulgą. – Przebadany, odkarmiony. Ci z Falung Gong najzdrowsi na świecie. Gimnastyka, oddychanie, medytacje. Nie mógł trafić lepiej ten... – Asystent wypowiedział nazwisko Niemcewicz tak komicznie i z takim trudem, że obaj zachichotali jak chłopcy, po czym włożyli sobie do ust po

pierozku.

– Tylko pamiętaj, jak z jajkiem z nim – odezwał się Chirurg, gdy pogryźli i przełknęli. – Zastrzyk zrób dopiero na lotnisku. Co mu podasz?

Asystent wymienił nazwę substancji chemicznej, a Chirurg skinął z uznaniem głową.

– Powinno go trzymać aż do Polski. Tylko nie przedawkuj.

Asystent przymknął oczy i uśmiechnął się nieznacznie jak ktoś, kto robił podobne rzeczy wiele razy, na dodatek z przyjemnością.

– Papiery ma wiarygodne?

– Bardziej wiarygodne niż ambasador Chin w Polsce.

Chirurg nagroził żart uśmiechem i zamyślił się na moment, jakby wzmianka o ambasadorze przywołała jakieś zabawne osobiste wspomnienie, którym nawet chyba chciał się podzielić, aby, machnąwszy w końcu ręką, wydać polecenie:

– I żeby on jakoś przyzwoicie wyglądał w podróży.

– Będzie jak Jackie Chan – zapewnił asystent i znów doczekał się uśmiechu szefa. Nazwisko aktora wymienił zresztą z premedytacją, bo wiedział, że Chirurg jest wielkim jego miłośnikiem.

Dokonawszy ustaleń, mogli w spokoju dokończyć swoje pierożki.

*

Pierogi zniknęły z talerza w oka mgnieniu, choć były duże, ciężkie i syte, bo solidnie napakowane mięsem, a do tego dosycone tłuszczem i cebulą z patelni. Agnieszka rozejrzała się po barze jak najedzony pies, który unosi łeb znad miski dopiero wtedy, gdy jest już pusta i wylizana. Po prawej sztywna emerytka zabierała się z fasonem do ruskich, po lewej zwalisty facet dokończył misę jagodowych. Fioletowa obwódka wokół jego ust powodowała wrażenie, jakby całował się z kałamarnicą. W radiu spiker kaleczył rozum i polszczyznę, gaworząc coś o „piąteczku, który powoli, powolusiu zamienia się w piątunio”. Potem gruchnęło muzyczne rozwolnienie. Zrobiło się swojsko, chciało się żyć.

Agnieszka postanowiła posiedzieć jeszcze w barze i trochę popracować.

Mimo że w Legal Heart brakowało jej wyrazistych podniet, praca w organizacji miała tę zaletę, że można ją było wykonywać z każdego miejsca. Wystarczyło mieć laptop albo telefon. Pewnego dnia uświadomiła sobie, że na określenie tego, czym zajmuje się w fundacji, nigdy nie użyła słowa „praca”. Zawsze była to „działalność” względnie „aktywność”, choć tego ostatniego słowa raczej unikała, gdyż kojarzyło jej się z aktywistą, a ten z nawiedzonym maniakiem, co nie było dalekie od prawdy, zwłaszcza w Warszawie. Często za to używała dosadnego terminu „roboty”. „Kochaj to, co robisz, a nigdy nie będziesz musiał chodzić do pracy” – przypomniało jej się

hasło zasłyszane na mityngu Dorosłych Dzieci Rozwodników i wzdrygnęła się z odrazą.

Zamówiła kawę, wyjęła z plecaka laptop, po czym weszła do służbowej skrzynki mailowej. Kilka zdawkowych powiadomień, jedna prośba o wywiad, zapytanie o płatność za ulotki od agencji reklamowej z dołączonym skanem faktury i sporo spamu.

Gdy zalogowała się do bankowej strony fundacji, aby uregulować należność, przypomniała sobie o pieniądzach za scenariusz filmu. Przyzwyczała się już do nich i uważała, że ktokolwiek je podarował i w jakimkolwiek zrobił to celu, należało mu się poważne potraktowanie. Dlatego, gdyby się nagle ujawnił i zapytał o stan prac, nie mógłby mieć pretensji: miała już treatment, drabinkę oraz trzydzieści kilka scen rozpisanych na pięćdziesięciu stronach. Ku zdumieniu Dżonego i wbrew jego docinkom, postanowiła dokończyć scenariusz choćby po to, aby móc bez skrupułów skorzystać z podarowanych jej pieniędzy.

Najechała kursorem na plik „Serce nr 62”, kliknęła i czekając na otwarcie się tekstu, wsypała do kawy pięć torebek cukru. Zamieszała, wzięła solidny łyk i pochyliła się nad klawiaturą.

Gdy po trzydziestu minutach sięgnęła po zimną już resztówkę kawy, mruknęła do siebie z zadowoleniem:

– Dobra dziewczynka, dobra...

Najpierw twardy trening, teraz kolejna scena filmu, a w żołądku solidna porcja białka i węglowodanów – niedorzeczność bytu na jakiś czas została okiełznana. Agnieszka rozejrzała się po barze – nie było już w nim nikogo – po czym raz jeszcze przeczytała scenę, którą wymyśliła:

SERCE NR 62

WNĘTRZE. CELA W OBOZIE PRACY – NOC

OSADZENI leżą na swoich pryczach. Ledwo ich widać w ciemnościach, z lekka tylko rozjaśnionych światłem z korytarza, które wąską smugą wpada przez kratkę nad drzwiami. Słychać CHRAPANIE zmęczonych ludzi.

Nagle drzwi otwierają się z HUKIEM. Rozbłysk światła. Na pryczach poruszenie. Tylko Więzień nr 62 siedzi na swoim legowisku w pozycji kwiatu lotosu i medytuje.

W drzwiach staje Chytry Strażnik. Na wyciągniętych rękach niesie złożone w kostkę ubranie. Na samej górze szykowną czernią połyskują buty typu Oxford. Ostrożnie składa odzież na taborecie przy pryczy Więźnia nr 62. Wychodzi, ale bez gaszenia światła.

Osadzeni wychylają się ciekawsko ze swoich posłań. Więzień nr 62 zdejmuje najpierw buty i ogląda je ciekawie. Z jednego wyjmuje tubę pianki do golenia, z drugiego jednorazową golarkę i buteleczkę wody kolońskiej. Odkręca korek, wacha. Przemyka oczy: dawno nie zaznany zapach luksusu.

Więzień nr 62 rozkłada kostkę z ubraniem. Jest tu biała koszula, gustowny krawat, jasne spodnie z kantem i czarna marynarka. Do tego biały podkoszulek na ramiączkach, czarne bawełniane skarpety i białe slipki.

Zwłaszcza te ostatnie budzą ciekawość mężczyzny. Rozciąga je i ogląda jak ktoś, kto nigdy nie widział męskiej bielizny. Potem toczy pytającym wzrokiem po celi, jakby chciał otrzymać odpowiedź na pytanie: Co to ma oznaczać? Osadzeni uciekają ze wzrokiem.

Smartfon zagulgotał przyjemnym sygnałem dokładnie w chwili, w której zamknęła laptop. Jakby był inteligentnym stworzeniem, które specjalnie poczekało na stosowny moment, nie chcąc przeszkadzać w lekturze. To był dźwięk przypominacza w kalendarzu.

Gdy odczytała notatkę, która wskoczyła na ekran, wpadła w popłoch i zaczęła się zbierać. „Sucz ze mnie, a nie córka – pomyślała, wybiegając z baru. – O takich sprawach nie powinien mi przypominać telefon!”.

Rozdział dziewiętnasty

Agnieszka z coraz większym niepokojem kroczyła cmentarną aleją, bezskutecznie wypatrując charakterystycznego krzyża imitującego brzozę. Tyle już razy chciała zamienić tę metalową tanioczę na solidny krzyż z dębu z ładną mosiężną tablicą i wyszperaną w Internecie figurką Jezusa wzorowaną na słynnym „Chrystusie na krzyżu” Goi. Lecz jak to często bywa z przyrzeczeniami, jakie składamy nieżyjącym, na ich ziemskie spełnienie muszą oni czekać w czyścicu dłużej niż na swoje miejsce w niebie. A teraz krzyż zniknął, jakby już miał dość sam siebie.

Co gorsza, nie potrafiła też odnaleźć grobu, przypominającego inspekt, bo ujętego w drewnianą ramę, najskromniejszego i jedyne go niemuirowanego w długim rzędzie mniej lub bardziej udanych form z marmuru i granitu. Kiedyś, gdy była młodsza i bardziej sentymentalna, sadiła na grobie bratki, ale kwiaty wymagały pielęgnacji, zbyt łatwo poddawały się chwastom, i kiedy po dłuższej nieobecności zastawała w miejscu grobu kępę zmierzwionego buszu, odczuwała wstyd i gniew na samą siebie. Więc wypaliła grób roundup'em, wyścieliła ramę folią i zasypała ją białym żwirem.

Przystanęła. Jej palec błądził w powietrzu, nie mogąc znaleźć właściwego celu do wskazania. Już trzykrotnie przemierzyła tę samą drogę, za każdym razem coraz szybciej, i przez chwilę pomyślała, że musiała pomylić aleje. Ale przecież rozpoznawała znajome nagrobki i znajome nazwiska nieznanym zmarłym. Przez dwadzieścia lat wbiły się w pamięć niczym nazwy ulic, o patronach których też na ogół nie wiadomo, kim byli.

Zdezorientowana, zdenerwowana, przypominała młode, które się zgubiło i szuka teraz matki. W jakimś sensie było to prawdą. Gdzie się, podział grób, do kurwy nędzy?!

Jedną ręką przytulała do biodra donicę z fioletowym wrzosem, w drugiej niosła okazały fioletowy znicz. Fiolet – ten kolor dominował w domu, gdy ich dom jeszcze nim był. Fioletowe zasłony, fioletowe ręczniki, fioletowe świeczki, fioletowy wazon na stole...

W budzie z kwiatami sprzedawca wręczył jej ulotkę z intrygującym hasłem „Wybierz, jakim drzewem chcesz zostać po śmierci. Zamieniamy prochy w drzewa pamięci”. Jakaś firma pogrzebowa oferowała biodegradowalne urny z łupin kokosa i torfu z umieszczonym w środku nasionem. Urnę z prochami zmarłego zakopuje się w ziemi i czeka, aż wyrośnie z niej drzewo. Agnieszka przeczytała ulotkę z rozbawieniem, roiło się w niej od ekologicznych frazesów o zielonych grobach,

zamienianiu cmentarzy w lasy i tym podobnych bzdur.

– New age wkroczył w wasz biznes – zażartowała w stronę sprzedawcy, ale on nie zrozumiał zaczepki.

– Chciałby pan zasadzić bliskiego, zamiast go pochować? Jak śliwę na działce? I żeby go potem psy obsikiwały? – bawiła się nim nadal.

Facet spojrział na nią tak, jakby chciał uderzyć, więc przybrała minę „ale jestem głupia” i stąpając aktorsko na palcach oraz przesadnie udając strach, wyszła z kwaciarni. Ulotkę wcisnęła do kieszeni z zamiarem pokazania Dżonemu, a może i wykorzystania w zajęciach ze studentami. Mogliby w ramach warsztatów reporterskich podpytać właściciela biznesu, kto chce po śmierci zostać drzewem i jakim. Czy ktoś na przykład chciałby zostać lipą? Bo dębem to pewnie co drugi. A brzozą?

Ale teraz nie było jej już do śmiechu. Gdzie jest grób matki?! Przypomniał jej się list z zarządu cmentarza, porzucony na komodzie w przedpokoju i totalnie zignorowany, podobnie jak wiele innych przypomnień, upomnień i wezwań. Było w nim coś o tym, że groby, za które nie została wniesiona opłata, mogą „być wykorzystane do nowych pochowań”, przez co istniejące ulegną likwidacji. „Pochowań” – to słowo nie umknęło ich uwadze i použíwali sobie trochę z Dżonym na współczesnej polszczyźnie, pełnej pokracznych konstrukcji. To zapewne przez tę alergię na kaleczenie języka Agnieszka nie wniosła opłaty. Czy za karę córka miała się teraz dowiedzieć, że zaorano grób matki?! Akurat dziś, w dwudziestą rocznicę śmierci?

Kucnęła przy żywopłocie z bukszpanu i schowała między krzakami donicę oraz znicz, po czym pobiegła w stronę bramy. Wpatrując się w krzyż na szczycie kościoła św. Ignacego Loyoli, modliła się, wypełniona przerażeniem, aby jej podejrzenie okazało się nieprawdą.

Po pięciu minutach odetchnęła z ulgą. Był to jeden z najgłębszych oddechów, jakie wzięła w życiu.

– Nie likwidowaliśmy ostatnio żadnych grobów – oświadczył kierownik kancelarii cmentarza. – A która to aleja? – spytał, wciskając klawisz laptopa i odwracając go w stronę Agnieszki. Na ekranie wykwitła wielka mapa cmentarza.

Po chwili wahania Agnieszka dotknęła palcem ekranu: – Gdzieś tu. Chyba...

– U nas nie ma c h y b a, proszę pani – zdenerwował się kierownik. – To jest Cmentarz Komunalny Północny. Jeden z największych w Europie. Sto pięćdziesiąt hektarów. Osiemset kwater. Dwieście kilometrów dróg i alejek. Sto pięćdziesiąt tysięcy grobów. Dziesięć tysięcy spopieleń. Roczny wzrost kremacji o trzydzieści procent... – Brzmiało to jak przechwałki menadżera, który oprowadza wycieczkę Japończyków po parku naukowo-technologicznym. – Dlatego u nas nie ma c h y b a,

proszę pani...

Odwrócił laptop w swoją stronę, uniósł dłonie jak pianista, czekający na znak od dyrygenta i zapytał: – Nazwisko osoby pochowanej? Data zgonu?

Podyktowała, a on wbił się palcami w klawiaturę. Wcisnął „enter”, spojrział na ekran i pokręcił głową w wyrazie dezaprobaty dla bezmiaru ludzkiej ignorancji.

– Oczywiście, że grób istnieje. Nieopłacony... – posłał Agnieszce wymowne spojrzenie. – Ale istnieje. Jak mogła pani przeoczyć?

– Nie mam pojęcia, jak. Jest tam, gdzie był?

– A gdzie ma być? Grób to nie jest wóz Drzymały.

– To dlaczego go nie zauważyłam? Przychodzę tu od dwudziestu lat.

Kierownik popatrzył na nią jak jubiler, któremu ktoś próbuje sprzedać oszlifowany okruch butelki po piwie, wmawiając, że to szmaragd.

– Może matkę trzeba odwiedzać... – Nie dokończył, jakby ugryzł się w język. Przekręcił tułów w stronę zaplecza i zawołał:

– Franeeek! Idź z panią. Grób trzeba wskazać.

Za dziesięć minut Franek dopowiedział to, czego nie chciał powiedzieć jego szef:

– Może matkę trzeba odwiedzać częściej, to by pani zapamiętała, gdzie leży.

Co wysyczawszy jadownicę, odszedł przepełniony pogardą, zostawiając Agnieszkę z poczuciem winy ciężkim jak głąz.

Wszystko się zgadzało i było jak dawniej, miejsce spoczynku i napis: „Teresa Wyrwał. Urodzona 14 kwietnia 1962 roku. Zmarła 18 września 1998 roku. Przeżywszy lat 36. R.I.P.”.

Tylko grób był już inny. W miejscu bieda-skrzynki z krzyżem z udawanej brzozy leżał teraz idealnie wyszlifowany, ascetyczny prostopadłociąg z czarnego granitu, który przywodził na myśl raczej kasetę na naszyjnik z diamentów lub na szykowne wieczne pióro niż grób. Proste litery miały kolor starego złota, a krzyż, wpisujący się w kolorystykę i powściągliwość nagrobka, leżał na nim, zamiast stać.

To dlatego Agnieszka nie mogła odnaleźć grobu matki, mimo że przechodziła koło niego trzy razy. Wstrzemięźliwy w formie, był tak bardzo inny od tego, do czego przyzwyczajone było jej oko, że aż go nie zauważyła. Na dodatek, żeby odczytać napis nagrobny, trzeba było podejść całkiem blisko. Pomnik musiał kosztować majątek. Kto go zafundował jej matce?

Wyjęła spomiędzy krzewów bukszpanu ukrytą tam donicę i lampkę. Fiolet wrzосу i znicza znakomicie skomponował się z lśniąca czernią nagrobka. Płomyk migotał za szybką, a Agnieszka odmawiała „wieczny odpoczynek”. Czyniła to jednak pobieżnie, zdawkowo, bez wczuwania się w słowa i sens modlitewnej prośby. Wciąż powracały do niej pytania: kto, dlaczego i za ile wystawił jej matce taki luksusowy nagrobek?

U podstawy płyty dostrzegła dyskretną tabliczkę znamionową z nazwą i telefonem

zakładu kamieniarskiego. Miała zamiar pomedytować jeszcze przy grobie, ale nie dało się – sięgnęła po telefon.

Zakład znajdował się tuż przy cmentarzu, a obsługa, sprawdzwszy na podstawie dowodu osobistego, że ma do czynienia z córką zmarłej, nie robiła ceregieli z podaniem nazwiska osoby, która zamówiła nagrobek, i ceny, jaką za niego zapłacono.

– Usługę zamówił pan Grzegorz Kochaniewicz. – Młoda pracownica biura, która odczytywała te słowa z komputera, miała długie tipsy polakierowane na czarno i była wystylizowana na Gotkę; Agnieszka zastanawiał się przez moment, czy nie jest to aby element dress codu obowiązującego w firmie, a jeśli tak, to kto podpowiedział jej szefowi taki idiotyzm. – Zapłacił przelewem. Razem czterdzieści osiem tysięcy złotych. To ktoś z pani rodziny?

– Syn kobiety, która opiekowała się mną po śmierci mamy – odpowiedziała Agnieszka i kiwnęła głową z uznaniem: – Czterdzieści osiem tysięcy... Kupa kasy.

– Tak – zgodziła się Gotka, odrywając wzrok od ekranu. – Najdroższy kamień, najlepszy szlif. To cena za dwa nagrobki.

– Za dwa? A dla kogo ten drugi?

Gotka znów zajrzała w komputer.

– Zielony marmur. Złote litery. Wazon rozmiaru iks-el. Halina Kochaniewicz. To chyba matka tego pana.

– Pani Halinka nie żyje?! – Agnieszka wykrzyczała te słowa prawie z pretensją, ale Gotka nie wyglądała na poruszoną. Branża pogrzebowa uodparnia, poza tym miała dla Agnieszki dobrą wiadomość:

– Żyje, bo na płycie kazano wyryć tylko datę urodzin. Niektórzy ludzie stawiają sobie nagrobki za życia. Mamy nawet na to specjalne zniżki.

Rozdział dwudziesty

Siedziba centrali Legal Heart w Nowym Jorku nie miała nic wspólnego ze sztampą, z jaką podobne miejsca pokazywane bywają na filmach lub w gatunkowych powieściach. W tej scenografii nie było open space'u zastawionego biurkami, przy których siedzą zaaferowani młodzi ludzie, będący żywą ilustracją kampanii reklamowej marki United Colors of Benetton.

Nie było tu zatem ani mikroskopijnego schludnego Azjaty z ołówkiem za uchem, ani posągowej mulatki z afro na głowie, ani lodowatego blondyna w nordyckim typie, ani wszędobylskiej Latynoski o biodrach szerszych niż ramiona, ani bladego okularnika na wózku inwalidzkim, któremu przypadła rola genialnego stratega. Próżno by też wypatrywać obowiązkowego w takich okolicznościach komputerowego geeka, którego cielesność, lekko zapuszczona wskutek nadmiernego spożycia węglowodanów i cukru, była odwrotnie proporcjonalna do informatycznego geniuszu.

Pod ścianami nie piętrzyły się nigdy-nie-rozpakowane kartony z ulotkami, a samych ścian nie ozdabiały rewolucyjne plakaty z Che lub łodygą marihuany na tle jamajskiej flagi, ani ręcznie wypisane maksymy, będące cytatami z książki jakiegoś postępowego guru i mające motywować do działania lub refleksji. Nie było tu tablic z korka z przypiętymi do nich karteczkami-sklerotkami oraz zdjęciami z wyjazdów do krajów Trzeciego Świata, ani oldskulowych monitorów z tyłkiem, mających zaświadczać o poczciwości i cnocie ubóstwa. Nie było trójnogów z planszami, na których zapisano pisakiem „strategiczne cele i środki działania”, ani tarczy z rzutkami, ani kubków z melisą, ani opakowań po pizzy, ani w końcu starego faksu w kącie, przy którym wszyscy spotykają się na plotach.

Nikt nie przybijał tu sobie piątek ani żółwików, a szef wcale nie przypominał kogoś w rodzaju wypielegnowanego i wyluzowanego Steve'a Jobsa w czarnym golfie. Jeżeli już trzeba by go było koniecznie do kogoś porównać, to może do Świadka Jehowy, który w białej koszuli z krótkim rękawem i w czarnych spodniach z dzianiny z niemodną zaszewką i jeszcze bardziej niemodną sprzączką od paska, wyruszył głosić dobrą nowinę z sumiennością osoby powołanej przez samą Służbę Królestwa.

Również siedziba centrali LH bardziej przypominała zbór, tyle że podzielony prowizorycznie na boksy, których asceza, wydestylowana do czystego praktycyzmu, kojarzyła się z call center lub działem księgowości firmy ubezpieczeniowej. Żadnych ozdób, żadnej pstrokacizny, żadnej muzyki, żadnych pretensji do czegokolwiek, co przeszkadzałoby w pracy. Chłód lodówki i skromność klasztornej celi. Nikt nie pozwoliłby tu sobie na wieszanie na ścianie jamajskiej flagi, a tym bardziej podobizny

kubańskiego zbrodniarza. No chyba, że byłyby to list gończy.

Nawet wielki płaski telewizor zawieszony pod sufitem włączano tylko wtedy, gdy zachodziła pilna potrzeba (zamach, katastrofa, ekstradycja, wybory), a o tym, że zachodziła, pracownicy dowiadywali się z sieci, w której tkwili za pośrednictwem najnowocześniejszych i najbardziej wydajnych komputerów.

Tom Wildstein nie był jehowitą. Był ochrzczonym Żydem, który nie tylko do katolicyzmu, ale do wszelkich religii podchodził z dystansem, jaki wynikał nie tyle z przemyśleń i lektur, co z braku wrażliwości na sprawy pozazmysłowe i na wszystko, co wymyka się ludzkiemu doświadczeniu. Jeśli Bóg do mnie kiedyś przemówi, chętnie go posłucham, mawiał, odginając sobie śmiesznie uszy palcami, jakby chciał z nich zrobić osobiste radary. Był za to wrażliwy na ludzką krzywdę, ale nie tak, jak wyczuleni bywają duchowni lub bajecznie bogaci gwiazdorzycy rocka. To było raczej uczulenie szeryfa. Uważał, że krzywda bierze się z chciwości i podłości, a te są domeną ludzi złych i zepsutych, których należy ścigać z całą stanowczością przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i na całym świecie. A pojmawszy, srogo ukarać. Ząb zaraża się od zęba, zwykł mawiać na ten swój amerykańsko-filmowy sposób, który polega na tym, żeby w co czwarte zdanie wstawić przysłowie, najlepiej wymyślone przez siebie samego.

Tom nie miał wielu przyjaciół wśród swoich pobratymców. Głosował na republikanów, nie cierpiał New York Timesa i nosił się nie jak jajogłowy humanista z Manhattanu, lecz jak komandos, który dopiero co przeszedł na emeryturę: fryzura na jeża, idealnie ogolona twarz, opalenizna, muskulatura. Na dodatek donatorami i organizatorami fundacji byli chrześcijańscy biali ortodoksi z Teksasu, którzy również uwielbiali mówić przysłowiami i byli jeszcze bogatsi od bajecznie bogatych gwiazdorzycy rocka, lecz nie tak jak oni egzaltowani. Światową sieć współpracowników Legal Heart Tom zbudował w pięć lat – z uporem i konsekwencją przedstawiciela handlowego agresywnej korporacji.

Wybierał ludzi na swoje podobieństwo: stanowczych i wrażliwych, ale wrażliwych na sposób gniewny. Bardziej egzekutorów niż mediatorów, bardziej aktywistów niż intelektualistów. Punisherów i hunterów, a nie thinkerów, jak podkreślał. W Europie fundacja miała osiem przedstawicielstw, w Azji czternaście, w Afryce dziesięć, a w Ameryce Północnej dziewięć. Było kim zarządzać. W samej tylko nowojorskiej centrali pracowało dwanaście osób, w większości byli to biali protestanci o umysłach ostrych jak brzytwa i hołdujący tym samej wartościom co Clint Eastwood w Gran Torino. Większość z nich też nosiła białe koszule z krótkimi rękawami.

Przez długi czas, gdy odbywał z Agnieszką rozmowy przez Skype'a, Tom tak ustawiał ekran komputera, aby widać było wiszący w jego tle portret Lecha Wałęsy z oryginalnym podpisem Noblisty, który Tomowi udało się zdobyć przy okazji wizyty

Wałęsy w Ameryce. Po prostu chciał jej sprawić przyjemność. Dopiero kilka miesięcy temu, gdy Tom otworzył przysłany przez Agnieszkę link do ważnej publikacji polskiego instytutu dokumentującego działalność komunistycznych służb specjalnych, portret wielkiego związkowca zniknął ze ściany.

Nie żeby Tom Wildstein potępiał współpracę z tajnymi agentami oraz metody ich pracy, istota zagadnienia tkwiła w celu, do jakiego służba została powołana i w gorliwości, z jaką wypełniała swą misję. Dlatego, gdy na progu jego spartańskiego kantorka stanął agent CIA, Walter Brown, Tom rozłożył ramiona i uśmiechnął się szczerze i szeroko, jakby witał syna, który wrócił z college'u, trzymając w dłoni „diploma with honors”.

– Witam zacnego przyjaciela!

Tak jak centrala Legal Heart nie przypominała planu filmowego, tak Walter Brown nie wyglądał na agenta najpotężniejszego wywiadu świata. Sprawiał wrażenie przeciętniaka, choć właściwie nie sprawiał żadnego wrażenia i bardziej kojarzył się z właścicielem ulicznego wózka z hot-dogami, który przypomniawszy sobie, że musi odebrać list na pocztę, zdjął na pół godziny zatłuszczony fartuch kucharza, pod którym miał tani garnitur kupiony na przecenie w Walmart Store, i poszedł załatwić sprawę.

Oficer nie miał też tej męczącej manieri szpiegów, polegającej na porozumiewaniu się aluzjami, sugestiami, niedomówieniami i podtekstami, całą tą Ezopową mową służb. Był zwięzły i konkretny.

– Złamaliśmy konto biletowe Chirurga – oznajmił po powitaniu. – Kupił trzy bilety do Warszawy. Wylot za dwa dni z Szanghaju.

– Na kogo te bilety? – zapytał Tom.

– Chirurg, jego asystent i człowiek, którego nazwisko znajduje się na liście więźniów politycznych.

Zapadła chwila milczenia, którą Walter Brown odczytał jako przejaw niedoinformowania, dorzucił więc: – Na ich liście, a nie na naszej, rzecz jasna.

– Kim jest ten więzień?

– To członek Falun Gong.

Tom przymknął oczy i pomasaował się po skroniach, jakby tym gestem chciał pobudzić mózg do pracy.

– Falun Gong? To znaczy, że...? – Podniósł powieki jak ktoś nagle obudzony. – To znaczy, że zabiorą z sobą dawcę do Polski? – zapytał, wyrzucając sobie, że słowa „dawca” nie wziął w manualny nawias. W końcu ofiara to ofiara, a nie jakiś tam „dawca”.

Tajny agent skinął głową. Miał minę, jakby chciał zakrzyknąć: „Do czego to już dochodzi na tym świecie!”, lecz powiedział tylko:

– Na to wygląda.

A wtedy Tom wychylił się z kantorka i zawołał na cały głos:

– Dzwonimy do Warszawy! Niech ktoś wykręca pilnie do Agnieszki!

Rozdział dwudziesty pierwszy

– Komóra ci mruga. Odbierz – powiedział Grzegorz, wskazując szyjką butelki na jej kieszeń, w której bezgłośnie bił zielenią elektroniczny puls.

Agnieszka z irytacją wyjęła ze spodni telefon i nie patrząc, kto dzwoni, zgasiła go kciukiem. Jakby miażdżyła palcem obrzydliwego robala.

– Nie odbierasz? Może to coś ważnego? – Patrzył na nią zmęczonym wzrokiem faceta, który wszedł właśnie w smugę cienia i wcale nie czuł się już młody, a wszystko to za sprawą wyroku losu, przez który w jego domu śmierdziało teraz gównem i maścią na odleżyny. Miał pod czterdziestkę, oponkę nad biodrami i zabawną, plackowatą łysinę, której nie próbował nawet maskować pożyczkami, jakby pogodził się z tym, że nie ma już dla kogo i po co. – Może to coś ważnego? – powtórzył.

– Nie ma ważniejszej sprawy ponad tą, z którą przyjechałam – odparła z powagą. – Więc opowiadaj, Grzesiu.

Siedzieli na zydlach z buka, na środku przystrzyżonego na jeża trawnika, i pociągali piwo wprost z butelek. Przez kuchenne okno podglądała ich ukradkiem żona Grzegorza, zaniepokojona wizytą dziewczyny z wytatuowaną na szyi kotwicą Polski Walczącej. Dużo słyszała o niej od męża, lecz nigdy jej jeszcze nie poznała, a zdjęcia, które zachowały się w rodzinnym albumie, przedstawiały fajłapowate dziewczę o buzi jak pyza, które tak się miało do dzisiejszej wyżyłowanej Agnieszki, jak ówczesna jakość fotografii tradycyjnej do obecnej cyfrowej, wyostrzonej na brzytwę i bezlitosnej.

Wokół walały się zabawki. Skwierczał grill, rudy kot chłeptał wodę z nadmuchiwanego brodzika, a jałowce, uformowane na bonsai i obsypane u podstawy białym żwirem, wprowadzały do otoczenia element orientu zaprawionego swojską nutą z Castoramy. Był ciepły, letni wieczór i pachniało intensywnie lawendą, jak w całej przydomowej Polsce. Słowiańska sielanka.

Agnieszka wciąż nie mogła się otrząsnąć po tym, co zobaczyła zaraz po przyjeździe do domu swojej drugiej mamy i swego przyrodniego brata. Tak właśnie w chwilach rozrzewnienia nazywała panią Halinę i jej syna. Nie była tu od ośmiu lat, a teraz kobieta, którą pamiętała jako krzepką, ciepłą, zasadniczą, zaradną i do rany przyłóż, siedziała na wózku inwalidzkim i bezzębnymi dźwiałami kasała własne palce pobrudzone kałem. Wysuszona na wiór, skarłała, pokrzywiona, otepiała i okradziona z samej siebie, była jak worek, w którym dogorywały organy pozbawione na dodatek dowodzenia, bo mózg, owładnięty zwyrodniałym białkiem, zjadł już sam siebie

prawie doszczętnie.

Przy wózku leżał rozerwany, zafajdany pampers. „Alzheimer, ostatnie stadium”, wyjaśnił Grzegorz i wypchnąwszy delikatnie Agnieszkę brzuchem z pokoju (na dłoniach miał upaprane odchodami gumowe rękawiczki), pospieszył z pomocą żonie, która oporządzała jego matkę.

A teraz, dopiwszy piwo i ustawiwszy butelkę tuż przy nodze zydła, pedantycznie, tak aby nie potraścić jej stopą, odpowiedział na prośbę Agnieszki:

– To nie będzie jakaś długa opowieść – zaczął. – Zjawił jakiś rok temu. Przywiozła go limuzyna z kierowcą. Nie wiedziałem, kto to, bo go w życiu nie widziałem na oczy. Dopiero, jak się przedstawił... Powiedział, że przyjechał uregulować swój życiowy dług. Tak się wyraził, życiowy dług... – Grzegorz spojrział badawczo na Agnieszkę. Chciał sprawdzić, jak reaguje na jego słowa, ale słuchała go z odwróconą głową.

– Początkowo mamusia wzięła go za swojego brata – ciągnął. – Wzięła go za brata, którego nigdy nie miała. Choroba zrobiła już swoje... Ale miewała jeszcze czasami przebłyski świadomości. I taki przebłysk nastąpił kilka minut później, gdy rozmawialiśmy przy niej o nagrobku dla twojej matki. Siedzi na wózku, jak mumia, i nagle się odzywa, jakby wszystko rozumiała, logicznie i składnie: – To i mi wystawcie porządną pomnik. Ja już niedługo umrę.

Agnieszka jeszcze bardziej odwróciła głowę. Po jej policzku pociekła łza. Była tylko dla niej.

– Spytałem go, dlaczego on z tym do nas, dlaczego sam nie załatwi. Odpowiedział, że próbował, ale pełnomocnictwo do grobu ma moja mamusia. No i ty. Bo tak przecież było. To moja mamusia pochowała twoją... Powiedział, że chce nam pomóc. I pomógł... – Grzegorz zatoczył ręką. – Sama widzisz, ile się tu zmieniło. Żyliśmy w ruderze, wychowałeś się tu... Przysłał ekipę, ocieplili dom, wymienili kominy, instalacje, piec, wymalowali pokoje. Remont generalny. Do tego płot, brama, ogród. Kuchnia jak z żurnala. Nowy wózek dla mamusi, pieniądze na leki, rehabilitantów, masażystów, opiekunki... Mówił też o tobie.

Po policzku Agnieszki spłynęła druga łza, a potem kolejna. Przyłożyła dłoń do twarzy i starła łzy tak, jakby palcem wyciągała paproch z kącika oka. Grzegorz udał, że nie dostrzegł tego gestu. Długą chwilę zbierał się w sobie, zanim zapytał:

– Nie chcesz wiedzieć, co mówił?

Agnieszka pokręciła głową, nie odwracając twarzy. Wyglądała jak krnąbrne dziecko odmawiające pójścia na obiad. Kolejna chwila milczenia była jeszcze dłuższa.

– Słuchaj, Aga, nie chcę się wtrącać. Ale... Ale dlaczego mu nie odpuszczisz?

– Dlaczego mu co? Dlaczego mu nie odpuszczę?!

Odwróciła głowę i popatrzyła na niego tak, jakby złożył jej jakąś obrzydliwą

propozycję.

– Zostawił matkę w końcowej fazie raka! Zwiął z babą! Potem przez dziesięć lat nie dawał znaku życia! A ty pytasz, dlaczego mu nie odpuszczę?!

Grzegorz skulił się pod jej spojrzeniem. Bąknął spod nosa:

– To już zupełnie inny człowiek. Przeszedł przemianę.

– Bo tak, kurwa, napisali w gazecie?! – Wstała tak gwałtownie, że jej stołek wyrzucił się. Grzegorz obejrzał się za siebie i dostrzegł w oknie odskakującą od parapetu żonę.

– Przeszedł przemianę, bo kurwa co? Bo zafundował organy w kościele? Czytałam! Kosztowały pół miliona.

– Obawiam się, że dużo więcej – poprawił ją.

– Przepraszam najmocniej! – Schyliła się w aktorskim ukłonie, kładąc dłoń na piersi. – Kosztowały dużo więcej! – Wyprostowała się i zaczęła kroczyć dookoła grilla, bijąc się w piersi niczym filmowy King Kong. – Gdy zostałem milionerem, przeszedłem przemianę! – Dum! Dum! Dum! – Wynająłem kołcza i on mi wyczyścił pamięć! – Dum! Dum! Dum! – Kupiłem organy! – Dum! Dum! Dum! – Za milion albo dwa! – Dum! Dum! Dum! – Chuj tam, stać mnie! – Dum! Dum! Du...

Grzegorz doskoczył i złapał ją za rękę.

– On miał powód! – wykrzyczał Agnieszce w twarz.

Zatrzymała się. W ułamku sekundy straciła cały rezon, całą energię i całą złość.

– Powód? Do czego?

– Miał powód, żeby odejść od twojej matki.

Stali na środku trawnika – twarzą w twarz i tak blisko, że bliżej już się nie dało bez naruszenia intymności. Jak bokserzy mierzący się wzrokiem podczas ceremonii ważenia.

– Grzegorz, o czym ty mówisz?

– Twoja matka, zanim zachorowała, miała romans. Jakaś stara miłość z czasów licealnych. Poryw serca, atak głupoty. Nie umiał sobie z tym poradzić. Nie potrafił jej wybaczyć.

Agnieszka sprawiała wrażenie, jakby otrzymała mocny cios pałką.

– Skąd wiesz?

– Mamusia mi powiedziała.

– Mówiła coś przy okazji o swoim bracie? – wypaliła Agnieszka i natychmiast się zawstydzila: – Przepraszam. Nie chciałam... Kurwa, sam widzisz, co się ze mną dzieje.

– Nie szkodzi. – Grzegorz pogłaskał ją po włosach. – Mamusia powiedziała mi o wszystkim, gdy była jeszcze zdrowa. Miała umysł jak brzytwa. Pamiętasz? Krzyżówkę w „Przekroju” rozwiązywała w pół godziny.

– To „Przekrój” jeszcze się ukazuje? – zapytała idiotycznie Agnieszka, sama nie wiedząc, po co. Taki wykop na aut, żeby mieć czas na zebranie myśli.

– Teraz chyba już nie – odpowiedział Grzegorz jak najbardziej poważnie.

– Zwariuję przez ciebie, Grzesiu. – Przyłożyła sobie do skroni dwa palce. – Ale poczekaj... Miała romans, a on jej nie rzucił od razu, tylko poczekał, aż dostanie raka, żeby się odegrać i ją rzucić w najgorszym momencie? Masz mnie za idiotkę? – Znów patrzyła na niego jak na wroga.

– Dowiedział się o wszystkim, gdy ona była już chora.

– Jak to?

– Spotkał tamtego w szpitalu...

– W szpitalu? Mieli romans w szpitalu? Grzesiek, co ty...

– Nie! Nie w szpitalu. – Złapał ją za ramiona i mocno nią potrząsnął. – Natknął się na niego przy łóżku twojej mamy. Facet klęczał z bukietem róż. Wył z rozpaczy.

Agnieszka z całej siły odepchnęła Grzegorza, zrobiła w tył zwrot i skierowała się za róg domu, gdzie zostawiła rower. Z torebki przy ramie wyjęła latarkę-czołówkę, nałożyła ją sobie na głowę i sadowiąc się na siodełku, odwróciła się do Grzegorza, którego kroki chrzęściły na żwirowej ścieżce.

– Myślałam, że trzymasz ze mną – krzyknęła. – Byliśmy jak brat i siostra. Ale widzę, że i ciebie sobie kupił.

Po czym nacisnąwszy pedały, podjechała pod furtkę, stanęła i czekała. Wyjął z kieszeni pilot – bzyknęło. Popchnęła furtkę kołem, wyjechała na chodnik.

Zanim zniknęła w zapadających ciemnościach, zdążyła krzyknąć:

– Chuj ci w dupę, Grzesiu!

Rozdział dwudziesty drugi

Witold Niemcewicz stał przed lustrem w łazience przylegającej do jego gabinetu i rozmyślał nad nowym początkiem.

Jak zacząć? Jak zacząć, żeby nie zmarnować kolejnej kartki papeterii? Jak zacząć, aby nie spalić się już w pierwszym zdaniu? Które słowo wybrać na początek?

Moja Ukochana? Zbyt poufale, bo sugerujące trwałość relacji. To nagłówek skierowany do kogoś, kogo się spotyka lub z kim się prowadzi korespondencję w miarę regularnie.

Szanowna Córko? Zbyt oficjalne. No i pachnie paternalizmem. Jakby zaraz za tym powitaniem miały się ustawić dobre rady, wypominki, propozycje nie do odrzucenia.

Najdroższa? Jedyna? Moja ty? Pretensjonalne i nieszczerze. To znaczy szczerze, ale nie do uwierzenia, że szczerze. Bo skoro najdroższa, to dlaczego...? Tak mogłaby zapytać: dlaczego? – i miałyby do tego nienaruszalne prawo. Bo skoro najdroższa, to dlaczego... – i tu długa litania wyrzutów z jej strony.

Czy w ogóle zapytałaby, dlaczego? Najpierw musiałaby przeczytać list, a tego nikt nie mógł mu zagwarantować.

Przypomniał sobie trzy listy spoczywające w szufladzie biurka, które swego czasu napisał – w odstępie dwóch lat każdy – i wysłał pod adres, jaki bez trudu ustalił mu wynajęty detektyw. Na odwrocie każdej koperty zostawił swoje imię, nazwisko i adres warszawskiego biura. A na końcu każdego listu zapisał swój telefon i prywatny mail znany zaledwie kilkunastu osobom.

Wszystkie trzy listy wróciły nie otwarte. Jakby adresat umarł lub bawił się z nadawcą niczym dłużnik z biurem windykacyjnym. Na każdej kopercie przekreślono adres docelowy i wpisano adres jego biura oraz umieszczono odręczny dopisek w kolorze czerwonym: „ZWROT”. Na pewno nie zrobiła tego poczta; nie takie były procedury. Równie dobrze można było napisać na kopercie: „ODCZEP SIĘ”.

Gdy wysyłał pierwszy list, miała lat siedemnaście. Gdy drugi – dziewiętnaście. Gdy trzeci – dwadzieścia jeden.

Popatrzył w lustro na swoje odbicie, jeszcze bardziej ostatnio wyszlachetnione. Z chorobą było mu do twarzy i na moment ta myśl pokrzepiła jego samcze ego, aby za chwilę polec sromotnie w starciu z odkryciem, że jest to portret chwil ostatecznych. Cóż po rasowej twarzy, skoro już niedługo zakryje ją szpitalne prześcieradło? A ostatnie – szklane już – spojrzenie pośle światu z czarnego worka przez zablizniające się błyskawicznie rozcięcie. O ile oczywiście umrze z otwartymi

oczami.

No właśnie, jak to jest umierać z otwartymi oczami? Dlaczego tak się dzieje? Z powodu jakiej anatomicznej fanaberii? I czy to znaczy, że umierający widzi wszystko do samego końca? Że nie umiera w ciemności? Nigdy się nad tym jeszcze nie zastanawiał i postanowił sprawdzić to w Internecie; nie będzie przecież pytał Adruszkiewicza.

Nad jak wieloma rzeczami nie rozmyślał jeszcze w życiu? Ilu rzeczy nie zrobił, choć sądził, że robił już wszystko? Ilu smaków nie pokosztował, dźwięków nie usłyszał? Ilu miejsc nie zobaczył, chociaż mógł dojechać wszędzie, a nawet mógł być wszędzie dowieziony? Z wojaży po świecie zrezygnował już dawno, to było po tym, jak przeczytał, że turystyka to współczesna wersja kolonializmu. Oczywiście, zinterpretował to tak, jak należało zinterpretować – jako lewacki bełkot, lecz jakże poręczny w roli wymówki od kulturowego przymusu zwiedzania świata. Po co jeździć, skoro wszędzie jest tak samo? W zupełności wystarczały mu podróże w interesach, przy okazji których fundował sobie wszystko to, na co miał akurat ochotę: sztukę, kuchnię, zakupy, seks.

Nagle zrobiło mu się żal samego siebie i pomyślał, że szkoda by było wszystko tak zostawić. Cały ten świat. Dla kogoś innego. Jak danie podane na stół, wciąż świeże, wciąż parujące, zawsze smaczne. Gdy miał siedemnaście lat, upił się na dyskotecę i zgubił cenny bilet kolejowy, wskutek czego nie pojechał z przyjaciółmi na tydzień do Budapesztu. W szaroburej Polsce lat siedemdziesiątych było to jak przegapić wycieczkę do raj. Codziennie budził się rano i siadając ze wstrętem do pokrytego kozuchem grysiku na mleku, jakim katowała go matka, zadreślał się tym, co wiedział, że właśnie go omija: koncert „Omegi” na podzamczu w Budzie, janie trawy z hipisami z Holandii, wieczorne picie piwa na naddunajskim bulwarze, rwanie enerdowskich punkówek nocujących w śpiworach na rozległych trawnikach Wyspy Małgorzaty. Teraz, po czterdziestu latach, czuł się identycznie: pociąg odjeżdżał bez niego.

Nagle strasznie zachciało mu się żyć. Nabrać rumieńców, przytyć, niezdrowo pojeść, popić na umór, pożartować, poflirtować, rechotać do bólu przepony ze świńskich kawałów. Przyłożyć czoło do zimnej, brudnej szyby wagonu i pałac „ekstra mocnego” bez filtra, gapić się na uciekający za oknem beżład kolejowego industrialu. Zażyć wyuzdania, choćby i za pieniądze, bo po to one w końcu są. Sauna, a w niej taca z szampanem, kawiozem i viagrą. W saunie on i owłosiony jak mała Andruszkiewicz. A między nimi lśniący jak węgorz Mulatka. Jedna na dwóch, dla czystej perwersji.

Uśmiechnął się do lustra i mrugnął sam do siebie. Lśniący jak węgorz... To, że leży mu się w głowie takie porównania, było dowodem nie tylko na resztki jurności, ale i na poczucie humoru. Kto żartuje, ten żyje! Ironia, która była przez lata jego

stylem bycia, jeszcze nie skwaśniała, jeszcze nie zamieniła się w sarkazm i szyderstwo. To nadal było lekkie prosecco, a nie ciężki zajzajer.

Odkręcił tubę z kosztownym kremem z serii sygnowanej nazwiskiem swojej dobrej znajomej. Też miała tytuł doktora i chwaliła się nim już w logo produktu. Przez pewien czas wyprzedzał ją nawet na liście najbogatszych Polaków, ale gdy w drugiej połowie drugiej dekady trzeciego tysiąclecia naród zaspokoiwszy swoje potrzeby materialne oraz godnościowe, zaczął dbać o urodę, akcje znajomej poszły w górę. Była już dla Niemcewicza nie do doścignięcia, ale on i tak nie zamierzał się ścigać.

Krem w tubie był na odmłodzenie i brzmiało to trochę jak obietnica czarnoksiężnika, choć przecież w jakimś tam stopniu działało, przynajmniej na pierwszy zewnętrzny milimetr opakowania, w jakie natura wyposażyła człowieka na jego ziemską drogę. Milimetr – tak cienka jest skóra człowieka. Niemcewicz zawsze szczególnie o nią dbał.

Często zastanawiał się nad tym, jak bardzo fizycznie zmienili się Polacy w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Gdy on na studiach chadzał na siłownię – wypełnioną szczękiem metalu, męskimi wyziewami i grubiańskością – na dwudziestu ćwiczących zdarzał się jeden dobrze umięśniony mężczyzna. Kobiet nie było wcale, a jak jakaś już przyszła, to wiadomo, że po seks lub zapolować na męża. Dziś proporcje na siłowniach odwróciły się: na dwudziestu gladiatorów, przytrafiał się jeden tłuścioch lub anemik, a kobiet ćwiczyło więcej niż mężczyzn.

W tej samej szufladzie, w której chował tamte trzy nieprzeczytane listy, spoczywało kilka nostalgicznych pamiątek, a wśród nich jego spłowiałe zdjęcie ze studenckiej siłowni, na którym ma nagi tors i wyciska na siedząco dwa kuliste staroświeckie odważniki. Pokryty wilgocią grecki posąg w rozciągniętych spodniach od dresu, uśmiechający się spod obowiązkowego wtedy wąsa. „Czy wiesz, że miałeś niezłe ciało?”, zapytała go ta od kremów, gdy dawno temu, po jednej jedynej wspólnej nocy, pokazał jej dla żartu to zdjęcie. „Dopiero na starość to dostrzegłem”, odpowiedział całkiem uczciwie. Wtedy powiedziała coś o zwierzęcej nieświadomości własnych możliwości i własnego piękna. I że to właśnie jest w młodości najbardziej paradoksalne. Nie podjął dyskusji, bo myślał intensywnie o śniadaniu.

Jednak po jajecznicy, a przy kawie i ciastku, przyszło mu do głowy, że gdy człowiek dorobi się milionów i zaczyna szukać sensu życia, lubi nawet orgazm skwitować filozoficzną sentencją. Podzielił się swym spostrzeżeniem z panią doktor, a ona śmiejąc się, poprosiła, aby sprowokował ją do kolejnej sentencji. Zrobili to na kuchennym stole, pośród niedojedzonych resztek śniadania, a sentencja tym razem brzmiała: „O kurważ twoja mać, Witek!”.

A tamte trzy koperty? Ilekroć otwierał szufladę, uciekał od nich wzrokiem. Jakby same miały oczy i posyłały mu pełne wyrzutu spojrzenia. Jakby nie wystarczyło

słowo „ZWROT” zapisane na czerwono. Mógł cytować z pamięci całe ustępy tych listów, tyle włożył w nie wysiłku i nadziei.

List pierwszy, akapit trzeci. „... bo musisz wiedzieć, że nie tylko ja byłem w tym związku winny. Powiem szczerze: nie ja jedyny zgrzeszyłem. Twoja matka także. Owszem, forsa uderzyła mi do głowy, a po przeprowadzce do Warszawy, gdy udało mi się dobrze sprzedać swoje większościowe udziały we wrocławskich firmach i z sukcesami zająłem się deweloperką w stolicy oraz grą na giełdzie, nawet mi się w tej głowie mocno poprzestawiało. Szybkie pieniądze, wielkie możliwości, nowi ludzie, mocne nazwiska, mocne pokusy. Twoja matka akurat zaczęła chorować, więc nie mogła ani w tym uczestniczyć jako moja partnerka, ani mnie kontrolować. I stało się, wdałem się w związek z tą piosenkarką. Resztę znasz ze szmatławej prasy, jeśli ją już wtedy czytywałaś. Żenujący banał, finał do przewidzenia. Ale zanim mnie wystawiła na pośmiewisko i wydoiła, ja przeżyłem przy niej swą drugą młodość, więc proszę, zrozum mnie. Na dodatek, i teraz zmierzam do sedna, najprawdopodobniej cała ta heca z piosenkarką nigdy by się nie wydarzyła, gdybym wtedy, przy szpitalnym łóżku Twojej matki nie spotkał tego człowieka z kwiatami. To był jej sekretny romans, wielka miłość z młodości. A ja widząc niewierność, a może tylko nielojalność (do dziś nie jestem pewien Jej zdrady), dałem sobie po prostu przyzwolenie na skok w bok. Z ciężkim sercem, zraniony, ale dałem. I tak nam się wszystko rozsypało...”

Z ciężkim sercem? Nam się rozsypało? Przecież potraktował tego nieszczęśnika z kwiatami w szpitalu jak pretekst, który spadł mu z nieba. Co tam pretekst! Jak ułaskawienie... Jakby trafił szóstkę w totolotku bezkarności. Uzyskał w swoich oczach natychmiastowe rozgrzeszenie, a całą winą obarczył śmiertelnie chorą kobietę. Wiwat wolność, wiwat przypadek, wiwat ulga!

I czy był to tylko skok w bok? Czy można nazwać skokiem w bok całkowite przeoranie swego życia? Od kuracji hormonalnej po kabotyńską fryzurę, jaką na życzenie piosenkarki nosił na głowie wbrew swej metryce i wbrew temu, co w tej głowie było... Od laserowej depilacji ciała po depilację wszelkich poglądów i właściwości... Od demolki sumienia i poczucia rodzicielskiego obowiązku po dewastację finansów osobistych, wcale już pokazanych... Druga młodość? Cóż za eufemizm! Związek z kapryśną piosenkarką nie uczynił z niego na powrót młodzieńca, lecz dziecko w lunaparku, otumanione blichтром, więc podatne na każdą głupotę i każdy rodzaj zła.

Może faktycznie włożył w ten pierwszy list dużo nadziei i wysiłku, ale czy szczeroci? Fałsz musiał parzyć nawet przez kopertę, pewnie dlatego nie została otwarta.

List drugi, akapit czwarty. „... i teraz uświadamiam sobie, że są sprawy ważniejsze niż pieniądze. Rodzina. Zdrowie. Przyjaźń. Choćby ta między rodzicem, a dzieckiem. Dziś nie mam żadnej z tych rzeczy, jeśli nie liczyć przyjaźni pana Romka, którego pewnie dobrze pamiętasz (ech, te jego wspaniałe prezenty pod choinkę!), a który właśnie Cię pozdrawia, ponieważ to on pisze teraz ten list, a ja mu go dyktuję. Tak, miałem wypadek, mam pogruchotane palce, co jest karą złych ludzi za to, że mi źle poszło w interesach, a robiłem je za ich pieniądze. Giełda bywa kapryśna, ale nie chcę się teraz użalać, lecz zaproponować Ci spotkanie...”

Tego listu wstydził się najbardziej. „Nie chcę się teraz użalać...”, napisał, skomląc o szczyptę litości. Dlaczego Andruszkiewicz pozwolił mu w ogóle wysłać te brednie? Dlaczego bez sprzeciwu je wtedy spisał? Cóż, zawsze był grubiański w uczuciach, a literacko nieokrzesany.

Pogruchotane palce... Pogruchotane palce przy nietkniętym ego. Gdyby dziś jakimś cudem zgodziła się przeczytać te jęki, za nic by na to nie pozwolił. Ale przecież i tak by nie chciała, skoro nie chciała wtedy.

A te „sprawy ważniejsze niż pieniądze”? I pomyśleć, że podyktował to ktoś, kto od tamtej pory wdarł się do pierwszej setki najbogatszych Polaków i zarobił tyle, że mógłby przez pół wieku sponsorować solidny uniwersytet, a i tak zostałyby jeszcze na pięć domów dziecka.

List trzeci, akapit ostatni. „...”, bo zapewne obilo Ci się o uszy, że jestem teraz producentem luksusowych jachtów i łodzi motorowych. Udało mi się, to chyba dzieło mego życia i moje przeznaczenie! Nareszcie robię coś konkretnego, pięknego i pożytecznego, choć dojście do celu wymagało mozołu, żelaznej wytrwałości, pokory, a wcześniej pokuty. Odbylem ją, a teraz w nadziei na zgodę, której bardzo, bardzo pragnę, mam zaszczyt zaprosić Cię na ten rejs, od którego zacząłem list. Na pokładzie jachtu wybudowanego przez moją firmę wystartujemy z Teneryfy i weźmiemy kurs na Karaiby. Tam rajski tydzień na Antylach, a potem przejście Kanałem Panamskim na Pacyfik. I wprost na Wyspę Wielkanocną. Stamtąd...”

To z kolei brzmiało jak próba przekupstwa. Stary wyga łowi sikse na egzotykę i luksusy. I cóż, że nie z intencją łózkową? Tak czy tak – żenujące. Dobrze, że list nie został nawet wyjęty z koperty.

Popłynął wtedy z Andruszkiewiczem i z trochę przypadkowym towarzystwem, o ile w sferach, w jakich zaczął się obracać, cokolwiek poddane bywa przypadkowi, a nie zimnej kalkulacji – finansowej, politycznej, towarzyskiej, erotycznej. Niebawym sukces w branży jachtowej wywindował go do sfer dostojnych i wszechmocnych, więc towarzystwo, choć przypadkowe, nie mogło być byle jakie. To już nie było akwarium, w jakim do tej pory żerował, pełne łakomych japiszonów, cynicznych prawników, przekupnych urzędników, chytrych deweloperów, drobnych polityków z gangsterską przeszłością i gangsterów z politycznymi ambicjami, maklerów skorych

do ryzyka za cudze czy restauratorów na smyczy mafii. To już był prawdziwy sektor VIP.

Jednego tylko nie mógł sobie przypomnieć: czy w którymś z tych trzech listów padło choć raz słowo „przepraszam”. Na pewno w ostatnim napisał „wybacz”, to pamiętał. Ale zwrot „wybacz”, gdy pada z góry, a nie z dołu, brzmi jak sugestia, nieomal polecenie. Aby być wiarygodnym, musiałby to powiedzieć z pozycji na kolanach.

Czy użył słowa „przepraszam”? Mógł rozerwać koperty i sprawdzić, ale bał się tej konfrontacji. Taki sam strach przeżywał przed zajrzeniem do swojej teczki, nagle odkrytej w zasobach Instytutu Pamięci Narodowej. Długo przełykał ślinę, zanim zdecydował się odwrócić jej tytułową kartę.

Przed rokiem dowiedział się zupełnym przypadkiem, że w ujawnionym właśnie zbiorze zastrzeżonym instytutu znajduje się zeszyt ewidencyjny kandydata na tajnego współpracownika. Na jego nazwisko. Zdumiał się i wystraszył rejwachu, jaki podniosą media, gdy rzecz cała się wyda. Ponieważ sam nie mógł tropu sprawdzić, gdyż IPN udostępniał teczki wyłącznie mediom i historykom, poprosił o przysługę znajomego dziennikarza, a potem odwdzińczył mu się dwuosobowym tygodniowym turnusem all inclusive na Gomerze.

Z dokumentu dowiedział się, że w osiemdziesiątym trzecim bezpieka planowała pozyskać go do współpracy, nie mając jeszcze nawet pojęcia, że działa aktywnie w zdelegalizowanej „Solidarności”. W skserowanej teczce znalazł zdjęcie siebie sprzed lat, zrobione ukradkiem, charakterystykę swojej osoby („towarzyski, może podobać się kobietom”) oraz zamykający sprawę wpis esbeka, stwierdzający, że „po szczerzej rozmowie obiekt kategorycznie odmówił jakiegokolwiek współpracy, powołując się na swoje zasady moralne oraz kanony wiary”. Rzecz w tym, że nie mógł sobie takiej rozmowy przypomnieć. Albo więc oficer polecił się i oszukał przełożonych, albo on odmówił mu współpracy na urwanym filmie. Dużo wtedy pili z Andruszkiewiczem, choć o wódkę nie było łatwo.

„Czy użyłem słowa „przepraszam”?”, zapytał siebie po raz kolejny i wtedy przyszło mu do głowy coś bardzo prostego. Oświecony, jakby mu ktoś podpowiedział hasło do krzyżówki, wysmarował się kremem przywracającym młodość, zrobił siusiu i dziarsko wymaszerował z łazienki. Teraz już wiedział, jaki ma być nowy początek. Krótki i jednowyrazowy.

Dla kurażu zaserwował sobie „Dziewczynę o perłowych włosach” Omegi, ale nie z Youtube’a, lecz na zabytkowym gramofonie Marantza, z winylowego krążka, który kupił jakiś czas temu w antykwariacie Grochowskim przy Kickiego. Pisząc, śpiewał razem z zespołem. W młodości nauczył się słów kultowej węgierskiej piosenki na pamięć, nie mając nawet pojęcia, co znaczą. To było wtedy dobrze widziane: śpiewać razem z zespołem, nie rozumiejąc tekstu. Jak pieśń religijną po łacinie w katedrze.

Wymieniali się w liceum fonetycznymi zapisami przebojów Hendrixa, Led Zeppelin, Black Sabbath, Deep Purple, Janis Joplin. Królował angielski, węgierski dopuszczany był warunkowo, całkowicie zabronione były: niemiecki, francuski i rosyjski. Gdyby ktoś zaśpiewał po czesku, pewnie by go wtedy pocięto żyłkami. Po latach pojął, że ten brak językowej biegłości był wtedy dla niego i jego przyjaciół zbawienny; póki nie znali słów, brytyjskie przeboje wydawały im się pełnymi głębi odami do wolności. Gdy w końcu nauczyli się angielskiego, okazały się banalnymi kawałkami o tańcu, piciu, podrywaniu.

Napisanie kolejnego listu zajęło mu zaledwie dwa kwadransy. Przeleciał po nim wzrokiem dla pewności, wstawił przecinki, gdzie trzeba. Dwie bite strony maczkiem, bez skreśleń, od razu na czysto. Powinno być dobrze. Jest dobrze.

Wiedział już też, jak sprawić, aby list na pewno został przeczytany. W tym celu wyciągnął rękę w stronę ajfona, drzemiącego na biurku niczym kotka, obudził go muśnięciem dłoni i przywołał wskazującym palcem tego, kogo przywołać zamierzał.

Po drugiej stronie taki sam ajfon odpowiedział na wezwanie umówionym sygnałem. To były pierwsze takty requiem Lacrimosa. I wtedy młoda, muskularna i wysferzona kobieta w szortach i koszulce na ramiączkach znowu rozmyślnie nie odbiła lecącej w jej kierunku piłki.

– Co ja słyszę?! Mozart?! – wrzasnęła ze złością. – I znów, kurwa, sobie nie pogramy.

Mecenas Stern zignorował jej wybuch. Podeszedł do telefonu, przyłożył go do ucha i odwrócił się plecami do partnerki, dając jej do zrozumienia, że istnieją w jego zawodzie stany wyższej konieczności.

– Dzwoni do ciebie o jedenastej w nocy? Później się nie dało? – próbowała domagać się swoich praw, lecz on postąpił kilka kroków do przodu, jakby uciekał przed natrętem.

Spojrzała na trzymaną w dłoni raketę, a potem na plecy swojego mężczyzny i wzięła zamach, jakby chciała go nią boleśnie ugodzić. W ostatniej chwili skręciła tułów i cisnęła raketą w siatkę na korcie. Z całej siły. Stern nawet tego nie zauważył, zajęty rozmową.

– Tak, przyjadę jak najszybciej.

Rozdział dwudziesty trzeci

– Uwielbiam tę bliznę na twojej dupce. – Czubkiem języka Dżony połaskotał pośladek Agnieszki.

Pośladek zadrżał, a wtedy język natychmiast pozwolił sobie na więcej, ale próba podboju nie powiodła się. Agnieszka zrobiła wymyk biodrem, przewróciła się na bok i owinęła szczelnie kołdrą.

– Nie dziś. Nie teraz.

– Chciałem ci pomóc zasnąć. Przecież widzę, że coś cię męczy.

To była prawda: seks działał na nią lepiej niż stężona waleriana lub validol. Gdy nie mogła przywołać snu, wystarczyło, że przywołała Dżonego – na swoją stronę łóżka. Prosiła go: „Strzel mi gola”. On strzelał i za chwilę oboje chrapali. Czasem budziła go bez słów, mając zajęte usta.

– Zachowałam się dziś jak idiotka – odezwała się w ciemności.

On milczał, czekając na wyjaśnienia. Opowiedziała mu o cmentarzu, o nagrobku, o odwiedzinach u Grzeška, o chorobie, która odebrała godność pani Halince i o swoim gwałtownym pożegnaniu z jej synem.

Dżony gwizdnął w sposób, który miał wyrażać zdumienie i solidarność, i dalej milczał, trawiąc to, co usłyszał.

– Wiem, jak ci pomóc – zadeklarował po chwili. – Zaufaj mi.

Odwinął ją delikatnie z kołdry, położył na brzuchu, zadarł tiszert robiący za piżamę i spróbował jeszcze raz.

– Jak ja lubię tę twoją bliznę na dupce. Lew wiedział, co dobre... – Wbił się językiem między pośladki, a ona westchnęła i rozluźniła ciało w geście poddania.

Lew wiedział, co dobre... Istotnie, blizna na jej prawym pośladku pochodziła od kłów lwa. Dlaczego Dżony musiał przypomnieć jej o tym akurat teraz? Dziwny przypadek. A może to prawda, że nie ma przypadków?

Gdy miała sześć lat, ojciec zabrał ją do wrocławskiego Zoo, któremu szefowało znane z telewizji małżeństwo. Zamarudzili w akwarium i przegapili godzinę zamknięcia. Gdy zmierzali pustymi alejkami w stronę wyjścia, zza krzaka wyskoczyła na nich młoda lwica. Miała obrozę, lecz oni jej nie dostrzegli. Chciała się bawić, lecz odebrali to jak atak. Myśleli, że uciekła z klatki.

Ojciec zasłonił Agnieszkę ciałem, a ona zamiast przyłgnąć do jego pleców, zaczęła ze strachu uciekać. Rozochoczone zwierzę wyminęło z rozpędu dorosłego i wbiło kły w pośladek dziecka.

Trysnęła krew, rozległ się wrzask, to jeszcze bardziej podnieciło lwa. Mocniej

zaciśnął szczękę. Zdesperowany ojciec chwycił za kilof pozostawiony w pobliżu przez ekipę budowlaną. Trafił w sam środek głowy, zabijając zwierzę na miejscu.

Agnieszce założono dwanaście szwów, a ojciec chciał założyć sprawę kierownictwu Zoo, lecz dał się ubłagać. Skończyło się na przeprosinach i na artykule w „Słowie”, który opatrzone tytułem „W obronie córki ojciec zabił lwa”. Agnieszka po latach próbowała odnaleźć tekst w sieci, lecz w czasach, gdy powstał, nie digitalizowano jeszcze gazet. Lwica była czymś w rodzaju domowego kota szefów Zoo, po wyjściu zwiedzających wypuszczali ją na teren ogrodu. Uwielbiała ludzi, nie krzywdziła nawet spacerujących wolno pawi, za miesiąc miała być oddana do cyrku. Agnieszkę potraktowała jak zabawkę, którą chciała sobie przytrzymać zębami.

Od tamtej pory Agnieszka nosiła na pośladku bliznę, z której musiała się tłumaczyć swoim kochankom. Gdy nie miała ochoty na dłuższą opowieść, mówiła, że to ślad po antyalkoholowej wszywce. Jedni się tym ekscytowali, inni wystraszała. Z kolei historia o lwie podniecała każdego.

Znów zrobiła wymyk i znów owinęła się kołdrą.

– Nic z tego nie będzie, Jasiu – Poglaskała Dżonego po czuprynie.– Przepraszam i dziękuję.

Gdy zwracała się do niego po imieniu, na dodatek zdrobniale, oznaczało to, że mówi serio. Więc się odkleił, opadł na łóżko, sflaczał. Milczał, ale bez tej zawziętości, jaką potrafi wydzielać samiec, któremu odebrano nagle szansę na zaspokojenie.

Drugi raz ojciec stanął w jej obronie na podwórku przy ulicy Traugutta, w owianym złą sławą trójkącie bermudzkim. Przy trzepaku spotykały się tam dzieci złodziei i szumowin, nietrudno było o kłopoty. Agnieszka chodziła już do pierwszej klasy, gdy trzy lata starszy cwaniaczek poczęstował ją papierosem. Po pierwszym sztachnięciu omal się nie udusiła, lecz młody drań zmusił ją z kolegami, by wypaliła całego. Wbiegła do domu zielona, półprzytomna i z obrzyganą sukienką. Ojciec dostał szału. Wypadł na podwórko, wyrwał trzepaczkę z rąk kobieciny niosącej dywan i stłukł gówniarza tak, że trzeba było wezwać karetkę.

Za dwa dni ojciec tamtego, mając do pomocy brata i dwóch zakapiorów z sąsiedztwa, dokonał zwyczajowej w tej dzielnicy zemsty. To był najgorszy widok, jakiego Agnieszka doświadczyła w swoim krótkim życiu: ojciec skopany do krwi i to na jej oczach. Nawet nie umiała krzyczeć, tak się bała.

Za tydzień jeden z zakapiorów, ten, który kopał najgorliwiej, miał połamane obie nogi. Dokonali tego wszechwładni wówczas ludzie z miasta, z którymi jej ojciec robił sporadyczne interesy, jadał kolacje, pijał wódkę i zażywał kokainę, ponadto uchodził w ich oczach za mędrca z uniwersytetu, mimo że dawno już na nim nie pracował, więc miał teraz prawo poprosić o przysługę. I poprosił.

Od tego incydentu Witold Niemcewicz zaczął uchodzić na dzielnicy za człowieka

równie wpływowego, co zajadłego. Groźna kombinacja, a dla jego córki zbawienna: od tej pory Agnieszka mogła czuć się na „bermudzki” równie bezpiecznie jak córka Tony’ego Soprano w New Jersey.

– Powinam mu wybaczyć? – zagadała w ciemności i było to jedno z najtrudniejszych pytań, jakie ostatnio przeszły jej przez gardło.

Dżony nie wyczuł powagi pytania. Może dlatego, że nie widział jej twarzy.

– Grześkowi? – zapytał beztrąsko.

Przez chwilę zastanawiała się, czy powinna go poprawić, a potem skorzystała skwapliwie z okazji.

– Tak, Grześkowi.

– Oczywiście. Co on ci zawinił?

– Zadzwoń i go przeproszę.

– Ale chyba nie teraz, jest wpół do dwunastej.

– Jasne, że nie – powiedziała łagodnie. – On jest kurierem w firmie wysyłkowej, wcześniej się kładzie.

– No to śpijmy już. Na pewno nie chcesz gola?

– Na pewno, Jasiu. – Pogłaskała go po policzku i wtuliła się w niego na łyżeczkę, co było ich najbardziej intymną formą snu.

Cisza nie trwała długo. Zanim zachrapał, zapytała:

– Jak myślisz, czy ten stary aktor będzie jutro rano na podwórku? Ten, jak mu tam?

– Parapet?

– Tak, ten pijaczek.

– Pewnie tak. Zawsze jest. A co ty od niego chcesz?

– Sprawę mam... Śpij już.

– Śpię. Na pewno nie chcesz gola?

– Na pewno, kochanie.

Rozdział dwudziesty czwarty

List oczekiwał na mecenasa w kopercie opartej o lampę, której korpus odlany był z mosiądzu i przedstawiał nagiego greckiego wojownika z tarczą i włócznią. Niemcewicz wylicytował ją za całkiem rozsądną cenę w warszawskim domu akcyjnym Agra-Art. Jak zapewniano w prospekcie aukcyjnym, była to ulubiona lampa Jerzego Andrzejewskiego; niestety, nie podano, które swoje sławne książki napisał w ciepłym kręgu jej światła.

Niemcewicz pamiętał jeszcze, z jaką zawziętością czytał na studiach wydaną w podziemiu „Miazgę” i z jakim trudem przebijał się przez nią Roman Andruszkiewicz, któremu polecił powieść jako esencję Polski. „Esencja dupencja! – stękał przyszły lekarz warszawskich elit. – Esencję Polski to ja mam w każdą niedzielę na targowisku przy placu Wolności obok opery. Kurwa, złodziej, tajniak, alkoholik i docent z uniwerku handlujący sprzętem grającym, żeby sobie kupić książki, których nie ma w księgarniach”. Ale doczytał dzieło Andrzejewskiego do ostatniej strony.

W szufladzie biurka – tej, gdzie leżały trzy odesłane listy – Niemcewicz napotkał wzrokiem dyktafon, który kilkanaście dni temu zostawił u niego przyjaciel. Mecenas miał się zjawić najwcześniej za dwadzieścia minut, co robić do tej pory? Z lekkim zażenowaniem, jakby podsłuchiwał pod oknem rozmowę na swój temat, zaczął odtwarzać opowieść Andruszkiewicza, jaką ten uraczył przy kolacji dziennikarkę modnego tygodnika.

Puszczając ją sobie w przyspieszonym tempie. To było nawet śmieszne, gdy tubalny głos Andruszkiewicza, poddany galopowi, zamieniał się w kwik. Przyjaciel brzmiał teraz jak zabiegany skrzat z kreskówki dla dzieci.

Przyszło mu do głowy, że gdyby był pisarzem, zmierzyłby się z opowiadaniem o przyszłości, w której ludzie porozumiewają się między sobą takimi właśnie kwikami. Bo mając sobie do zakomunikowania coraz to więcej coraz to bardziej śmieciowych informacji, musieli znaleźć sposób na skondensowanie ich w języku. Ewolucja przyspieszyła zatem, pobudzona technologicznie lub farmakologicznie (do wymyślenia), i podrasowała procesor ludzkiej mowy, czyniąc go tak szybkim jak funkcja przewijania w nagrywarce.

Palec z klawisza przewijania zdjął dopiero wtedy, gdy Andruszkiewicz zaczął opowiadać dziennikarce o tym, jak zaczęła się historia z budową jachtów:

– To był przełom, pani redaktor. Przełom nie tylko w biznesie, ale i w życiu osobistym Witka. Bo wcześniej jego biznesy były jakie? Otóż były takie jak cała ta

nasza Polska lat dziewięćdziesiątych. Ciągłe węszenie za pieniądzem, który i tak wtedy leżał jeszcze na ulicy, wystarczyło się schylić, co najwyżej pamiętając, żeby schylać się w odpowiednim towarzystwie... W jakim? Politycy albo ludzie z miasta, brzmi moja odpowiedź... No więc import-eksport, szukanie dziur w przepisach celnych i podatkowych, skupywanie akcji prywatyzowanych zakładów przez koników, brawurowe debiuty na giełdzie, skoki z kwiatka na kwiatek w poszukiwaniu smaczniejszego nektaru, że sobie tak poetycko porównam...

– Czy ja je wszystkie pamiętam? Pyta pani o jego interesy...? Proszę pani, ja nie pamiętam wszystkich swoich kochanek z tamtych czasów, a cóż dopiero biznesy Witka!... Nie, to nie była przechwałka, pani redaktor, bynajmniej... No, dobrze: zakładanie anten satelitarnych, potem kilka komisów samochodowych, a może kilkanaście? Udziały w sieci wypożyczalni video, tej wie pani, ogólnokrajowej, dwie dyskoteki, nocny klub, ale o tym niech pani nie pisze... Nie, nie burdel, klub dla dżentelmenów... Kolorowy miesięcznik dla kobiet, kolejny dla kulturystów, inny dla fanów motoryzacji, wszystkie upadły, ale wcześniej dały nieźle zarobić...

– Potem była budowlanka i eldorado przy wymianie okien. Pani pamięta tę masową wymianę okien pod koniec dwudziestego wieku? Kamienice się sypały, ale wszędzie świeżusie okna. Białe plastik, nowoczesność, Europa. Nowa stolarka w oknach była jak nowy mercedes pod chałupą. Znak, że komuś się powodzi. Cały trójkąt bermudzki w naszym ukochanym wrocku miał nowe okna i to już przed powodzią tysiąclecia... Nie wie pani, co to wrocławski trójkąt bermudzki? Dzielnica zakapiorów, niech sobie pani potem wygoogla...

– Ale naprawdę zaczęło mu się wieść, gdy się przeniósł z rodziną do stolicy. Tu są prawdziwe pieniądze, w tej warszawce, sama pani przyzna... Kręci pani głową? Tak słabo pani płacą? Cóż poradzę, poza propozycją dolania wina? Jeszcze kapkę? Już się robi...

– Miał firmę deweloperską: budował te wypasione, grodzone osiedla dla lemingów, do tego obrót ziemią, nieruchomościami. I drugą dużą firmę, inwestycyjną. Ale nie jakieś tam ambergoldy czy tego typu świństwa. Normalne legalne licencjonowane biuro maklerskie.

– Do tego zaczęło się dojenie Unii, bo akurat przyjęli nas do Europy. W tym też był mistrzem, wiedział, gdzie, jak i z kim wystartować. Wie, pani, te wszystkie projekty miękkie, twarde i jakie tam jeszcze, wyścig na innowacje, które niczego nie unowocześniają. Cała ta nowomowa, od której uszy krwawią, gdy się jej słucha. Nie umiem przytoczyć, nawet gdybym chciał... Niech pani poczeka, spróbuję... Beneficjenci projektu coś tam coś tam dotyczącego strategii skutecznej promocji społeczeństwa obywatelskiego w ramach programu operacyjnego coś tam coś tam w oparciu o innowacyjne aplikacje zgodne z przedstawioną specyfikacją funkcjonalną... Uffff... A wie pani, że te innowacje zanieczyszczają tylko świat? Te

wszystkie apki wprost do łapki. Pierdolety. Tylko jedna na milion poprawia świat, czytałem niedawno poważny artykuł. No, ale kasa z tego była i to duża.

– Duża kasa, to i kłopoty duże... Forse z budowlanki i handlu działkami oraz z projektów unijnych pakował w giełdę. Gdyby tylko swoją forse.... Inwestował też pieniądze złych ludzi. Żarło, żarło i umarło. W dwa tysiące ósmym. Upadek Lemans Brother i wszystko, co nastąpiło potem... Niech pani nie pyta o tych złych ludzi, bo i tak nie powiem. Dość stwierdzić, że..., że mocno go wtedy skrzywdzono. Fizycznie. Ta hołota zna tylko jeden rodzaj kary... Gdy wyszedł ze szpitala, odciął się od świata, zaczął robić model takiej luksusowej łodzi i cały się zmienił. Post, joga, medytacje, religia... Jak to jaka? Nasza. Katolicka.

Niemcewicz wcisnął klawisz „stop”. Spojrzał na wyglancowany do połysku model Rivy Tritone Super. Potem na koło sterowe wiszące na ścianie. Też wypucowane – z kołkami, rumbami, mosiężną piastą, będącą w całym tym mechanizmie tym samym, czym Słońce w układzie swojego imienia. „Prestiżowy symbol przywództwa na okręcie!”, jak wykrzykiwał facet prowadzący aukcję na targach Salon Nautique w Paryżu.

To było oryginalne koło sterowe z „Bounty”, statku, któremu poświęcono kilka filmów, kilkadziesiąt książek i kilkaset artykułów. Kupił je trzy lata temu, ubiegając chytrze pewnego rosyjskiego bogacza. A kupił dlatego, że w całej historii statku imponowała mu nie tyle jej malowniczość, co pewien niedostrzegany na ogół aspekt winy i kary.

Oto nienawidzący morza kapitan William Bligh, przesadzony na środku oceanu przez buntowników do szalupy i wyposażony zaledwie w sekstans i kieszonkowy zegarek (ciekawe, czy pojawi się kiedykolwiek na jakiejś aukcji?), przepływa tą łupiną z garstką towarzyszy blisko siedem tysięcy kilometrów, a tym, co każe mu stawić czoła żywiołom, chorobom i ludożercom, jest nie tylko naturalny instynkt przetrwania, ale i głębokie, bo zakorzenione w kulturze, poczucie odpowiedzialności i sprawiedliwości, której musi się stać zadość. To dlatego dla ukarania złoczyńców Korona Brytyjska – gdy już odkarmiła, opatrzyła i wysłuchała Bligha – wysłała na drugą stronę globu złożoną z jednego okrętu ekspedycję karną, co mogło przypominać próbę odnalezienia widelcem igły w stogu siana, a jednak się powiodło.

Gdy Niemcewicz przeczytał po raz pierwszy o determinacji kapitana Bligha i brytyjskiej marynarki, a potem przypomniał sobie jawne, chępliwe, nieomal demonstracyjne, bo odbywające się na oczach policyjnych patroli, zbieranie haraczy przez gangsterów na wrocławskiej i warszawskiej starówce, zrobiło mu się wstyd za własne młode państwo. A w chwilę potem za siebie samego. Bo też dał się uwieść tej zadzierzystości zła, jakie wylazło z nory w latach przełomu, też zadał się z nagle uszlachconą hołotą, też dał sobie wmówić, że pierwszy milion trzeba ukraść, a przestępczość zorganizowana jest „naturalnym elementem demokratycznego

krajobrazu”, jak napisał jeden z liberalnych autorytetów w głośnym eseju „Oswójmy się ze złem”. A przecież to tak, jakby zajadać się rosołem, nie zdjawszy z niego szumowiny.

Często się zastanawiał, czy to, co go spotkało ze strony gangsterów, nie było aby karą od losu. Nie tylko za czyny, które nawet skompresowane, nie zmieściłyby się w standardowym konfesjonale, ale i za słowa. Głupie, lekkomyślne, butne. Na przykład te, które wypowiedział w jednym z wywiadów, jakich udzielił stylowemu magazynowi zaraz po tym, kiedy zjawił się w stolicy i zaczął podbijać tu salony lepszego i gorszego sortu. Wydawało mu się wtedy, wypełnionemu pychą i forszą, że jest kimś w rodzaju filozofa biznesu. Dlatego zapytany przez dziennikarza o masowe zwolnienia, jakich dokonał w małym przygranicznym mieście na południu Polski, gdzie plajtowała największa w kraju fabryka ręczników, a on, jako syndyk masy upadłościowej, pojechał ją dobić, odparł bez chwili zastanowienia:

– I cóż, że większość z nich jest stara? Jestem pewien, że pozbawiając pracy tych ludzi, którzy tam, na głębokiej przygranicznej prowincji, od szkoły zawodowej aż do dziś zajmowali się tylko jednym, bo tylko jedno umieli, daruję im po prostu wolność. Wyrządzam im wielką przysługę. Dlaczego? Bo uwalniam ich tak naprawdę od życiowej rutyny, daję im szansę, być może pierwszą w ich życiu, odkrycia nowych możliwości, nauczania się siebie oraz świata na nowo. Wysyłam ich w podróż po lądach, o których istnieniu nawet nie mieli pojęcia. Podszepnąłem im, że nie należy bać się zmiany, bo zmiana, jaka by nie była, jest w życiu człowieka czymś niezwykle wartościowym.

Po latach zaczął się tych słów bardzo wstydzić. Na swoje szczęście wypowiedział je w czasach, gdy gazety nie były jeszcze on-line. Ale gdzie miano je zapamiętać, tam je zapamiętano.

Też nie przepadał za morzem. Wychowanemu w podgórskim Wałbrzychu, w rodzinie sztygara, który nigdy nie zabrał syna na wakacje, ani na mecz, ani na grzyby, ani na ryby, i zapił się na śmierć w wieku trzydziestu pięciu lat, wydawało się ono bezkresną płaską mętną kałużą, po której hulały zimne wiatry. Takie przynajmniej wspomnienia wywiózł z jedynych kolonii, jakie zaliczył w życiu, gdy mając osiem lat, pojechał do ośrodka wczasowego Górnik w Międzywodziu. Owszem, były gdzieś jakieś ciepłe morza, słońce jak pot, czyste jak kryształ i upstrzone wyspami, z których wyrastały palmy, ale na przeszkodzie zawsze stawało słowo „gdzieś”. Nie jego wina, że urodził się w czasach, kiedy w Polsce wszystko, co dobre, działa się lub istniało „gdzieś”. Dlatego gdy po wielu latach, w porcie noszącym nazwę jak z etykiety na butelce rumu, rzucał gibkiemu Mulatowi linę cumowniczą z pokładu luksusowego jachtu, który należał do niego i który zbudowany został w jego własnej stoczni, nie mógł uwierzyć, że on to wciąż on – Witold Niemcewicz, jedyny syn górnika-alkoholika i trochę niezaradnej życiowo kobiety,

która uprawiała wiele zawodów, a jeden gorszy od drugiego.

Też nie przepadał za morzem, ale po latach dość szybko nauczył się, co to jest stępka, stewa dziobowa, pawęż, wręgi, wzdłużniki denne, wzdłużniki burtowe i pokładowe. I dalej: szturwał, manetka, kokpit, fałszburta, knaga, odbojnica, sterówka, iluminator, kosz dziobowy, handreling, bulaj, forluk, kluza i fordeck. Dowiedział się o zaletach żagli na rejach i do czego przydaje się gafel. Nauczył się ręcznie budować kopyto kadłuba, poznał zasady woskowania, pokrywania żelkotem i laminowania. Stał się mistrzem obcinania i owiercania laminatowych skorup. Uwielbiał w basenie testowym stać w pelerynie w strugach sztucznego deszczu i osobiście sprawdzać szczelność kadłuba oraz uszczelek. W stolarni upajał się wonią piłowanego egzotycznego drewna przeznaczonego na ekskluzywne wykończenie jachtu i meble pod wymiar. Przykładał do policzka płyty skóry anilinowej, naturalnej, ciepłej, miłej i pięknej, najbardziej szlachetnej spośród wszystkich rodzajów skór używanych do tapicerowania. A gdy takie było zamówienie, sprowadzał nawet z Afryki skórę z krokodyla.

Wiele satysfakcji dawały mu długie dyskusje przy desce kreślarskiej z Czartkowskim, piekielnie inteligentnym absolwentem wydziału techniki morskiej Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie, którego udało się sprzątnąć sprzed nosa amerykańskiemu gigantowi jachtowemu Brunswick Marine Corporation. W kilka lat chłopak wyrósł na jednego z najbardziej wartościowych i śmiałych projektantów w branży. Zarabiał u Niemcewicza nie mniej niż u Amerykanów, ponadto nie musiał dostrajać wrażliwej psychiki do korporacyjnego drylu.

Ciekawe, czy o poczuciu szczęścia i sensu, jakim obdarowała Niemcewicza stocznia, Andruszkiewicz też opowiedział przy posiłku tej młodej reporterce?

Wcisnął przycisk „play” w dyktafonie. Ukryty w urzędzeniu Andruszkiewicz jakby tylko czekał, aby odpowiedzieć na postawione przed chwilą pytanie:

– Proszę pani, ten warsztat szkodliwy w Ostródzie, który on w kilka lat zamienił w przodującą w Europie stocznię jachtową, był jego zbawieniem i ziemią obiecaną... Konkret. Piękno. Nareszcie. Wiele razy powtarzał te trzy słowa. W takiej właśnie kolejności: konkret, piękno, nareszcie... Kiedyś powiedział mi, że czuje się jak sprzedawca lodu, który dotąd czerpał wodę do jego produkcji z szamba, a teraz ma do dyspozycji górski potok. I tak było, pani redaktor, tak było w istocie... Tysiąc jachtów rocznie i forsy jak lodu, skoro o nim mowa...

Tembr głosu Andruszkiewicza zdradzał, że coraz bardziej interesuje się dziennikarką. Niemcewicz nieomal widział nadymającego się starego koguta i poczuł delikatne ukłucie zazdrości. Bo i w nim zbulgotał na krótką chwilę ten sam koktajl

z krwi i hormonów, który kiedyś betonował mu ciała jamiste. Pożałował nawet, że nie zapytał przyjaciela o nazwisko dziennikarki. Wyszukałby sobie teraz w sieci jej zdjęcie. Głos kobiety sugerował raczej rezolutne brzydkie kaczątko niż piękną, lecz głupią gęś. Takie są najwdzięczniejsze: wystarczy posmarować miodem któryś z ich licznych kompleksów i... „Ty stary durniu! – skarcił się w myślach. – Stary i chory!”.

Uśmiechnął się, rozbawiony własnym łobuzerstwem, po czym postanowił dosłuchać do końca opowieści przyjaciela. „Jak sprzedawca lodu, który dotąd czerpał wodę do jego produkcji z szamba, a teraz ma do dyspozycji górski potok”. Naprawdę tak kiedyś powiedział? Jeśli tak, to bardzo miłe, że Andruszkiewicza przypomniał sobie to porównanie akurat na użytek wywiadu.

Wyciągnął się wygodnie w fotelu i pogłosił dźwięk w dyktafonie, lecz wtedy w drzwiach gabinetu objawiła się pielęgniarka. Za nią, wielki jak dąb, sterczał mecenas Stern. Niemcewicz musiał nie usłyszeć pukania.

Pocziwa twarz kobiety skażona była fochem.

– Nie chcę być niegrzeczna – oświadczyła w sposób informujący, że jest wręcz przeciwnie – ale lekarz zalecił panu odpoczynek. Dochodzi północ, czy nie pora iść spać, panie doktorze?

– To pilna sprawa. – Niemcewicz posłał jej spojrzenie, którym zarówno przeproszał, jak i prosił. – Sam zadzwoniłem po pana mecenasa. Za dwadzieścia minut będę w łóżku.

– No, myślę. – Kobieta odsunęła się od drzwi, przepuszczając prawnika. Po czym ruszyła w stronę biurka, schyliła się i zaczęła zbierać porzucone na dywanie niedokończone listy. – Posprzątam. – Upychała zgniecioną papeterię w kieszeń pielęgniarskiego fartucha.

– Nie wolno! – Niemcewicz rzucił się w jej stronę jak w amoku i zaczął wyszarpywać z kieszeni papierowe kule, jedna po drugiej, od pierwszej do ostatniej. – Nie wolno – powtórzył już spokojniej, wkładając niedokończone listy do kieszeni swojego szlafroka.

– Przecież bym nie przeczytała. – Spłoszona, wycofała się za drzwi, zamykając je bezszelestnie. Niemcewicz wskazał głową kopertę opartą o lampę-wojownika.

– To ten list – odezwał się. – Jutro. Jak najszybciej. Do rąk własnych.

– Jutro. Jak najszybciej. Do rąk własnych – powtórzył Stern, jakby chciał potwierdzić, że wszystko zrozumiał. – Ma go przeczytać przy mnie?

– Raczej powinna. Poza tym nie jest długi.

– Ostatnio odczytywałem akt przejęcia fabryki szkła na Podkarpaciu. Trzy bite godziny. Na czczo. – Zaśmiał się, ale Niemcewicz nie podjął tematu. Powiedział tylko:

– Przeczytaj go w spokoju, a ja wrócę za kilka minut. – I wyszedł z gabinetu.

W łazience wrzucił zmięte listy do umywalki, polał je perfumami z flakonu zdobnego w naukowy tytuł i chciał podpalić, ale zorientował się, że nie ma zapalek.

Poczłapał do kuchni, gdzie pielęgniarka oglądała na laptopie talent show. Jakiś szczupły chłopak siedział na monstrualnie wysokim niebieskim krześle i grał na akordeonie tak pięknie, że Niemcewicz aż się nachylił nad ramieniem kobiety.

– Syn moich znajomych – pochwaliła się, lecz nieco oschle, wciąż naburmuszona z powodu incydentu z listami. Zrobiło mu się głupio.

– Niech pani idzie do salonu i podłączy do dużego ekranu – zaproponował ugodowym głosem. – Złapie bez kabla, telewizor ma wi-fi. Cudownie gra ten chłopak.

Nie zareagowała. Nie chciało jej się teraz gadać, chciało jej się oglądać. Jak najciszej usiadł na krześle obok.

Akordeon... Frymuśny instrument, którym w jego chłopięcych latach wypadało pogardzać, gdyż przynależał do świata frontowych ballad i tym podobnych rzewnych scen, które oglądało się wówczas na wojennych filmach produkcji radzieckiej. Akordeonistów widywał też pod dworcami, gdzie zarabiali na życie, dając codziennej udręce ludu pracującego miast i wsi jękliwe, skoczne tło. Lud odwdzięczał się rzucaną do czapki monetą. Akordeonistami bywali mężczyźni poharatani przez los, o płaskich nosach bokserów i zdobni w tatuaże, ale nie takie wyrafinowane jak dziś, bo zrobione gwoździem – w więzieniu lub na syberyjskim zesłaniu. Czasem z nogawki muzyka wystawiała swój tępy łeb proteza z drewna lub ortopedyczny but ze skóry, który wyglądał jak wyrób szewca obsługującego rodzinę Frankensteina.

Potem, w rockandrollowych latach siedemdziesiątych, gdy wszyscy zapuścili włosy i zaczęli grać na gitarach, akordeon stał się instrumentem jeszcze bardziej wstydlivym. Kojarzył się z namolnym wujkiem, uprawiającym na każdej rodzinnej imprezie hałaśliwą żenadę. Liczyła się tylko gitara, najlepiej solowa. Dopiero w drugiej kolejności były klawisze i perkusja. Oraz skrzypce, gdy ktoś gustował w Zeifercie lub Urbaniaku. Mieli w szkole chłopaka, który grał na akordeonie i nikt nie chciał się z nim kolegować.

Na początku lat dziewięćdziesiątych nastąpiła krótka powtórka z ulicznego grania na akordeonie, gdy w Polsce pojawili przybysze ze wschodu. W pasiastych tielniaszkach, zniszczeni wódą, prawdziwi lub udawani weterani z Afganistanu wyprawiali na harmoszkach cuda-niewidy. A raczej cuda-niesłuchy. Zniknęli równie nagle, jak się pojawili.

A teraz – fik, myk! – akordeonowe odrodzenie! Harmonijny renesans! Instrument, który kojarzył się ze staroświeckim futerałem spoczywającym na szafie, nagle stał się symbolem muzycznego splendoru i wyrafinowania. Dziś z tym muzykiem na niebieskim krześle kolegować się pewnie chce każdy.

Chciał to wszystko opowiedzieć pielęgniarce, ale uznał, że zostanie odebrany jak

namolny mędrak. Dlatego, gdy ten na krześle skończył, a jurorzy-celebryci popadli w swe kabotyńskie, choć uzasadnione zachwyty, uniósł się bezszelestnie, odszukał zapalki i poszedł do łazienki. Niebieski płomień, posilony spirytusem, w mig pożarł nieudane słowa, złudne nadzieje, nietrafione metafory.

Wrócił do gabinetu. Mecenas był już po lekturze listu.

– Bardzo pan jest dla niej hojny – stwierdził, ale z tonu jego głosu trudno było wywnioskować, czy to podziw, czy przygana. Niemcewicz był ciekaw, czy na studiach przyszli prawnicy mają ćwiczenia z maskowania emocji. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Nie wiem, co ci odpowiedzieć. To dobrze czy źle?

– Nie oceniam – odparł prawnik wymijająco. – Tylko stwierdzam.

– A komu to dam? Na bezdomne psy?

– Powtarzam, nie oceniam. – Głos Sterna wciąż wyprany był z emocji, po prawniczemu sterylny. – Rozumiem, proszę pana, że traktujemy ten list jako coś w rodzaju oficjalnego dokumentu?

– A można go tak potraktować?

– Oczywiście. – Mecenas skinął głową. – Jakby co, to wszystko przechodzi na nią.

Po chwili pacnął się otwartą dłonią w czoło. Tym razem nie wyglądało to profesjonalnie.

– Jakby co? Co ja wygaduję?! Jakby co? Przecież nie będzie żadnego „jakby co”! Odpukać! – Rozejrzał się po pomieszczeniu, podszedł do koła sterowego na ścianie – stuk! puk! – uderzył dwa razy kłykiem. – Malowane, ale i tak się liczy.

Odwrócił się w stronę Niemcewicza, uradowany, jakby odegnał sztorm, i powtórzył:

– Nie będzie żadnego „jakby co”.

– Nie kryguj się. – Niemcewicz pokazał palcem na list. – Przecież ja dokładnie to właśnie napisałem.

– Ale nie będzie żadnego „jakby co”, bo wszystko się uda. Bo kiedy pan leci do Azji?

– Nie lecę.

– Nie leci pan? – Mecenas zrobił wielkie oczy, otworzył usta i czekał na wyjaśnienia. Wyglądał teraz trochę jak gigantyczne, niedorozwinięte dziecko.

– Nie lecę – powtórzył Niemcewicz. – Oni przylatują tutaj.

– Z sercem w lodówce? Wytrzyma tyle godzin?

– Z dawcą.

Mecenas skrzywił się jak każdy rasowy prawnik, kiedy domyśla się kłopotów. Nie był to jednak grymas zbyt ostentacyjny. Po sekundzie znów był profesjonalistą. I jako taki uznał, że dopóty sam się nie odezwie, dopóki nie zostanie zapytany. Długo nie

czekał.

– Pamiętasz czasy, gdy gra na akordeonie była czymś niepoważnym, staroświeckim?

– A była kiedykolwiek? – Stern zdumiał się zarówno sensem pytania, jak i tym, czego dotyczyło. – Pierwsze słyszę. Sam posłałem swojego Janka do klasy akordeonu. Gra nam co niedzielę po obiedzie. Jest prawie tak dobry jak ten chłopak, który ostatnio wygrał w telewizji.

Niemcewicz nie ciągnął rozmowy, a Stern domyślił się, że na niego już pora.

– Dobranoc – rzekł na odchodnym. – Jutro rano będzie tak, jak pan sobie życzy.

– Zadzwon po wszystkim. I dziękuję. – Niemcewicz uścisnął dłoń prawnika z powagą i mocno.

Rozdział dwudziesty piąty

Przed świtem Agnieszka zbudziła się z niespokojnego snu. Napiała się wody z kranu, łyknęła syropu z melisy i zanim zasnęła ponownie, spróbowała sobie przypomnieć ten moment, w którym w jej życiu słowa „ojciec” i „tato” zostały zastąpione zaimkiem „on”. To chyba stało się zaraz po tym, jak po śmierci matki, wylądowała w domu pani Halinki. „On. On. On.” – wypowiadała z nienawiścią jej nowa opiekunka.

„On skrzywdził twoją mamusię”. „On jest złym człowiekiem”. „Gdyby nie on, mogłaby pokonać chorobę”. „On ją zabił”. „On dzwonił, ale powiedziałam, że jesteś w szkole”. „On nie zasługuje na taką córkę”. „On nie zasługuje w ogóle na dziecko”. „On przynosi ci wstyd. Dobrze, że nosisz nazwisko po matce”.

To ostatnie zdanie pani Halinka wycodziła znad „Super Ekspresu”, na którego okładce „on” kroczył tanecznie pod rękę z cypatą blondyną znaną powszechnie jako Zaza, wystrojony w nabitą cekinami kretyńską marynareczkę i w bejsbolówce odwróconej daszkiem do tyłu. „I żebyś nikomu w szkole nie chwaliła się, że on ma z tobą coś wspólnego!”.

W końcu Agnieszka też zaczęła mówić „on”. Z pogardą, rezerwą, nietajoną pretensją i koniecznie tak, żeby słychać było, że mówi to z małej litery. Na początku, aby się przypodobać pani Halince, potem z coraz większym przekonaniem i świadomością, o kim tak mówi i dlaczego. A gdy dorosła, dorzuciła do zaimka określenia: „ten pan” i „ten człowiek”.

– Przypominasz mi Niklasa Franka – przyciął jej kiedyś Dżony, czego domyśliła się wyłącznie z tonu jego głosu, bo nie miała pojęcia, kim jest Niklas Frank.

– Kim jest Niklas Frank?

– Synem Hansa Franka, generalnego gubernatora okupowanej Polski.

– Porównujesz mnie do hitlerowskiego zbrodniarza?!

– Nie do zbrodniarza, tylko do jego syna. Tak się wstydzi za ojca, że do dziś mówi o nim zaimkami: on, jego, z nim... Czytałem w jakiejś gazecie.

– Więc mnie rozumiesz. – Zamyśliła się. – A co się z nim stało?

– Ze starym czy z młodym?

– A co mnie młody obchodzi?

– Powiesili go w Norymberdze. Kat źle skonstruował zapadnię i Frank, spadając, uderzył brodą o jej brzeg. Poszedł do piekła ze złamaną szczęką.

Jakoś tak w piątej klasie obejrzeni z Grześkiem na satelicie western, w którym Indianin i kowboj nacięli sobie tym samym nożem przeguby, a potem zetknęli się

nimi na krzyż, żeby broczące nacięcia przylegały do siebie. Braterstwo krwi – symbol przyjaźni bezwarunkowej i na zawsze. Natychmiast w łazience zrobili to samo, a za nóż braterstwa posłużyła im żyletka polsilver, którą pani Halinka usuwała sobie nagniotki.

Czerpiąc natchnienie z filmów, zabawiali się wzajemnie wymyślaniami okrucieństw, jakim oddaliby się, gdyby tylko „on” wpadł w ich ręce. On płonący na stosie. On obierany ze skóry. On wbijany na pal. On wyrzucony za burtę wprost w paszczę wielkiego rekina. On rozrywany na strzępy przez tyranozaura. On topiony, podtruwany, zasztyletowany... Początkowo snuli te swoje krwawe wizje ukradkiem, w odosobnieniu, półgłosem. Później przestali już nawet uważać. „Jaja mu jeszcze utnijcie! I kutasa!”, krzyknęła do nich pewnego razu matka Grzesia z kuchni, gdzie polepszała swój los trzecim tego dnia kieliszkiem wiśniówki i osiemnastym camelem.

Melisa zrobiła swoje i ostatnie trzy godziny nocy Agnieszka przespała kamieniem. Zbudziła się o ósmej, pokrzepiona, zwarta, zdecydowana. Jakby we śnie, którego nie pamiętała, podjęła jakąś szczególnie ważną decyzję.

Odwiedziła toaletę, wymyła zęby, szorując dziąsła nieomal do krwi, i włączyła smartfon, który natychmiast upomniał się o siebie kilkoma miauknięciami. Jak głodny kot, który doczekał w końcu powrotu pana. Spojrzała w lusterko ekranu. Kilka nieodebranych połączeń, kilka kopert smsów. Otworzy je później, najpierw telefon do Grzegorza. Potem na podwórko poszukać Parapeta.

Grzegorz dał się przeprosić bez zbędnych ceregieli.

– Nic się nie zmieniłaś, nerwusko – zaśmiał się. – Potem oddzwonię, bo prowadzę. Też cię kocham. Pa.

Zaglądnęła do kuchni, gdzie kawałkiem chleba Dżony wycierał patelnię z resztek jajecznicy. Spojrzał na nią zakłopotany, jak dziecko przyłapano na wyjadaniu czekoladek z alkoholem.

– Nie miałem sumienia budzić cię na śniadanie. Tak dobrze spałaś.

– Potem sama sobie zrobię. Nie jestem głodna – powiedziała wybacząco.

Wyjęła z lodówki puszkę piwa i wepchnęła ją do bocznej kieszeni bojówek. Widząc uniesioną brew Dżonego, wyjaśniła.

– To nie dla mnie.

– A dla kogo? Dla kota sąsiadów?

– Wychodzę coś załatwić.

– Dowiem się, co?

– Później, Jasiu – zbyła go i wyszła z kuchni. Usłyszała trzaśnięcie drzwi.

Za kilka chwil Dżony, skryty za mgłą firanki, zobaczył swoją dziewczynę, jak podchodzi do siedzącego na ławce zwiędłego Parapeta i wręcza mu piwo, które on

przyjmuje z nabożnością matki po położeniu odbierającej od pielęgniarki swoje dziecko. Agnieszka dała mu chwilę, aby nacieszył się noworodkiem. Pił łapczywie, aż grdyka trzepotała mu się pod skórą jak ryba złapana w siatkę, a pijąc, zmieniał się w oczach: nabierał blasku, zdrowiał, przystojniał, weselał. Trwało to wszystko może pół minuty, magiczna moc klina.

W końcu Parapet wypuścił ustami gaz, odetchnął z ulgą i rozejrzał się wkoło jak człowiek wybudzony ze śpiączki. Wtedy Agnieszka wypowiedziała jakieś słowa, a on zaczął żywo gestykulować jak człowiek zapytany o drogę. Jego dłonie wykonywały skręty, a palec odliczał coś w powietrzu. Wyglądało to trochę tak, jakby ją za coś przeproszał.

Nagle Parapet zastygł z uniesioną ręką, jak dyrygent w punkcie kulminacyjnym, i zaczął się wgapiać się w coś, co musiało zadziać się nieoczekiwanie za plecami Agnieszki. Jakby dostrzegł tam anioła, co mogło nie być dalekie od prawdy, wzięwszy pod uwagę możliwość delirium tremens.

Ze swojego miejsca przy oknie Dżony nie był w stanie dojrzeć, kto tak mocno przykuł uwagę byłej gwiazdy seriali dla młodzieży. Zobaczył tylko, że Agnieszka, wiedzioną spojrzeniem swego rozmówcy, odwraca się i też na moment tężeje. Po czym rusza w stronę osoby, która przerwała jej rozmowę z Parapetem. A ten siada na ławce z niedokończonym piwem i strzyże uszami jak pies.

– Dzień dobry, pani Agnieszko. Wydzwaniam od rana – odezwał się wesoło mecenas Stern, kłaniając się z celowo przesadną szarmancką, najpierw jej, następnie Parapetowi. Ten poderwał się z ławki i dygnał jak uczeń.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? – Mecenas spojrział bystro w oczy Agnieszki. W lewej dłoni trzymał elegancką teczkę z okuciami i zamkiem na szyfr.

– Dzień dobry. Czy my się...? – Spojrzała do góry, przytłoczona jego wzrostem i dosadnością. Wielka głowa osadzona w kołnierzu marynarki rozmiaru XL przywodziła na myśl posąg z Wyspy Wielkanocnej.

– Nie, jeszcze się nie znamy, ale zaraz się poznamy. – Stern wystartował do niej ze swą dłonią kowala, ale uścisk miał delikatny, subtelny, nieomal uwodzący; wiedział, skubany, jak się obchodzić z kobietami.

– Stern. – Ukłonił się i pocałował ją w dłoń. Całował tak, jak lubiła być całowana w rękę: na sucho, bez zwilżania warg śliną, żeby nie zostawiać mokrych śladów, które uważała za obleśne, bo kojarzące się lubieżnie.

– Wyrwał – odpowiedziała oszołomiona. Jeszcze przedwczoraj widziała go w telewizyjnej relacji z Brukseli, gdzie pojechał, aby z byłym premierem omówić szczegóły prawnej obrony, która tamtemu nagle zaczęła być potrzebna.

– I z panem też, jeśli pan pozwoli. – Teraz prawnik podszedł do Parapeta i podał mu rękę. – Joachim Stern. Jestem fanem pana filmów. Mogę je oglądać

w nieskończoność, nigdy mi się nie znudzą.

– Górczewski. Roman. – Napompowany komplementem Parapet zaczął nieomal lewitować nad ławką. Jednocześnie jego instynkt odpowiedział mu, że tego dnia o to, skąd wziąć na picie, nie musi się już troszczyć. Powinien tylko poczekać na właściwy moment.

– Mam tu dla pani pewien ważny list. – Mecenas zwrócił się na powrót do Agnieszki, unosząc nieznacznie teczkę. – Chciałbym, aby przeczytała go pani w mojej obecności.

– Tutaj? – zapytała, rozglądając się po podwórku.

– Proponuję mój samochód, tam nam nikt nie przeszkodzi. – Stern wskazał palcem na róg domu. – Stoję tu, przy Karolkowej.

Gdy oddalali się od ławki, co od tyłu wyglądało, jakby ojciec zabierał córkę z podwórka do domu na obiad, Parapet uznał, że nadszedł jego moment.

– Panie kierowniku! – zawołał. – Panie mecenasie! Mam taką sprawę małą...

Stern nie czekając na wyjaśnienia, sięgnął po portfel i świeżutka setka zmieniła właściciela w podskokach. Mecenas mrugnął znacząco do obdarowanego, co miało oznaczać: „Nie dziękuj i niech to zostanie między nami”. Parapet zrozumiał przesłanie i też przymrużył oko w ten swój łobuzerski sposób, którym swego czasu podbijał serca milionów.

W niemieckiej czarnej terenówce pełnej kantów, która bardziej kojarzyła się z pojazdem służb specjalnych niż z pojazdem elit, mecenas wyjął z teczki szykowną kopertę.

– To jest ten list. Proszę go przy mnie przeczytać.

– Na głos? – Agnieszka wciąż czuła się zaskoczona.

Roześmiał się.

– To nie jest akt notarialny. To jest list osobisty – wyjaśnił i dodał po chwili: – Aczkolwiek niepozbowiony akcentów o charakterze prawnym. Albo raczej... – Poszukał w myślach słowa lub udawał, że szuka. – ... albo raczej zobowiązań prawnych.

– Moich? – zdumiała się.

– Ależ skąd, droga pani. – Skłonił głowę w pokorze. – Proszę najpierw przeczytać list. Mogę wyjść, żeby miała pani komfort – zaproponował i nie czekając na odpowiedź, wyszedł. W tym momencie zabręczała komórka. Agnieszka włożyła dłoń do kieszeni, wymacała przycisk i znów zrobiło się cicho.

Koperta nie była zaklejona. Wyjęła z niej pachnącą lawendą kartkę zapisaną foremnym, odręcznym pismem znamionującym osobę z gustem i klasą. Pierwsze słowo brzmiało: „Przepraszam”.

Gdy skończyła czytać, skinęła głową w stronę Sterna, który stał dwa metry od

samochodu i palił papierosa. Pstryknął niedopałkiem po knajacku, jakby się chciał dostroić do miejsca, w jakim się znalazł, i wrócił do samochodu.

– Widzę, że wzruszyła się pani. Nie dziwię się.

– Czy mogę się z nim zobaczyć? – Czubkiem palca rozgniotła łyzy w kącikach oczu, najpierw w prawym, potem w lewym. Pociągnęła nosem.

– Nie sądzę, aby było to możliwe w najbliższych dniach. Potem pewnie tak. On udaje się na ważną operację, która niekoniecznie może się udać. Dlatego napisał ten list.

– Wiem. Czytałam – odparła. – Co mu dokładnie jest?

– Serce.

– Tyle też wiem, napisał. Ale co konkretnie?

– Gdyby chciał wchodzić w szczegóły, napisałby o tym w liście. – Stern uruchomił swój oficjalny styl i ton. – Ja nie jestem upoważniony.

– Pan też go czytał? – Zamachała mu kartką przed oczyma. – Ten list?

– Tak. Są tam pewne szczegóły finansowe, które wymagały mojej konsultacji.

– Szczegóły?! To są miliony, a nie szczegóły!

– Owszem – przytaknął skwapliwie. – Miliony. Wiele milionów. Ma pani dzieci?

– Nie, a dlaczego pan pyta?

– Bo i one byłyby zabezpieczone do końca życia. I ich dzieci także. I dzieci ich dzieci też. Oczywiście, gdyby im nie przyszło do głowy przehulać takiej fortuny. Historia zna podobne przypadki.

Agnieszka nie chciała poddać się bez walki.

– Całe życie obchodziłam się bez jego pomocy.

– Na pewno? – Stern zrobił wątpiącą minę.

– Ma pan na myśli tę kaucję po bójce pod hotelem. To on?

– Aj, tam, aj, tam... – Machnął lekceważąco ręką. – Co prawda zarzut poważny, ale... wyciągnę was z tego.

– Zlecenie na scenariusz?

Mecenas przytknął dobrotliwie oczy: – Trzeba sobie jakoś pomagać, prawda?

– Coś jeszcze?

– Pamięta pani trzy grube wpłaty na konto polskiego oddziału fundacji Legal Heart? Trzy najgrubsze w ciągu trzech lat?

– Sądziłam, że to darowizny.

– Owszem, od niego.

Trochę trwało, zanim przełknęła tę nowinę. Teraz chciała być już sama, aby móc zacząć wszystko trawić.

– Czy powinnam coś podpisać?

– To nie dokument, to prywatny list, pani Agnieszko! – Znów wyszczerzył zęby, równie białe, co drogie. – A tu jeszcze taki drobiazg. – Sięgnął do kieszonki na piersi i wyjął z niej wizytówkę. – O każdej porze dnia i nocy. Z każdą sprawą, która przysporzy kłopotu. Nawet, jeśli miałby to być tylko mandat od straży miejskiej. – Wsunął kartonik między jej palce i zapytał: – Czy coś mu mam przekazać? Bo będę się widział.

Zaskoczył ją tym pytaniem. Stężała w namyśle.

– Że będę trzymała kciuki. I że chcę się zobaczyć. I że... – Uniosła do góry list. – I że bardzo, bardzo dziękuję. To zmieni...

– To zmieni całe pani życie – dokończył Stern i odpalił silnik, dając tym do zrozumienia, że jego czas jest bardzo cenny.

Zanim wysiadła, zadała ostatnie pytanie: – Czy panowie są na ty?

– Można powiedzieć, że jednostronnie – zaśmiał się Stern. – Domyśla się pani, w którą stronę... Ale... Skąd to pytanie?

– Bo ciągle pan mówi „on”, „jego”, „mu”. Jak o kimś obcym.

– A jak powinienem mówić?

– A bo ja wiem? – Wzruszyła ramionami. – Witek... Pan Witold... Albo... – Zawahała się.

– Albo...? – ponaglił.

– Albo „pani ojciec”. W sensie, że... Że mój...

Wyskoczyła z auta, trzasnęła drzwiami. Nie pożegnała się, żeby nie widział łez. Bo choć i tak je już zobaczył, to nie w takiej obfitości i bez akompaniamentu spazmów, jakie zaczęły nią wstrząsać. Na szczęście pojawił się Dżony, zaniepokojony tym, co zobaczył z okna.

Gdy wybeczała się do sucha na jego ramieniu, i gdy on też przeczytał już list, spytała, czy ma przy sobie kartę do bankomatu. Miał. Wzięli do towarzystwa Parapeta i całą trójką ruszyli do lombardu na Okopowej, aby odzyskać serce ze złota, które Parapet tam zastawił, zyskując dzięki temu tydzień alkoholowego komfortu najwyższych lotów.

Serca jednak już nie było.

– Jakiś facet kupił. Dla córki. – Właściciel kantoru rozłożył ręce. – Powiedział, że ma w przyszłym roku komunię. Nawet napisu nie trzeba zmieniać. Tylko dopisać datę.

Gdy wrócili do mieszkania, Agnieszka nie wiedząc, czym zająć myśli, usiadła do pisania scenariusza. Powiedziała sobie, że skoro teraz już wie, kto go zamówił, tym bardziej powinna się przyłożyć.

W głowie wirowała pralka: kolorowe z białym, syntetyczne z naturalnym, czyste z brudnym – i wszystko na najwyższych obrotach. Postanowiła opanować ten chaos

pisaniem. Włożyła do uszu słuchawki i zapodała sobie przy maksymalnej głośności koncert skrzypka Mateusza Smoczyńskiego. Nowe objawienie polskiego jazzu, świeża, kipiąca krew, następca samego Zbigniewa Seiferta... Pomogło: zdołała wycisnąć z siebie ważną scenę.

SERCE NR 62

WNĘTRZE. SAMOLOT – NOC

W przedziale business class jedno z siedzeń, to przy oknie, rozłożone jest jak do leżenia. Śpi na nim przykryty pledem Więzień nr 62. Ma na sobie białą koszulę, czarna marynarka wisi na wieszaku obok. Spod pledu wystają stopy w skarpetach, a szykowne oxfordy spoczywają na podłodze, ułożone po wojskowemu. Na oczach mężczyzny czarna maska do snu, która upodobnia go nieco do zaślepionego Zorro. Słyszać BUCZENIE silników.

Na siedzeniu obok podróżuje MŁODY BIZNESMEN. To Azjata. Ma wygląd poważnego technokraty, światowca. Potem jest przejście między rzędami i dalej już fotel, na którym rozłożył się STARSZY BIZNESMEN. Ten ma wygląd starego dyplomatycznego wyjadacza. Miejsce obok niego pozostaje wolne, leżą na nim jakieś poważne gazety.

Posągowa STEWARDESSA o słowiańskiej urodzie i inteligentnej twarzy przynosi dwie szklance z whisky i wręcza je obu biznesmenom – młodemu i starszemu. Wskazuje uprzejmym gestem na śpiącego i pyta wzrokiem, czy czegoś mu potrzeba. Młody Biznesmen kręci przecząco głową.

Do rzeczywistości przywróciło ją klepięcie w ramię. Odwróciła się. Zobaczyła zakłopotanego Dżonego i spąsowiałą z gniewu Martę. Jej zastępczyni miała na szyi ten swój idiotyczny wisior z Chrystusem dyndającym głową do dołu. Smoczyński mocnym akordem zakończył właśnie koncert, rozległy się brawa, a gdy zaczęły cichnąć Agnieszka usłyszała pełen irytacji głos Marty:

– Nowy Jork dzwoni do ciebie od wczoraj!

Oczy Agnieszki zrobiły się wielkie jak żetony do ruletki.

– Tom się wścieka – ciągnęła Marta, nie bez nuty osobistej satysfakcji. – Kazał ci powiedzieć, że jak się szefuje tak ważnej instytucji, to się powinno być on line. – Odczekała i wycodziła raz jeszcze dużymi literami: – On Line...

– Co się stało? – zapytała Agnieszka, trochę bardziej jak podwładna, a nie jak szefowa.

– Chirurg przylatuje do Polski!

– Chirurg przylatuje do Polski... – Powtórzyła te słowa powoli i zerknęła na tekst, który dopiero co skończyła pisać. Znów nasza ją natrętna myśl, że w życiu nie ma przypadków.

Gdy Marta uznała, że jej szefowa oswoiła się już jako tako z nowiną, dorzuciła tonem sensatki:

– Jutro. Najprawdopodobniej z dawcą!

Równie dobrze mogła zdetonować granat.

Rozdział dwudziesty szósty

Pierwszy pocisk trafił tuż ponad nasadę nosa, dokładnie pomiędzy dwie ukośne brwi. Z daleka wyglądało to jak bindi, święta kropka na czole wyznawców hinduizmu, która chroni znajdujący się tam czakram przed ubytkami energii. Skoro tak, to teraz energia uchodziła z czakramu przez otwór o średnicy 5,56 mm, bo taki był kaliber pocisku wystrzelonego z karabinka szturmowego M4A1.

Drugi pocisk wyrwał dziurę w prawym policzku Azjaty, trzeci ugodził go w brodę, czwarty w szyję, tam, gdzie siedzi sobie grdyka, a piąty urwał mu lewe ucho. Cztery dziesiątki, jedna dziewiątka, snajperski wynik. Walter Brown gwizdnął z uznaniem, opuścił lornetkę i nacisnął guzik mechanizmu, a wtedy tarcza z głową Azjaty ruszyła po szynie w ich stronę.

– Gdzie nauczyłeś się tak strzelać? – zapytał.

Tom Wildstein odłożył M4 na blat, sięgnął po czerwony flamaster i skreślił trafienia krzyżykami.

– Przecież wiesz – odparł i teraz to on nacisnął guzik. Skośnooka twarz zaczęła się oddalać, aby znów posłużyć za cel. – Twoja kolej, panie agencie.

Walter Brown złapał za karabinek, przyłożył kolbę do ramienia i bez ceregieli wywalił w stronę tarczy pięć kul. Gdy przywołali papierowego Azjatę, okazało się, że wszystkie przeszły obok celu.

– Jestem przyzwyczajony do innych tarcz – próbował usprawiedliwiać się agent.

– Do takich z turbanem? – zaśmiał się Tom. – Wiesz, że te tarcze to celowe stygmatyzowanie? Moglibyśmy za to beknąć przed sądem. A ty straciłbyś robotę. Za rasizm.

– To prywatna strzelnica na prywatnym gruncie – odparł Walter i zabrzmiało to jak ostrzeżenie. – Poza tym teraz już można.

– Teraz?

Walter Brown potaknął głową: – Epoka Donalda. Ostatnio z chłopakami waliliśmy tu do wizerunku Baraka. Dużo celniej. – Posłał Tomowi wymowne spojrzenie.

Raz na miesiąc Tom i Walter spotykali się na strzelnicy. Męska chwila wytchnienia połączona z męską gadką i męską wyzerką. Żeberka, steki, piwo. W międzyczasie rozwiązywanie problemów, jak oględnie nazywali to, co ich połączyło, i czemu obaj oddawali się za zapamiętaniem.

– Skoro już o Donaldzie... – zagaił Tom, gdy skreślił pisakiem nietrafienia Waltera i odesłał Azjatę na swoje miejsce. – Podobno zamierza nałożyć sankcje na

komendanta policji w Pekinie? O co tam chodzi?

– A ty skąd wiesz? – zdumiał się tajny agent. – To na razie zastrzeżone informacje. Konferencja prasowa dopiero za tydzień.

Tom przeładował broń.

– Zapomniałeś, że znamy się dobrze z pastorem Fu. On wie wszystko. Wspomniał mi o tym wczoraj przez telefon, ale w trzech słowach, bo nie był sam.

Pastor Bob Fu, legendarny tajny agent Boga w komunistycznych Chinach. Szef organizacji China Aid 24, niezmordowanie pomagający chrześcijanom gnębianym za Wielkim Murem.

– Skoro tak, to ci powiem. – Walter Brown ożywił się jak każdy, kto dostał sekretu i może o nim poplotkować w sposób nieskrępowany, bo właśnie został zwolniony z tajemnicy. – Ten komendant... Gao Yan. Kawał bydlaka. – Splunął i przyłożył lornetkę do oczu, bo Tom, przyjmując modelową pozycję strzelecką, mierzył do skośnookiego.

– Przez sześć miesięcy trzymał w areszcie aktywistkę na rzecz praw człowieka. Miała gruźlicę, marskość wątroby, ale odmawiał jej lekarza. W końcu zapadła w śpiączkę i zmarła. Nazywała się... – Walter oderwał lornetkę od oczu, wyjął z kieszeni smartfon i połaskotał go kciukiem. – Nazywała się Cao Shunli.

I wtedy Tom wystrzelił. Bum! Bum! Bum! Bum! Bum!. Policzek. Czoło. Usta. Oko. Policzek. Pięć razy zgon. Tyle Walter zobaczył przez lornetkę. Znów gwizdnął i nacisnął guzik automatu. Podziurawiony Azjata podjechał na szynie.

– I co teraz? Ustawa Magnitskiego? – zapytał Tom, obrzuciwszy tarczę kontrolnym spojrzeniem profesjonalisty.

– Tak, dokładnie – rzekł Walter Brown. – Ta ustawa ma moc także i w przypadku tego żółtka.

Globalna ustawa Magnitskiego, uchwalona w 2012 przez amerykańską Izbę Reprezentantów i zakazująca wjazdu do USA rosyjskim urzędnikom odpowiedzialnym za śmierć Siergieja Leonidowicza Magnitskiego. Ten prawnik i whistleblower, który szefował moskiewskiemu oddziałowi funduszu Hermitage Capital Management, ujawnił machlojki tamtejszych organów skarbowych. Dotknął nietykalnych. Aresztowany pod fałszywymi zarzutami, zmarł w rosyjskiej celi w tajemniczych okolicznościach. Tom swego czasu śledził tę historię w sieci z zaciekleścią fana futbolu.. Łajdakom objętym ustawą Magnitskiego Ameryka nie tylko nie pozwala postawić stopy na swej ziemi, ale i zamraża aktywa bankowe tam, gdzie tylko jest to w jej mocy.

– Ten komendant policji w Pekinie trzymał w Ameryce jakieś pieniądze? – spytał Waltera, wręczając mu karabin.

– Próbujemy się tego dowiedzieć. Na osobistą prośbę prezydenta. – Agent uniósł

dłonie w geście odmowy. – Nie chce mi się już strzelać. Dostyc na dziś. Żeberka stygną...

Tom, działając jak samonastawny robot, rozbroił karabin z magazynka, odjął od niego lunetę, złożył kolbę, po czym schował wszystko w walizce przypominającej futerał na instrument. Trwało to nie dłużej niż dziesięć sekund.

– Idziemy.

– Burczy mi w brzuchu.

– Słyszę. Ale... – Tom przystanął na chwilę. – Powiedz mi wreszcie, kiedy ustawą Magnitskiego nasza administracja obejmie też Chirurga?

Walter Brown lekko się zafrasował. Odwrócił się i wskazał na podziurawioną tarczę z twarzą Azjaty:

– To byłoby dużo lepsze rozwiązanie.

– Pierwszy nacisnąłbym spust! – prawie krzyknął Tom. – Ale nikt na to nie da pozwolenia. To nie są lata siedemdziesiąte! Więc kiedy ta ustawa obejmie Chirurga?

– To zależy tylko od prezydenta.

– To zależy tylko od tego, co wy powiecie prezydentowi.

– To, co mu powiemy, zależy od tego, czego Chirurg dopuści się w Polsce.

– Ale czego chcecie, aby się dopuścił?

– Sami nie wiemy, czego konkretnie chcemy! – zdenerwował się tajny agent. – Sytuacja jest dynamiczna, wszystko może się zdarzyć... Niech ta twoja pracownica z Warszawy obserwuje go i o wszystkim ci melduje. Ona w końcu odebrała telefon?

– Miałem kontakt z jej zastępczynią – uspokoił go Tom. – Wszystko pod kontrolą. Zaraz do niej zadzwonię.

– Niech naszczuje na Chirurga dziennikarzy. Niech zrobi demonstrację, hałas. Dużo hałasu.

Szli zwirową ścieżką w stronę parkingu. Od strony rzeki Hudson zahuczała okrętowa syrena, jakby na rozkaz.

– Ostatnim razem, gdy robiła hałas, wylądowała w areszcie.

– Pomogłeś jej? – Walter Brown przystanął i zajrzał w oczy Toma. – Daliśmy ci przecież pieniądze.

– Nie trzeba było. Ktoś wpłacił kaucję. Jakiś anonim.

– Ruscy? Lubią zamieszać.

– Nie sądzę – pokręcił głową Tom. – To raczej jakaś osobista przysługa. Ale dlaczego wy nie zwróćcie się tym do polskich służb.

Walter prychnął i przewrócił oczami. – Po-li-ty-ka... – wycedził. – Za kilka dni ich prezydent leci do Chin. Ważne umowy handlowe, te sprawy. Dy-plo-ma-cja...

– Dy-plo-ma-cja... – przedrzeźnił go Tom Wildstein. – Białe rękawiczki. Więc

ręce ma sobie za nas pobrudzić młoda kobieta z Polski...

– Tam u nich teraz podobno niewesoło – westchnął agent. – Cenzura w mediach. Zniewolone sądy... Dyktatura.

Tom spojrział na towarzysza jak na kogoś, kto nagle zaczął szczekać. Świerbiło go, żeby dokuczyć Walterowi.

– Byłem niedawno w Warszawie – odezwał się. – Skąd ty takie bzdury...? Ty, analityk służb? A gadasz jak redneck.

– Pamiętaj, że jestem specjalistą tylko od Azji – obruszył się agent. – U nas obowiązuje wąska specjalizacja. A Polska czy Rumunia...? – Wzruszył ramionami. – Wsio ryba, jak mówią Rosjanie. – Pierwszą część zdania wymówił w oryginale i z całkiem niezłym rosyjskim akcentem, co było efektem nasłuchu i kilku nieoficjalnych spotkań z przedstawicielami Służby Wywiadu Zagranicznego Federacji Rosyjskiej. – A o Polsce czytałem w New York Timesie.

Tom zarechotał. Wysylabizował z lubością:

– Żet-Em-Pe-i-Pe...

– Żet..? Em..? Co...? – Walter był lekko skołowany.

– Żydowska Maszyna Postępu i Propagandy – wyjaśnił Tom i dalej rechotał. – Tak mówią na tę gazetę w Teksasie.

– Gadasz jak antysemita. – Walter uniósł brwi po belfersku, na wszelki wypadek, bo nie wiedział, w którą stronę zmierza dyskusja.

– Mnie wolno, jestem Żydem – powiedział Tom, wciąż rozbawiony.

– Ale przechrztą. – Walter wszedł w konwencję żartu.

– Za to oni są bezbożnikami – odparował Tom. – Ci z New York Timesa. I jeśli już o tym mówimy, to akurat oni są największymi antysemitami.

– Tak, tak, tak... Słyszałem to od ciebie wiele razy. Najmądrzejsi Żydzi pracują dla Izraela, najgłupszy dla New York Timesa. Puściłem to nawet między ludzi. Poszło w świat. – Walter uniósł dłoń z telefonem.

– Wiem, widziałem na twitterze samego prezydenta – uśmiechnął się Tom. – Najlepsze przysłowie, jakie mi wyszło w życiu.

Doszli do parkingu, a wtedy Walter włożył rękę do kieszeni spodni i wymacał pilot do samochodu. W tej samej chwili Buick Riviera Boattail z 1972 roku jęknął i zamrugał światłami do swojego pana. Tom zawsze miał z tym poważny kłopot, aby uwierzyć, że mężczyzna, który wygląda na takiego pierdołę, ma aż tak demoniczne auto. Tajny agent – tajna dusza? Włożył futerał z bronią do bagażnika, który był większy niż jego rodzinne jacuzzi.

– Myślisz, że dobrze zrobił przenosząc naszą ambasadę do Jerozolimy? – spytał Walter, gdy rozsiedli się już w aucie. Stara, spękana skóra skrzypiała rozkosznie.

– Zostawmy Jerozolimę, wróćmy do Warszawy! Co ma zrobić ta biedna

dziewczyna?

– Już mówiłem. Niech robi hałas. Media, pikieta, pomidory w samochód...

Rozdział dwudziesty siódmy

– Hałas?! – wrzasnęła Agnieszka, bardziej do siebie niż do pasażera. – Mam, kurwa, robić hałas?! – Walnęła ręką w kierownicę. – Po-mi-do-ry?!

Raz jeszcze uderzyła w kierownicę, trafiając przypadkiem w klakson, który jakiś szpenio od designu wbudował w obręcz kierownicy, a nie tradycyjnie w jej środek. Zatrąbiło.

Mężczyzna na pasach aż podskoczył przed maską, po czym przybrał postawę owczarka niemieckiego na chwilę przed atakiem.

– Spadaj, dupku, to było niechcący – wysyczała przez zęby, uśmiechając się i składając dłonie jak do przeprosin, aż przechodzień sobie poszedł.

– Co za typ – mruknął pasażer, po czym wykończył „małpkę” z pigwówką.

– Miałeś nie pić – napomniała go.

– Właśnie skończyłem. – Wepchnął buteleczkę w kieszeń na drzwiach, między mapy i stare gazety.

Nad zebrań wyskoczyło zielone. Ruszyli.

Miasto oddychało miarowo spaliną, a oni przesuwali się w stronę Okęcia, będąc częścią porannego korka, który zaczopował stolicę od Wisły aż do wylotu na Kraków. Radio straszło zamordyzmem i agresją, jaka według prowadzącego rozwieliła się gdzie nie spojrzeć, więc zaczęła z irytacją kręcić gałką, aż złapała zbiorową modlitwę. „Aniele boży, stróżu mój...”. Pasażer posłał jej krytyczne spojrzenie.

– Przyda nam się modlitwa – wyjaśniła.

– A wie pani, że ja za chłopca byłem ministrantem?

– Przejdźmy na ty. Agnieszka... – Oderwała rękę od kierownicy i podała mu dłoń, a on oddał uścisk.

– Parapet. Znaczy, Roman.

Kilka godzin wcześniej leżała w ciemności na wznak, mając otwarte oczy i ręce założone za głowę. Obok, w takiej samej pozycji, leżał Dżony. Nie chciało im się spać, nie mieli ochoty na seks, nie byli głodni. Byli zmęczeni rozmową i wypełniał ich lęk.

– Falung Gong, praktyka doskonalenia ciała i umysłu – odezwała się. – Kilka milionów wyznawców. Władze uznały ich za sektę, a liderów wtrącają do obozów. Podobnie jak chrześcijan.

– Mówiłaś to już trzy razy. Wiem, co to Falung Gong – odpowiedział z tłumioną

pretensją, lecz ona miała gdzieś jego wyrzut.

– Wiozą tu serce w żywym opakowaniu. Trzeba mieć tupet... Ciekawe, jaki bydlak je sobie zamówił.

– Skąd wiesz, że akurat serce? – zapytał.

– Bo z każdym innym narządem zdążyliby okrążyć świat, wioząc go w lodówce. A na serce masz tylko cztery godziny. Potem do wyrzucenia.

Oboje nie chcieli uwolnić podejrzeń, które jazgotały im w głowach niczym sfera posokowców, a każdy na smyczy strachu. Bo strach było nawet pomyśleć, cóż dopiero powiedzieć.

Pierwszy ośmielił się Dżony.

– Będą go tu musieli zabić.

– I pozbyć się ciała...

– Spalą?

– Skąd mam wiedzieć?

– Jesteś szefową polskiego oddziału Legal Heart.

– Ale nie pomocnicą gangsterów!

– Mogą rozpuścić w kwasie.

– Albo zakopać w lesie.

– Wrzucić do rzeki.

– Albo poszatkować i sprzedać jako wieprzowinę po seczuańsku w budzie przy Świętokrzyskiej!

Zerwała się z łóżka. Zaczęła krążyć po ciemnym pokoju.

– Jezu, Jasiu! Co my wygadujemy?! To nie jest film! A ja nie piszę scenariusza! – Przystanąła. – Hej! To się dzieje naprawdę. Tu i teraz! Gadamy od tym od godziny!

– Wiem! – warknął. – Dlatego w to nie wchodzę. Przynajmniej nie w wersji, którą zaproponowałaś. To szaleństwo.

– Zostawisz mnie z tym samą?

Wróciła na łóżko i przytuliła się do niego. Nieładnie pachniał, specyficznie. Spocił się strachem. Nie przeszkadzało jej to, teraz śmierdziała identycznie.

– Nie zostawię cię – odpowiedział. – Ale nie pozwolę na głupotę. Mówiłem już, że trzeba z tym na policję.

– Zleją sprawę. Po ostatnim mają nas za oszołomów. A Chirurg to dla nich szycha. Międzynarodowy biznes. Prawie jak dyplomata. Albo nawet ważniejszy.

– To zrób tak, jak doradził ci szef z Nowego Jorku...

– Demonstracja? Hałas? Media? Pomidorami w samochód? – wyliczała. – Gównu to da. Ci z telewizji interesują się tematem tylko wtedy, gdy jest świeży. Potem mają cię w dupie. Poza tym dziś wszyscy podniecają się protestem pod Sejmem... Musimy

to zrobić po mojemu.

- Kobieto, mówiłem ci już, że...
- Nie mów do mnie „kobiet”! – przerwała mu. – Nie lubię.
- Bo?
- Zbyt protekcjonalne!
- A ty co? Po warsztatach z agresywnego feminizmu?
- A ty co? Po warsztatach z chamstwa?
- Wiesz, co? Nie szalej.
- Wiesz, co? Nie pierdol!

Po tych słowach już się do siebie nie odezwali. Gdy zaczął chrapać, ubrała się, zabrała mu ze spodni kluczyki do volkswagena, a z puszek po herbacie wyjęła kilka banknotów i wymknęła się z domu.

Do świtu przesiedziała na ławce, popatrując na budzącą się Wołę. Starsi ludzie człapiący po świeże bułki, mimo że powinni w tym wieku jadać czerstwe. Facet na kacu pomykający do całodobowego. Niezłomny czytelnik tradycyjnej prasy z gazetą pod pachą. Gadający korpoludek z telefonem przyspawanym do policzka. Właściciele psów poganiający swoje zwierzęta do szybkiego wypróżniania się. Jakaś emerytka napełniająca karmę miski dla kotów.

A potem przyszedł Parapet, grzecznie się przywitał i wtedy Agnieszce wpadł do głowy szalony pomysł.

– Panie Romku, pomoże pan? Życiowa sprawa. Potrzebuję męskiego wsparcia. Dobrze zapłacę.

- Trzeba coś wnieść po schodach? – zainteresował się.
- Żadnego dzwigniania. Wyjaśnię w samochodzie. Ma pan telefon z dzi-pi-esem?

Wyjął z kieszeni zapomniany model telefonu. To była stara dobra Nokia 8110 z końca lat dziewięćdziesiątych. Słynny „banan” z wysuwaną klapką, który zagrał w filmie Matrix. Podsunął komórkę pod oczy Agnieszki, zdezorientowany, zakłopotany, przepraszający całym sobą.

- Nie mam pojęcia, czy ma dzi...

Agnieszka aż gwizdnęła z podziwu.

– Jezu słodki, kto dziś jeszcze tego używa?! – Machnęła ręką. – Pieprzyć dzi-pi-es! Jest pan gotowy?

Ożywił się. Przeczesał palcami czuprynę, przetarł oczy, poprawił kołnierzyk koszulki polo. Jakby mu się nagle trafił casting do serialu.

– Tylko skoczę do Promilka. Lekarstwo... – Mrugnął i czmychnął, wyglądało na to, że boi się, iż Agnieszka spróbuje go zatrzymać

Wrócił za kilka minut. Ział alkoholowym chuchem i optymizmem.

– Jestem gotowy, pani kierowniczo.

Na Grójeckiej jej komórka zakwiliła. Numer zastrzeżony. Na ogół nie odbierała takich telefonów, bo oznaczało to męczącą rozmowę z jakimś ankierem lub naganiaczem banku. Wyciszyła dźwięk i patrzyła na pulsujący ekran. Ktoś wyraźnie się do niej dobijał. A jeśli to kolejny telefon od Toma? Mógł dzwonić ze stacjonarnego, może wtedy polska sieć nie identyfikuje numeru?

– Halo?

Po drugiej stronie panowała cisza, ale nie głucha. Jakiś szmer, jakieś echo, szum, szelest... Jakby ktoś się przyczytał. Jakby zadzwonił tylko po to, żeby ją usłyszeć.

– Tato? – Sama nie wiedziała, kiedy to słowo wyleciało jej z ust. Spojrzała spłoszona na Parapeta, ale ten gapił się na Warszawę, przesuwaną się za oknem jak dekoracja na kółkach. Nieporuszony, nieobecny, przyklejony czołem do szyby.

W słuchawce dało się słyszeć czyjś oddech. Subtelny, niewyraźny, ale na pewno oddech.

– Tato, to ty? – Teraz już się nie krępowała. – Tato? Odezwij się.

Bez odzewu.

– Tato, jeśli to ty, to wiedz, że przeczytałam twój list. – Agnieszka odczekała chwilę w nadziei na reakcję. Lecz ta nie nastąpiła.

Powiedzieć najważniejsze? A jeśli to nie on? A jeśli on mówi teraz do kogoś obcego? Do kogoś przypadkowego? Lub co gorsza, pełnego złej woli z przyczyn, których teraz nie sposób dociec? Albo w pustkę, bo zwiódł ją szmer na linii, podobny do oddechu?

– Tato, jeśli to ty, to chcę, żebyś wiedział, że przeczytałam twój list... – powtórzyła, lecz nie zamknęła zdania kropką.

Brzmiało to jak wstęp do najważniejszego. Wstęp, który oprócz tego, że jest retoryczną figurą, to daje czas do namysłu i szansę na ucieczkę. Zastanowiła się, czy chce uciekać. Nie chciała. Wzięła oddech jak skoczek przed saltem śmierci.

– Tato... Tatusiu... Preczytałam twój list i muszę ci powiedzieć, że... – I w tym momencie połączenie zostało przerwane. Słuchawka wypełniła się buczeniem, a słowa, które miały być wypowiedziane, rozsypały się natychmiast na litery jak kostki scrabble zrzucone z planszy nieuważną ręką.

Wysoka kobieta po drugiej stronie linii pośpiesznie wykasowała numer z listy wybieranych i odłożyła ajfon na krzesło przy korcie. Złapała raketę i spojrzała w stronę, skąd dochodziło skrzywienie sportowych butów.

Mecenas Stern zbliżał się, zapinając rozporek w swych tenisowych szortach. Pod pachą niósł rakietę. Miał wyzywające spojrzenie.

– Odcedzony – rzekł radośnie. – Możemy zaczynać.

– O ile znów nam nie przeszkodzi twój najważniejszy klient. – Wskazała głową na krzesło z telefonem.

– Nie ma obawy, wyjechał na operację. – Mężczyznę wyjął z kieszeni piłkę, odbił ją o kort, złapał i zapytał: – Rozgrzewka czy łoimy od razu?

– Łoimy – odpowiedziała, choć nie podzieliła entuzjazmu partnera. Gotowało się w niej ze złości.

Gdy minutę temu, wiedzioną niewytłumaczalnym przecuciem, grzebała mu w telefonie i odkryła aż osiem wybieranych połączeń do kogoś, kto na liście kontaktów figurował jako Agnieszka, sądziła, że natrafiła na trop kochanki. I właśnie dowiedziała się, że to jego córka, o której nigdy wcześniej nawet nie wspomniał. Nieźle się przyczaił, skurwiel. Nie wiedziała, co gorsze, i musiała się nad tym porządnie zastanowić. Na razie odbiła wściekle jego serw i zdobyła szybki punkt. „Rozjebię dziś gnoja!”, obiecała sobie w duchu.

Rozdział dwudziesty ósmy

Terminal na Okęciu przypominał akwarium pełne kolorowych rybek, a każda, niczym ogon, ciągnęła za sobą walizkę na kółkach. Przy czym nierzadko ogon był bardziej pstrokaty od właściciela. Niektóre okazy miały na sobie sportowe plecaki, częstokroć obwieszane linami i czekanami, co zawsze i wszędzie oznacza rybę-drapieżcę. Natomiast szare bazarowe gupiki dźwigały nylonowe torby w kratę, te przenoszone siłą mięśni odpowiedniki kontenerów na TIR-a, które bywają tak otchłanne, że mieści się w nich cały dawny Sowiecki Sojuz, przynajmniej mentalnie.

Co jakiś czas przez akwarium przemykało zwarte, zdyscyplinowane stadko stewardess, na ogół granatowych, rzadziej bordowych, prowadzone przez napuszonego samca w białej koszuli i w czapce z kapitańskim szamerunkiem na daszku.

Skryta za reklamowym standem, Agnieszka wpatrywała się w bramę z napisem „arrivals”. Samolot, na który czekała, przyleciał jakiś czas temu i pasażerom na pewno skontrolowano już paszporty, a teraz łowią oni swoje walizki na karuzeli bagażami. Za chwilę zaczną się pojawiać w hollu przylotów... Są!

Bacnie lustrowała podróżnych, przekraczających bramkę. W większości byli to Azjaci. Niektórzy rozglądali się, jakby wypatrywali krewnych i znajomych lub tabliczek ze swoimi nazwiskami trzymanyh przez przewodników i kierowców; inni szli pewnie przed siebie, świadomi celu, którym był najczęściej parking lub postój taksówek.

Aż pojawili się ci, na których czekała. Trzej faceci w czerni, niczym trzej poważni biznesmeni, którzy przyjechali zacieśniać stosunki gospodarcze i dobijać targu. Dwóch Agnieszka znała ze zdjęć i z dokumentów. Trzeci wyglądał jak ubrany w garnitur Bruce Lee albo Jackie Chan i kroczył jak w stuporze. Był na wpół śnięty, jakby mu zaszkodziła długa podróż lub nadmiar trunków na pokładzie.

Wzięli go między siebie, jak sanitariusze chorego, a jeden z mężczyzn, ten młodszy, podtrzymywał go dodatkowo dyskretnym, acz stalowym chwytem prawej dłoni. Lewą popychał wózek z dwiema walizkami. Zaledwie dwiema, zauważyła bystro Agnieszka.

Sięgnęła po telefon.

– Przylecieli. Ruszaj. I nie rozłączamy się!

– Tak jest! – rzucił Parapet do swojej Nokii z klapką, przycisnął ją ramieniem do policzka i przekręcił kluczyk. Przez moment poczuł się jak haker Neo z kultowego filmu.

Siedział za kierownicą volkswagena, którego powierzyła mu Agnieszka i obracał językiem w ustach mocnego miętusa, żeby zabić alkoholowy chuch. Gdy zostawiła go na parkingu z konkretnymi wskazówkami, nawet nie spytała, czy ma prawo jazdy. Może to i lepiej... Nie miał od 15 lat, kiedy to w Nowy Rok złapano go na trasie do Łodzi z czterema promilami we krwi, choć jak potem w sądzie przyznawali zgodnie zarówno policjanci, jak i pielęgniarze, którzy pobierali mu krew, jego stan wskazywał na lekki zaledwie rausz.

Zaparkowali w strefie „Kiss & Fly” z pełną świadomością, że przekroczą darmowy limit czasu, więc opłata będzie zbójcka. Agnieszka zostawiła Parapetowi kilka banknotów i kazała czekać. Sama miała doczekać przylotu Azjatów w terminalu, a potem wyjść za nimi z hali przylotów na postój, gdzie zapewne podjedzie po nich jakieś auto lub wezmą tam taksówkę. W międzyczasie, zaalarmowany telefonem, Parapet powinien wyjechać z położonej przy hali odlotów strefy „Kiss & Fly” i podjechać po nią do hali odlotów. Potem oboje mieli śledzić samochód z Azjatami. I właśnie ten moment nastąpił. Tyle, że...

– O, kurwa, Parapet! Tu są dwie bryki – krzyknęła do słuchawki Agnieszka na widok dwóch czarnych identycznych mercedesów, które wystartowały z bocznego pasa, gdy tylko trójka Azjatów pojawiła się na chodniku. Ich kierowcy musieli mieć jakieś specjalne przepustki, a może wystarczyły im tylko chorągiewki dyplomatyczne sterczące z masek samochodów. Agnieszka nie zdołała rozpoznać, jakiego państwa były to flagi. Widziała tylko, że były czerwone.

Po minie Chirurga można było poznać, że tych właśnie aut się spodziewał. Otworzył tylne drzwi pierwszego mercedesa, a jego asystent posadził tam otępiatego mężczyznę i warknął coś do kierowcy, który w międzyczasie wyskoczył z samochodu, chcąc być pomocnym. Szofer wrócił za kierownicę. Był to niski skośnooki mężczyzna odziany w dresy, które w żaden sposób nie licowały z dostojnością pojazdu, jakim powoził.

W tym samym momencie Agnieszka dostrzegła volkswagena prowadzonego przez Parapeta. Idealna synchronizacja. Stary aktor przyciskał ramieniem do policzka swój stary telefon.

– Nie zatrzymuj się. Jedź od razu za tym pierwszym merolem! – rozkazała i zobaczyła, jak Parapet kiwnięciem głowy potwierdza przyjęcie rozkazu. Mercedes właśnie oderwał się od krawężnika. Volkswagen siadł mu na ogonie.

W tym czasie Chirurg z asystentem mościli się w drugim samochodzie, podczas gdy kierowca układał w bagażniku ich walizki. Ten szofer ubrany był należycie: w marynarkę i koszulę, miał też europejskie rysy.

– Ja biorę taryfę i ruszam za tym drugim merolem – zakomunikowała do telefonu Agnieszka i machnęła na białą taksówkę z mnóstwem jedynek na burcie. – Zadzwoń za jakiś czas. A ty rób zdjęcia. Tablice rejestracyjne, samochód, gęba kierowcy jak

wysiądzie, bo gdzieś musi – rozkazała i rozłączyła się. Nieco za wcześnie, ponieważ nie zdążyła usłyszeć rozpaczliwego głosu Parapeta:

– Ale przecież moja komórka nie ma aparatu!

Wskoczyła to taksówki, na tylne siedzenie, bo na przednim kierowca porozkładał jakieś papiery. Stary sposób stołecznych taksówkarzy, aby nie mieć pasażera obok siebie. Nigdy nie próbowała dociec przyczyny tej niechęci. Może zada to kiedyś studentom do reporterskiego rozwikłania w ramach treningu z dziennikarskiej ciekawości.

– Za tym mercedesem. – Pokazała palcem na limuzynę z trzema Azjatami.

– Pani ma mnie za idiotę? – zapytał taksówkarz, odwracając się do niej całym ciałem. Wyglądał na szczerze zgorzonego. – Mam śledzić żółtków? Po co mi kłopoty?

Agnieszka pogmerała w kieszeni i wyjęła zmiętoszony papierek. Rozprostowała go, wyprasowała na kolanie. Król Zygmunt Stary od razu nabrał majestatu. Pomachała banknotem do kierowcy, ale nie wyglądał na przekonanego.

– Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego! – rzuciła. – Jak dojedziemy, dorzucę drugie tyle.

– Legitymacja – postawił warunek. – Proszę pokazać.

Zrobiło się nieciekawie, ale nie miała nic do stracenia. A właściwie – miała do stracenia wszystko.

– Żebyś poznał moje nazwisko? – huknęła na taryfiarza. – To tajna akcja! – dorzuciła, pełna podziwu dla siebie samej. Skąd jej się na poczekaniu brały takie teksty? I to nagłe taktyczne przejście na „ty”.

Podziałało. Spokorniał, schował się w skorupę obojętności, choć wcześniej jego palce zwinnie przejęły banknot. Wrzucił kierunkowskaz, odbił w lewo.

Po chwili znów zhardtiał, ale teraz już w akcie solidarności.

– Jebane żółtki. Niech sobie u siebie zakładają jakuzę. – Jego głos wypełniony był propaństwową troską. – Tu ma być spokój i porządek. – Spojrzał w lusterko, szukając w jej oczach aprobaty.

Nie chciało jej się tłumaczyć, że jakuza to mafia japońska, a jadący przed nimi mercedes wiezie gangsterów z Chin. W końcu i jedni, i drudzy – taka sama swołocz, cokolwiek by tam w filmach czy książkach było o mafijnym honorze, tradycji, kanonach. „To najpodlejszy ludzki sort. Nie ma takiego gangstera, który za odpowiednią kasę nie rozpruje się i nie sprzeda współnika, nawet gdy tym współnikiem jest jego matka”, powiedział kiedyś podczas popijawy znajomy Dżonego, współautor głośnego serialu „Rottweiler”, do którego scenariusz pisał wspólnie z policjantami Centralnego Biura Śledczego i byłymi bandytami z gangu trzęsącego Mokotowem.

Wystawiła w stronę taksówkarza uniesiony w górę kciuk.

– I zrobimy porządek, drogi panie. Zrobimy.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Witold Niemcewicz siedział na szpitalnym łóżku, w szortach, ze stopami opuszczonymi na podłogę, i wspominał swoje nogi, które tak bardzo podobały się kiedyś kobietom i homoseksualistom.

Muskularne, ale nie krępe, raczej wysmukłe jak u konia, jakby je rzeźbił antyczny mistrz dłuta. Poskładane z dobrze dopasowanych i solidnie wykonanych elementów, którymi były mięśnie: prosty uda, czworogłowy, napinacz, przywodziciel, brzuchaty łydki i kilka pomniejszych opisanych szczegółowo w podręcznikach medycyny. Każdy mięsień wyodrębniony niczym w atlasie anatomii, a wszystkie razem spięte systemem ścięgien i więzadeł, które wtedy jeszcze wydawały się jak ze stali. Pod skórą żadnej wyściółki z sadła, od razu jędrne, czyste, zdrowe mięso układające się na kościach udowych w kształt bryczesów, ale nie za szerokich, niczym u ciężarowca, lecz takich w sam raz, jak u długodystansowca albo piłkarza. Którym zawsze chciał być, przynajmniej tak do szesnastego roku życia.

Mój Boże, ileż by dał, żeby móc zagrać teraz w piłkę! Nawet sam ze sobą, do jednej bramki wyrysowanej na tynku kawałkiem cegły, mając za przeciwników słupki z bloczków cementowych ustawionych pomiędzy kałuzami. Jeden zwód, drugi, trzeci, podanie do ściany, ściana oddaje piłkę, on ją przyjmuje, wypuszcza na krótki dystans, składa się... Strzał i gol, aż sypie się tynk. I tak non stop przez całe przedpołudnie, dopóki matka nie zawołała na zupę. Bo na obiady była głównie zupa – z chlebem w roli zapychacza i drugiego dania.

Wstał z łóżka i podszedł do okna. Za panoramiczną szybą Mazury Garbate kokietowały urodą morenowego krajobrazu, nie rozpoznaną jeszcze przez masowego turystę i polską klasę średnią, która w zastraszającym tempie kolonizowała kraj paskudną letniskową zabudową. Pejzaż był sielski i nieskażony jakimkolwiek ludzkim działaniem, jeśli nie liczyć skoszonej na krótko trawy, co pobliskim pagórkom przydawało wyglądu luksusowego pola golfowego. Tyle za oknem, bo w środku otaczał go luksus i dyskrecja prywatnej kliniki kardiochirurgicznej, najlepszej między Warszawą a Kaliningradem.

Wszystko miało stać się tu właśnie i to jeszcze tego samego dnia. Właściwie już za kilka godzin. Jakie to szczęście, że zdążył napisać tamten list, a Stern doręczył go do właściwych rąk.

Z Warszawy wyjechał wczoraj, zaraz po telefonie, który być może był najważniejszym, jaki odebrał w życiu. Spakowana walizka stała w holu od kilku dni. Pozostawało przywołać kierowcę i zabrać pod drodze pielęgniarkę o gołę bim sercu.

Klinika zakwaterowała oboje w części gościnnej obiektu.

On sam dostał apartament w standardzie „luxury-med”, jeden z dwóch takich w klinice. Opalony dyrektor lecznicy wyrecytował mu listę ważnych gości, którzy zajmowali to pomieszczenie przed nim. „Gdyby to była restauracja, ich zdjęcia wisiałyby teraz na ścianach”, zażartował, a potem szybko położył palec na ustach i dodał: „Ale przecież nas obowiązuje tu dyskrecja”.

Niemcewicz zauważył bystrze, że kilka z tych nazwisk zdobi od pewnego czasu groby na Powązkach, co dyrektor zripostował rubasznym śmiechem – wszak czarny humor zobowiązuje do dosadności – i zapewnił, że żaden z właścicieli tych nazwisk nie zszedł na serce. „Rak wątroby, udar mózgu, wypadek samochodowy, zabójstwo, samobójstwo, zatrucie alkoholowe, katastrofa samolotowa...”, wyliczał z uśmiechem zwycięzcy. Niemcewicz pogratulował sobie w duchu, że odmówił zabrania na Mazury doktora Andruszkiewicza, bo w tym momencie doszłoby już zapewne pomiędzy dwoma lekarzami do ostrej scysji. „Odwiedzisz mnie po wszystkim”, rzekł do przyjaciela, ściskając się z nim na pożegnanie.

Już po wszystkim miał tu także przyjechać mecenas Stern z teczką zawierającą honorarium dla dyrektora kliniki. Kardiochirurg po staremu wolał się rozliczać z ważnymi klientami w gotówce. Wcześniej z taką samą teczką, lecz dużo grubszą i cięższą, mecenas powinien udać się do jednego z warszawskich hoteli. Może działa się to nawet w tej właśnie chwili? – Niemcewicz spojrział na zegarek. A potem znów na swoje nogi i za okno – na soczystą zieleń trawy, która przywodziła mu na myśl boisko. Ech...

Nigdy nie był szczególnym zawodnikiem, ale zapał do gry miał wielki. Zapisał się nawet do trampkarzy Zagłębia Wałbrzych, gdy klub był jeszcze chlubą górniczego miasta i jego najdroższą utrzymanką, dzielnie poczynając sobie w pierwszej lidze, a nawet w europejskich pucharach. Zrezygnował po miesiącu, zniechęcony złośliwościami trenera, który nie dostrzegł w nim talentu, a zacięcia nie docenił. Zamiast sobie, zaczął kibicować innym. Miewał swoje prywatne fascynacje, ulotne lub wielosezonowe. Niektóre trwały do dziś.

Mimo że sam od pewnego czasu postępował w biznesie wyjątkowo metodycznie, nie potrafił wzbudzić w sobie sympatii dla ludzkich maszyn zaprogramowanych na wyczyn i sukces. Cyborgów będących hybrydami dobrych genów, wrodzonego talentu, piekielnej pracowitości i marketingu wspartego milionami. Doceniał jego wielkość, ale nie mógł już patrzeć na Lewandowskiego z całą tą jego perfekcją cielesną i komercyjną. Wolał piłkarzy nieoczywistych, rozdartych, pechowych, trawionych przez alkohol i demony, co zresztą chodziło w parze. Żyjących emocją, a nie algorytmem opracowanym w laboratoriach sportu. Z Polaków – Stanisława Terleckiego, Mirosława Okońskiego, Andrzeja Iwana. Ze światowych – Georga Besta, Michaela Owena czy Paula Gascoigne’a Gazzę, zwłaszcza z jego okresu gry

w Glasgow Rangers.

Ale i tak najbardziej liczył się zawsze Maradona. Boski Diego – z całym swoim geniuszem i poharatany życiorysem – któremu wybacza się wszystko: od narkotyków po kretyńską komitywę ze zbrodniarzem z Hawany. Jest taki epizod w filmie Paolo Sorrentino *Młodość*, w której Diego Maradona, podupadły na zdrowiu i opasły jak wieprz kuracjusz szwajcarskiego wczasowiska, w sposób fenomenalny podbija nogą piłkę to tenisa. Tę scenę Niemcewicz oglądał na Youtube w nieskończoność, bo więcej mówiła o przemijaniu i pragnieniu życia niż najmądrzejsze nawet eseje specjalistów od psychologii starości.

A teraz wspominał obsesyjnie swoje modelowe nogi, które z czasem zamieniły się w dwa blade kłocę o fakturze przypominającej skiśnięte mleko. Coraz luźniej zwisająca skóra, coraz więcej łożu zamiast mięsa. Marmur zarastający grzybnią. „Skąd mi te nogi przyszły do głowy?“, pomyślał i od razu sobie odpowiedział.

Powodem musiała być lektura dodatku do *Polityki* poświęconego postczłowiekowi, jakiej oddał się w drodze na Mazury w swojej limuzynie. I choć przyprawiała go o ból zębów ta maniera współczesnej inteligencji, która do każdej dziedziny życia dodawała przedrostek „post”, sam magazyn był interesujący. Zaintrygował go zwłaszcza artykuł poświęcony hodowaniu organów z komórek macierzystych. Ponieważ pochodzą one od samego pacjenta, nie trzeba bać się odrzutu przeszczepu. Udało się już wyhodować w ten sposób tchawicę, nerki, pęcherz moczowy i struny głosowe. Cóż z tego, skoro wszystkie te narządy działały u niego bez zarzutu? Co do serca, jak przeczytał to, co i tak wiedział już z wcześniejszych licznych rozmów ze specjalistami, może uda się wyhodować je za kilkanaście lat. Za późno...

Alternatywą było serce sztuczne, ale tu, mimo wysiłków i kosmicznych kosztów, wciąż i tak efektem końcowym był dość szybki zgon. Autor artykułu przytoczył, znaną już Niemcewiczowi, historię żołnierza piechoty morskiej USArmy, któremu w lipcu 2001 roku wszczepiono w pełni autonomiczne sztuczne serce. Udało mu się z nim przeżyć zaledwie pół roku.

Dwa tysiące pierwszy, lipiec! Mój Boże! Wtedy jego serce było jak dzwon i biło jak dzwon, a jedynymi dolegliwościami, na jakie mógł się skarżyć, był kac lub chroniczne niewyspanie wskutek zarywanych na balangi nocy. Serce jak dzwon... Czy równie chłodne? Bo takie przecież było.

Znajdując ukojenie w widoku za oknem, poczuł nagle, jak odstępują go wszelkie lęki i popada w stan łagodnego optymizmu. Nie wykluczył, że na tę pogodę ducha wpływ mógł mieć także zastrzyk, jaki wraz z pakietem leków otrzymał przed godziną na polecenie kardiochirurga. Wyobraził sobie siebie – już po operacji (udanej) i rodzinnym pojednaniu (udanym) – jak leci do Chin, aby odnaleźć tam córkę swojego dawcy i wesprzeć ją życiowo hojną darowizną. Czy zechcą mu podać jej nazwisko

i adres? „Pieniądze potrafią wszystko”, pomyślał. Stern nie takie informacje już dla niego zdobywał.

Gdzie może znajdować się aktualnie ojciec tej dziewczyny? Na pewno nie dalej niż cztery godziny drogi od kliniki. Kona właśnie czy już zmarł? Wypadałoby odmówić za niego wieczny odpoczynek, ale co, jeśli ten człowiek wciąż walczy? Jeśli stawia się kosztuje resztką swej zjedzonej przez raka świadomości? Komu kibicować w zmaganiu z kostuchą – jemu czy sobie?

Odsunął na bok trudne pytania i poleciał sobie w wyobraźni do Chin. Tak, to musiał być skutek zastrzyku, bo lot był bardzo przyjemny, a pustynne jezioro Bałchasz w Kazachstanie, widziane z dziesięciu kilometrów, olśniło go aż kilkoma kolorami: od seledynu płycizn na zachodzie po granat głębin przy wschodnim brzegu. Nigdy wcześniej nie widział czegoś podobnego. Na dodatek mając zamknięte oczy.

Poleciał do Azji, ale nie sam. Jakże bawiło go teraz wymyślanie szczegółów tej narkotycznej wspólnej podróży. Żadnej nowobogackiej ostentacji. Lot klasą turystyczną..., tanie hotele..., no, powiedzmy, średnio drogie..., posiłki spożywane przy ulicznych straganach..., podróż pociągiem przez azjatycki bezmiar... Chińczycy braliby ich pewnie za kochanków albo za małżeństwo: starszy, bogaty mężczyzna i młoda atrakcyjna kobieta z dziwnym tatuażem na szyi. A oni tłumaczyliby wszystkim naokoło, że to nieprawda. A potem śmialiby się z tego przy wieczornym posiłku wzmocnionym czarką maotai, wódki, którą otrzymuje się wskutek ośmiokrotnej destylacji sfermentowanego sorga. Czy ona zechce polecieć z nim w tę podróż? Czy odpowie na jego list? Czy on tej odpowiedzi doczeka?

Na konarze dorodnego dębu za szybą przysiadł czarny ptasior. Para sójek czmychnęła z przestachem. Niemcewicz wzdrygnął się. Lęk znów dobrał mu się do trzewi. A jeśli nie czeka go już nic? Jeśli kres, do którego zmierza, żywiąc się kosztowną ułudą, jest naturalną karą za grzech, jaki popełnił? Naturalną i zasłużoną?

Może zatem poddać się i zrezygnować z przeszczepu, a serce, które zapewne wyjmują teraz z piersi tego nieszczęsnego Azjaty, podarować komuś, kto naprawdę na nie zasłużył? Helikopterem zdążą je dostarczyć nawet do Zabrze, tam w słynnej klinice czeka nieustannie kolejka chętnych. Czy zdobyłby się na taki gest? Starczyłoby mu odwagi?

Jakiś czas temu, gdy wiedział już, że jedynym dla niego ratunkiem jest znalezienie dawcy, zaczął bywać na internetowych forach osób czekających na przeszczep. Anonimowo. Podszywając się pod młodego mężczyznę, dokonał na kardio.pl wpisu:

„Witam wszystkich, znalazłem się na krajowej liście biorców po kwalifikacji do przeszczepu serca. Mam 27 lat i czuję się całkiem nieźle, zwłaszcza po włączeniu do leczenia furosemidu na odwodnienie. Więc nie wiem, czy warto decydować się teraz na przeszczep, czy czekać, aż mój stan się pogorszy. Moja frakcja teraz wynosi 18 procent. Pytanie: czy jak przedzwonią, że mają serducho, to można powiedzieć, że

jeszcze się nie chce? Bo chyba chciałbym ciągnąć jak najdłużej na własnym sercu.”

Internauci zareagowali żywiołowo i kategorycznie: skoro otrzymał szansę na dar życia, to nie może tego odrzucić. Żadnego marudzenia! Niektóre reakcje graniczyły z hejtem, tak bardzo rozżłościł dyskutantów swoim niezdecydowaniem. Ale i tak większe wrażenie zrobił na nim wpis pewnej kobiety: „Może ktoś z was spotkał się z sytuacją, że kogoś usunęli z listy, bo ktoś inny dał 200 tysięcy? Ja nie podejrzewałam, że u nas dzieją się takie rzeczy, dopóki nie zostałam usunięta z listy, bo ktoś miał kasę, dużo kasy i zajął moje miejsce, i to nie byle jakie, bo w pierwszej dziesiątce”.

To wtedy postanowił kupić sobie serce w Azji, pojawiwszy, że on zająłby czyjeś miejsce nawet wtedy, gdyby nie dał ani złotówki. Za samo tylko nazwisko. Taki paradoks milionera.

Czarny ptasior sfrunął z gałęzi i wachlując ciężkimi skrzydłami, wbił się w ścianę lasu. Lecząc z nim nie odleciała wątpliwość. Bo jeśli rzeczywiście to, co może go spotkać, jest karą? Dyskutować z wyrokiem niebios, próbując przechytrzyć Boga cudzym sercem, byłoby jak dyskutować z pokutą zadaną przez spowiednika.

Co robić? Z kim mógłby o tym porozmawiać? Ze szpitalnym psychologiem? Nawet jeżeli w tej elitarniej klinice, półjawnej niczym burdel dla bogaczy, trzymają psychologa, zapewne jest to jakiś przemądrzały bubek w czarnym golfie i okularkach a la John Lennon. To może wyżalić się opalonemu dyrektorowi? Wykluczone. Przypomniał sobie swoją rozmowę z kardiochirurgiem zaraz po przybyciu do kliniki. Doktor nachylał się nad nim, a pielęgniarka – tutejsza, a nie jego osobista – mierzyła mu ciśnienie, cała w dygach, jakby obsługiwała króla.

– Czy to dobrze, gdy biorca wie dużo o swoim dawcy? – spytał nagle Niemcewicz.

– Nie sądzę – odpowiedział stanowczo lekarz.

– Bo?

– Bo może się wytworzyć toksyczna więź emocjonalna z osobą, której się nawet nie poznało, a której już nie ma. Niech pan potraktuje to nowe serce jak... – zawahał się – ... jak nowy model samochodu. Tak będzie prościej.

– A możecie mi sprowadzić księdza?

Doktor spojrzał wymownie na pielęgniarkę, jakby chciał jej powiedzieć „trafił nam się dewot!”, i odparł usłużnie:

– Oczywiście. Nasz pacjent, nasz pan.

Za chwilę dodał filuternie:

– Ale aż tak czarne myśli u pana? Jest pan w dobrych rękach. Czy przed zmianą samochodu też pan idzie do spowiedzi?

– A czy ja powiedziałem, że to ma być ostatnia spowiedź, doktorze? – odparł

Niemcewicz, cokolwiek zbyt szorstko jak na panujący tu wersal.

A teraz wciąż potrzebował rozmowy. Spojrzał na telefon, jakby w nim szukał ratunku, i w tej samej chwili usłyszał pukanie. Okrył się szlafrokiem i odpowiedział głośnym: „Proszę!”.

Drzwi uchyliły się. Stał w nich młody mężczyzna w czarnym garniturze, czarnym golfie i okrągłych okularkach na nosie. Na szyi miał stułę w kolorze fioletu, a w dłoni modlitewnik.

– Nazywam się Marek Skupiński. Jestem proboszczem parafii w Stańkach Jeziornych. To trzy kilometry stąd. Zadzwoniono po mnie, bo podobno szuka pan spowiednika.

Rozdział trzydziesty

Parapet trzymał się czarnego mercedesa jak cielę matki. Śledzony samochód skierował się z Okęcia na Służew, po czym Dolinką Służewiecką wjechał w Aleję Sikorskiego, która przeszła w Aleję Becka, a ta z kolei skojarzyła się Parapetowi z ulubioną marką piwa, na którą, niestety, rzadko kiedy było go stać. Jego ślinianki obudziły się niespodziewanie, a on sam przypomniał sobie odwyk, gdzie przestrzegano ich, że czasem nawet sama nazwa trunku może być przyczyną alkoholowego głodu. Ależ by sobie teraz gołnął...

Smaki przeszły mu dopiero za Wisłą, nad którą oba samochody – tropiony i tropiący – przejechały Mostem Siekierkowskim. Jego wanty przywodziły na myśl wielki żaglowiec, który utknąwszy wskutek nawigacyjnego błędu w poprzek rzeki, zaczął być wykorzystywany przez sprytnych warszawiaków jako poręczna przeprawa.

Pruli krajową „dwójką”, a minąwszy po lewej Gocław, zjechali na Rembertów – mercedes pierwszy, volkswagen za nim. Parapet przypomniał sobie słynne rembertowskie „ciuchy”, na których bywał w złotych latach – swoich i bazaru. W szafie miał jeszcze skórkową bordową kurtkę ze ściągaczem, której swego czasu zazdrościła mu połowa warszawskich cinkciarzy. Druga połowa chodziła w takich kurtkach. Cud, że przy jego stylu życia w ogóle się uchowała.

Z Rembertowa skierowali się na Żąbki i tu mercedes zaczął kluczyć w wąskich uliczkach, jakby kierowca nie znał adresu albo chciał zgubić ogon, pojawiwszy, że jest śledzony. Parapet uznał to za podejrzane i zjechał pod pierwszą lepszą bramę. Mercedes zniknął mu z oczu.

Rozejrzał się. Otaczał go jednorodzinny architektoniczny zgiełk. Solidny, schludny, murowany, pomalowany i dostatni, ale jednak zgiełk. Podobało mu się. Zawsze czuł się lepiej na prawym brzegu Wisły niż na lewym i gdyby nie spieprzył rozgrywki z własnym życiem, pewnie też miałby tu teraz swój dom. Taki z kopertowym dachem, wykuszem i dwoma kolumnami przy drzwiach, pod którymi warowałyby tygrysy z porcelany.

Nie wyłączając silnika, sięgnął po swoją Nokię. Trzasnęła kultowa klapka.

– Chyba ich zgubiłem – skłamał do słuchawki.

– Jak to chyba? – zdenerwowała się Agnieszka.

– No..., zgubiłem. Skręcili, ja musiałem ustąpić pierwszeństwa, no i nie ma ich.

– Gdzie jesteś?

– W Żąbkach, willowe zadupie. Oni też gdzieś tu są. Wyglądało, jakby szukali adresu, kluczyli.

– Może chcieli cię zgubić.

– Może! Skąd mam wiedzieć?

– Pokręć się tam i spróbuj ich odszukać. Tylko ostrożnie, to kilerzy.

– Teraz mi to mówisz?! – zadrwił; w jego głosie pobrzmiwała złość, ale nie strach.

– Zapłacę.

– Wiem. I wcale się nie boję. – Przechylił się przez fotel pasażera i sięgnął do kieszeni na drzwiach. W małej buteleczce było jeszcze kilka kropel. Bardziej złudzenie niż realna pomoc dla organizmu, ale i złudzeniem można się pokrzepić

. – A ty gdzie jesteś?

– Pod Excellentem.

– Co to?

– Hotel. Pięć gwiazdek – odpowiedziała Agnieszka, chodząc nerwowo przed obrotowymi drzwiami pod czujnym okiem portiera w liberii, który wyglądał jak emerytowany brytan służb. Ale nie taki, na którego one mają teczkę, lecz taki, który sam zakładał teczki. Jakieś trzydzieści lat temu.

– A co ty robisz w hotelu? – zapytał Parapet.

– Pod hotelem! – poprawiła go. – Ci dwaj z drugiego mercedesa zatrzymali się tutaj – wyjaśniła i zrobiła kolejny zwrot, przez co nie zauważyła mecenasa Joachima Sterna, który wysiadł właśnie z taksówki i stawiając te swoje długachne kroki małpoluda, wmaszerował w karuzelę obrotowych drzwi. On też jej nie dostrzegł. Za to stary bezpieczniak ożywił się. On widział wszystko, znał wszystkich i był świadom hierarchii: ukłonił się przed prawnikiem z szacunkiem i nie było w tym krztyny fałszu.

W windzie przed lustrem z kryształu Joachim Stern poprawił sobie krawat i poszetkę, powtarzając w myślach przywitanie po angielsku. Winda była ekspresowa, więc nie minęło wiele czasu, gdy na szklanym blacie stołu ustawionego w apartamencie, który ociekał luksusem, mecenas położył czarną walizkę. Otworzył ją gestem człowieka, który przygotował niespodziankę.

– Tu jest także te dodatkowe pięćdziesiąt tysięcy.

– Napiwek? – Chirurg zmarszczył nos. Wyglądał na urażonego. Nadal nosił tę swoją operetkową fryzurę jak z Hollywood.

– Nie napiwek, lecz dodatkowa zapłata za informację – sprostował Stern. – Tę, o którą w imieniu mojego klienta prosiłem przez telefon – doprecyzował. – Chodzi o córkę dawcy. Nie pamięta pan?

Azjata skinął głową, że pamięta, i popadł w zadumę jak człowiek, który się waha.

– Pan wie – odezwał się cicho – że dawca nie powinien nigdy poznać...

– Szanowny panie! – Prawnik wszedł mu twardo w słowo. – Wielu z nas nie

powinno czasem posiąść wiedzy, którą jednak posiadliśmy. – Sięgnął do walizki po grubą paczkę banknotów obwiązanych banderolą, uniósł ją, powąchał i dodał: – I nawet słono za tę wiedzę zapłaciliśmy... Pan wie, ile ja zabiłem detektywowi, żeby się w końcu dowiedzieć, że zdradza mnie żona?

– Ile? – zaciekawiał się Chirurg.

– Majątek – odparł prawnik po prawniczymu. – Ale opłaciło się! I na dodatek nie bolało aż tak bardzo. – Zarżał grubiańsko. Samczo i samolubnie.

Chirurg uniósł pytająco brwi.

– Zdradzała mnie z kobietą – pośpieszył z wyjaśnieniem Stern. – A to trochę tak, jakby się ta zdrada nie liczyła. – Znów zarechotał.

Azjata wszedł w konwencję jak nóż w masło i też zachichotał. Tyle, że pociesznie, jak kastrat. Włożył dłoń do wewnętrznej kieszeni marynarki i rzucił na szklany blat zdjęcie skośnookiej dziewczyny o długich czarnych włosach.

– Na odwrocie jest adres.

Stern odłożył plik euro do walizki. Sięgnął po zdjęcie.

– Ładna. Co studiuje?

– Medycynę. W Pekinie.

Polak wyduł usta, co miało oznaczać podziw. Azjata poszedł w jego ślady.

– Zdolna dziewczyna – dodał. – Oby ofiara jej ojca nie poszła na marne... – Złożył ręce jak do modlitwy i pokłonił się niczym tybetański mnich. Szybko się jednak otrząsnął i wskazał dłonią walizkę: – Mam przepakować czy zostawi pan?

Mecenas początkowo nie domyślił się, o co chodzi, a gdy już pojął, odegrał uprzejme zdumienie.

– Oczywiście, że zostawię. To jakby dostawca pizzy zabierał ze sobą pudełko, w którym ją przywiózł.

– To jedna z lepszych pizz, jakie zamówiłem w życiu – zażartował Chirurg.

– Specjalne zamówienie dla specjalnych klientów – zmrużył oko Stern i obaj znów wybuchli śmiechem. Prawnik kordialnym, Azjata skrzekliwym. Gdy pochichotali do syta, Polak zapytał:

– I nie przeliczy pan?

Chirurg pokręcił głową. Nie chciał liczyć pieniędzy.

Mecenas zamknął wieko walizki, posunął ją w stronę rozmówcy, obciągnął marynarkę.

– To ja już sobie pójdę.

Chirurg potaknął głową, że też sobie tego życzy.

Gdy podali sobie ręce i za prawnikiem zatrzasnęły się drzwi, z sąsiadującej z salonem sypialni wyszedł asystent Chirurga, drobiąc na wysokich obcasach. Miał na sobie cętkowane damskie body i pończochy na pasie. Był umalowany. Podeszedł do

swojego mocodawcy, pochylił się nad nim czule i zaczął luzować mu krawat.

– Uwierzył w tę córkę dawcy?

– To adwokat – odpowiedział Chirurg. – Nawet jak wierzy, to nie wierzy... Kto jest na tym zdjęciu?

– Moja siostra.

– Czy ona o tym wie?

– Tak, zgodziła się. Adres też jej. Prawdziwy.

– A jak do niej pojedą?

– To odegra przed nimi sierotę i dostanie pieniądze. Od nich dużo, ode mnie też trochę.

– Dobry jesteś. – Chirurg odepchnął delikatnie kochanka i wycelował palec w walizkę przyniesioną przez Sterna.

– Otwórz. Widok forsy podnieca mnie.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Parapet wyszedł z samochodu, odnalazł osiedlowy sklepik spożywczy, kupił buteleczkę wódki, piwo w puszcze i już po chwili znów poczuł się jak Neo z Matriksa. Czas poszukać Agenta Smitha i jego skośnookich klonów, a potem zadzwonić do swojej Trinity w skórzany płaszczu po dalsze rozkazy. Jakże on uwielbiał ten film! Szkoda, że magnetowid nawalił dobre sześć lat temu, bo obejrzałby go sobie wieczorem. Laptopa nie miał, podobnie jak dostępu do wi-fi.

Wrócił do samochodu i zaczął krążyć po okolicy. Najpierw spatrolował wszystkie uliczki dzielnicy willowej, jakby był tutaj szeryfem, ale nigdzie nie zauważył mercedesa z czerwoną chorągiewką na masce. Potem węszył po podobnym osiedlu, lecz po drugiej stronie głównej drogi. Następnie skręcił w szerszą ulicę i stopniowo domki jednorodzinne zaczęły zanikać, zastępowane przez podmiejski industrial, upačkany plamami reklam, których i tak nikt nigdy nie czyta.

Parapet przystawał przy wytwórniach, biurach, halach, warsztatach wulkanizacyjnych i składach towarowych, wypatrując swojej zguby. Zaglądał w bramy zakładów, objeżdżał parkingi przy fabrykach i hurtowniach. Popadając w coraz większą rezygnację, dojechał do końca ulicy i tu – trzy jabłuszka w jednym rzędzie – wiktoria! Za parkanem z czarnych prętów, zwieńczonych solidną poprzeczką, zobaczył czarnego mercedesa. Na masce czerwieniła się mała flaga. Auto było puste, choć z tej odległości nie dałby za to głowy, bo miało przyciemniane szyby. Podobnie jak budynek, przed którym je zaparkowano.

Był to parterowy, rozległy śnieżnobiały klocek z wielkim oszklonym wejściem jak do kina lub galerii handlowej. Wokół rozciągał się parking z perfekcyjnie ułożonego granitu i soczyście zielony trawnik, przycięty jak na polu golfowym. Główna brama była otwarta, ale zagradzał ją czarno-biały szlaban, zapewne na fotokomórkę – niezbyt solidny, bo z tworzywa, za to strzeżony przez kamerę w szklanym kloszu. Wszystko razem sprawiało wrażenie sterylności i pustki. Na frontonie budynku umieszczono niewielki gustowny napis: Memento.

Trzasnęła klapka Nokii. Neo dzwonił do Trinity po rozkazy.

– Jak mówisz, że się nazywa ten dom? – spytała, gdy pośpiesznie zrelacjonował jej swoje ostatnie dwadzieścia minut. – Memento?

– Tak tu pisze...

– Jest napisane! Poczekaj, wygooglam – powiedziała, aby po chwili wykrzyknąć: – O, rany! To krematorium.

– Co?

– Spalarnia zwłok!

„Tak coś czułem”, pomyślał Parapet i natychmiast przypomniały mu się jego żaźarte dyskusje z kolesiami na podwórku pod hasłem „Co byś wolał, do trumny czy do pieca, a potem do urny?”. On, Parapet, nieodmiennie wybierał urnę. Ale tylko na czas ceremonii. „Bo potem bym chciał, żebyście mnie rozsypali na murawie Polonii Warszawa”. Od smarkacza kibicował Polonii.

Teraz milczał, bo nie wiedział, co powiedzieć. Gdy milczenie przedłużyło się ponad miarę, zapytał:

– Co robimy?

– Daj pomyśleć!

Dał. Długo nie myślała.

– Siedź tam i się nie afiszuj. Przyjadę taksówką! – rozkazała.

Rozejrzał się w poszukiwaniu tabliczki z nazwą ulicy.

– Ale ja nie znam adresu.

– Ja znam, mam przecież gugla. I dzi-pi-esa.

Pokiwał głową z uznaniem, w końcu była jego patronką, jego Trinity. I tak jak przykazała, poczeka na nią tutaj, w swoim matrixie przy spalarni zwłok Memento. Pożałował, że nie kupił w sklepie dwóch buteleczek wódki.

– To czekam.

– I uważaj na siebie, to kilerzy!

– Słyszałem to już. A mogłabyś mi po drodze kupić... – Nie dokończył, bo rozłączyła się.

Teraz rozglądała się za taksówką. Pod hotelem stały trzy, wszystkie z korporacji, która miała najwyższe ceny w stolicy. Sięgnęła do kieszeni po kołtun banknotów, rozsupała je, wygładziła, przeliczyła, oceniła możliwości. Wystarczy, ale po honorarium dla Parapeta trzeba już będzie podskoczyć do bankomatu. I do monopolowego.

Wsiadła do granatowego volvo. Podała miejscowość, ulicę i numer. Kierowca, rozpaskudzony przywilejami firmy, pod której szyldem jeździł, uniósł brew z uznaniem: odległy adres, tłusty kurs, jest dobrze.

Gdy przejeżdżali Wisłę, rozzwonił się jej telefon. Numer zastrzeżony. Znowu?! Po raz kolejny usłyszy anonimowy oddech? A może jednak ktoś się odezwie? Kto? „Dzień dobry, nazywam się Sebastian Wiśniewski, jestem konsultantem firmy „Kogucik”. Dzwoniłem dziś do pani, ale coś nam przerwało. Tym bardziej dziękuję, że pani odbiera. Pragnę zainteresować panią ofertą naszej firmy, czy mogę zająć pani chwilę czasu?”.

A jeśli to nie tele-naganiacz? Odebrać? Telefon wciąż dzwonił, taksówkarz zaczął się irytować i jawnie to okazywał. Agnieszka miała łatwość zarażania się złą emocją

i często natychmiast ją oddawała. Ze złością wcisnęła czerwony guzik i odrzuciła połączenie.

Witold Niemcewicz odłożył telefon na szafkę przy łóżku. Nie był przyzwyczajony do tego, że nie odbierano jego telefonów. Ale przecież osoba, do której zdecydował się w końcu zadzwonić, nie wiedziała, że to on. Czego się więc spodziewał?

Do telefonu namówił go spowiednik. Miała to być pokuta. Telefon z przeprosinami. Odpowiedział księdzu, że przecież napisał list, ale duchowny przekonał go, że żywy głos potrafi zdziałać cuda. Sam miał głos, który podnosił na duchu, kojąc jednocześnie. Ciepły, aksamitny, leczniczy. Nic tylko się nim okryć w chorobie.

Podczas spowiedzi obaj mężczyźni siedzieli na łóżku obok siebie, jak dwaj pasażerowie w przedziale kolejowym. Ksiądz, zmrużywszy lekko oczy, patrzył na wprost, nieznacznie nachylając głowę w stronę Niemcewicza. A ten mówił szeptem, jak w konfesjonale w kościele, choć wcale nie było takiej potrzeby, przecież w pokoju nikogo poza nimi nie było.

Nie mówił długo, bo wszystkie winy wytrząsł już z siebie podczas poprzednich spowiedzi, jakich w ostatnich dwóch latach odbył przynajmniej sześć. Nowych grzechów uzbierało się niewiele, bo czymże może zgrzeszyć starzejący się mężczyzna, który umiera na serce? Gdy skończył, ksiądz zadał mu banalną pokutę, wyprostował się, poruszał wargami, wypowiadając bezgłośnie stosowną formułkę, po czym uczynił w powietrzu znak krzyża. Ale Niemcewicz poczuł niedosyt. Zapragnął nagle opowiedzieć księdzu o swoim życiu. Zajęło mu to czterdzieści minut. Skończyło się poradą dotyczącą telefonu.

Na koniec Niemcewicz wręczył księdzu jasną kopertę, całkiem grubą. Młody proboszcz wzbraniał się.

– To nie za spowiedź – wyjaśnił pacjent. – To za dodatkową sesję terapeutyczną. Przecież nie musiał ksiądz słuchać o moim życiu.

Duchowny zajrzał do koperty i zażartował, że jest zatem najdroższym psychoterapeutą w Polsce. Niemcewicz nagroził dowcip uśmiechem, po czym podali sobie ręce. Zaraz potem zadzwonił pod numer, który dostał od Sterna. I został odrzucony.

Rozdział trzydziesty drugi

Gdy taksówka dowiozła ją na miejsce, Parapet był już niezłe wstawiony. Owszem, miał prawo się nudzić: przed Rondem Waszyngtona osobówka wjechała pod TIR-a i zrobił się korek na pół godziny. Taksówkarz burczał ze złości na swoim fotelu, a ona odbierała od Parapeta pytania, kiedy wreszcie dojedzie i meldunki na temat rozwoju sytuacji. Musiał, skubany, odwiedzić jakiś sklep w pobliżu, bo każda kolejna relacja wypowiedana była coraz bardziej rozmytym głosem.

– Podjechało auto. Czarna terenówka... No, pod spalarnię... Stała koło tego mercedesa kitajców... Kto wysiadł? Jakiś elegancki szpenio. I kobieta... Wyjmują coś z bagażnika... Wielka walizka na kółkach... Jak kufer... Z okuciami... Ona wygląda na pomocnicę... Skąd wiem? Bo to ona ciągnie ten kufer... Nie, nie rzucam się w oczy...

Po kilku minutach:

– Jest nowa bryka! Porsche. O ja cię... Ale auto! Jakiś wieprz nim przyjechał... Nie, nie wygląda na gangusa, raczej doktorek... Bródka, okulary... I też niesie walizkę, ale mniejszą... Tu się coś szykuje, Aga...

Po trzech minutach:

– Dasz wiarę, Aga?! He-li-kop-ter!... Helikopter wylądował!... Taki mały, jak w filmach... Jak to gdzie wylądował? Tutaj. Na trawie. Mają tu zajebisty trawnik... Nie, nikt nie wysiada... Jakby pilot na kogoś czekał... Nie, nie ma żadnych oznaczeń... Ja piję? No, co ty? Zdaje ci się...

Kazała taksówkarzowi zatrzymać się za volkswagenem Dżonego, zapłaciła za kurs i przesiadła się. Parapet siedział już po staremu – na fotelu pasażera.

Jego słowa, choć pijane, były prawdziwe. Pod śnieżnobiałym kłocem krematorium stały zaparkowane, jak od linijki, trzy luksusowe samochody, wszystkie czarne i błyszczące niczym kosztowne trumny. A na środku rozległego trawnika żółty zgrabny śmigłowiec z ogonem maźniętym czernią sprawiał wrażenie, jakby powiększona czarami wilga przycupnęła na kilka chwil odpoczynku przed dalszym lotem na południe. Za pękatą szybą widać było zarys sylwetki pilota ze słuchawkami na uszach. Miejsce obok było puste.

Parapet aż rwał się do akcji.

– Co robimy?

– Najpierw zawrócimy auto – odpowiedziała i odpaliła silnik, zawróciła „na trzy”, po czym odwróciwszy samochód o 180 stopni, zaparkowała przy przeciwnym

krawężniku. – Łatwiej będzie uciekać – oświadczyła.

– I co teraz?

– Jak to co? Idziemy. – Kciukiem wskazała za siebie, na budynek spalarni.

– Tak normalnie bramą? Schylimy się pod szlabanem? Zobaczysz nas ten z helikoptera.

– Pójdziemy wzdłuż płotu i przeskoczmy tam. – Obróciła głowę w lewo i wycelowała palcem w kępę krzaków przylegających do płotu. – Kluczyki zostawiam w stacyjce. Kto pierwszy dobiegnie do auta, ten wskazuje za kierownicę. I wyłącz dźwięk w komórce.

Zamglone spojrzenie, jakie jej posłał, pełne było uznania.

Wyszli z auta i pobiegli w stronę krzaków. Tam, za parawanem z liści, Agnieszka podskoczyła i złapała za poprzeczkę parkanu. Próbowwała się podciągnąć, lecz jej stopy ślizgały się po pionowych prętach.

– Podesadź mnie – nakazała Parapetowi.

Zawahał się, trochę ze wstydu, ale w końcu objął dłońmi wypięty sprośnie tyłek, który podrygiwał mu przed oczyma, i wywindował go do wysokości, na której jej stopa mogła już złapać oparcie. Oba jego kciuki wbiły się przez spodnie w rowek stanowiący dolną granicę pośladeków, akurat w miejscu, gdzie się one łączą. Wyczuł ciepło jej ciała i ulotny dreszcz w podbrzuszu przypomniał mu, że wciąż jest mężczyzną; naszała go ochota, żeby polizać opięte tkaniną półkule, a póki co, gapił się na nie z podziwem. Mój Boże, od jak dawna nie miał okazji dotykać kobiety w taki sposób! Może nie jest za późno, aby zrobić coś sensownego ze swoim życiem?

Agnieszka opadła zgrabnie na trawę, odwróciła się i za chwilę to ona spoglądała na niego z podziwem. Bo Parapet właściwie przefrunął nad płotem, popisując się przerzutem ciała godnym komandosa. Wylądował z gracją, jak gimnastyk, i nieomal się uklonił. Co znaczy uprawiać sport za młodu, ciało dostaje, ciało pamięta, ciało oddaje.

Podbiegli pod ścianę krematorium, pochyleni jak pod obstrzałem, co było albo podszeptem instynktu, albo skutkiem oglądania filmów akcji. W obu jednak przypadkach działaniem zupełnie niepotrzebnym, bo przecież nikt do nich nie strzelał, a pochyłone biegnące postacie są dużo bardziej podejrzane niż idące i wyprostowane. Nie było jednak czasu na autoanalizę.

Przy murze zaczęli posuwać się w stronę piwnicznego okna. Te na parterze były poza ich zasięgiem, bo to był bardzo wysoki parter. Ale piwniczne, małe okratowane prostokąty, usytuowane były tuż nad ziemią. Agnieszka opadła na kolana i przywarła czołem do szyby, osłaniając dłońmi oczy od światła dnia, żeby móc lepiej zobaczyć, co w środku. Stojący bojler na wodę, rury biegnące przy ścianach, kolumna nowoczesnego pieca. Sterylność, ład, asceza, jak w jakimś kosmicznym laboratorium.

Lecz to była tylko kotłownia. Podeszli na kolanach do drugiego okienka. Ona pierwsza, a on za nią. Znów mając przed nosem jej jędrne pośladki.

Zza szyby biło światło – jasne, szpitalne, laboratoryjne – więc Agnieszka wystawiła zza framugi tylko jedno oko. Ta roztropność była bardzo na miejscu, bowiem w pomieszczeniu wyglądającym na prosektorium – szafa chłodnicza na zwłoki, wózek transportowy z pokrywą, wszechobecna stal nierdzewna – znajdowali się ludzie. Żywi. Cztery osoby. Krępy mężczyzna o skośnych oczach ubrany w dresy, Agnieszka rozpoznała w nim kierowcę mercedesa. Gruby facet z brodą o twarzy lekarza rodzinnego – w rogowych okularach i chirurgicznym fartuchu splamionym krwią. Kolejny chirurg, na co wskazywał taki sam i tak samo zabrudzony fartuch – ten z kolei był mężczyzną szczupłym i dostojnym. Oraz pielęgniarka w białym kitlu wyglądająca jak przepęhiona poczciwością ciocia-kłocia.

Grupa pochylała się nad czymś, co leżało na stalowym stole z kółkami. Obok jakaś medyczna maszyna pulsowała lampkami. Wyglądało to tak, jakby zebrani naradzali się lub dokonywali chirurgicznego zabiegu. Ten drugi domysł zmarszczył Agnieszce skórę na karku, który dotąd owiewany był alkoholowym chuchem Parapeta. Wspólnik prawie wlażł jej na plecy, tak był ciekawy tego, co się działo w środku.

Nagle cała czwórka wyprostowała się i ruszyła gęsiego w stronę drzwi – pierwszy szedł grubas, za nim pan dostojny, potem pielęgniarka, a na końcu Azjata w dresach. Ten ostatni dźwigał srebrną walizkę z okuciami, na której znajdował się czerwony napis: „Human organ for transplant”. Wychodząc, wyłączył światło w pomieszczeniu.

Zanim okno pokryło się czernią, Agnieszka zdążyła zobaczyć leżące na stole nagie ciało mężczyzny. Miał azjatyckie rysy i wielką krwawą jamę w klatce piersiowej. To był ten sam człowiek, którego na Okęciu prowadzili pod rękę Chirurg i jego asystent. To był dawca.

– Za późno! Kurwa, za późno! – Wstała z kolan i oparta o ścianę próbowała uporać się z burzą w mózgu.

Zaintrygowany Parapet, wciąż na czworaka, przyciskał twarz do szyby, próbując wypatrzeć coś w ciemnościach.

– Co za późno?

– Zabili go. Zabili dawcę. Leży tam wypatroszony. – Stuknęła piętą w okienko.

– I co teraz?

– Daj pomyśleć... – Przyłożyła na chwilę palce do czoła, jakby miała w nich pobudzające elektrody. – Dzwon po policję, zwiewaj za płot i ukryj się w krzakach. Jak przyjadą, to się ujawnij i im wszystko opowiedz.

– A ty?

– A ja biegnę za skośnym.

Co powiedziawszy, pobiegła wzdłuż ściany na róg budynku i wystawiła ostrożnie głowę. Czekala. A czekając, przypominała sobie to, co na temat zadawania ciosów mówił jej Kielon w klubie bokserskim, gdy okładała bezładnie worek. „Pamiętaj, siła ciosu to nie siła ręki. Skuteczność bierze się z techniki, piącha to tylko pocisk. Chcesz bić mocno? Ok. Zrób jednoczesny skręt stóp, bioder i wypchnij bark. O, tak...”.

Azjata pojawił się po kilkunastu sekundach. Niósł tę samą walizkę z czerwonym napisem. Gdy wyszedł z przeszklonych drzwi krematorium, od razu skierował się w stronę helikoptera. Maszyna ożywiła się, jej łopaty zakręciły młynka, jakby żółto-czarny ptak ze stali chciał pokazać człowiekowi, że go dostrzegł i pozdrawia. Człowiek odwdzieczył się uniesieniem dłoni. Gdy tylko ją opuścił, otrzymał cios.

Kielon byłby z Agnieszki dumny. Podbiegła na ugiętych nogach, oszacowała dystans, wykonała jednoczesny skręt stóp i bioder, wypchnęła bark. Ręka stała się tylko wektorem, który przeniósł siłę ciosu na pięść, a ta trafiła Azjatę z potworną mocą w ucho. Upadł na granitowy chodnik, wypuszczając z dłoni walizkę. Agnieszka chwyciła ją i zaczęła uciekać w stronę bramy. Schyliła się pod szlabanem, dobiegła do volkswagena, wrzuciła walizkę na siedzenie pasażera i wskoczyła za kierownicę.

Gdy przekręcała kluczyk, zobaczyła w lusterku wstecznym gramolącego się z bruku Azjatę. Otrząsnął się jak pies i ruszył w stronę mercedesa. Usłyszała też ryk startującego śmigłowca. Ptak wyczuł zagrożenie i wołał odlecieć. Wilga to roztropne zwierzę.

Agnieszka docisnęła pedał gazu. Na swoje szczęście pamiętała, aby ruszając, zapiąć pas. Gdy wpinała go w klamrę, zobaczyła, że na desce rozdzielczej leży kultowa Nokia Parapeta.

Rozdział trzydziesty trzeci

Dogonił ją na Janowieckiej, na wysokości działek. Rozpędzony czarny buchaj z kółkiem w nosie.

Kółko-logo. Przesławny okrąg pocięty trzema promieniami na trzy równe części, które symbolizują zmotoryzowanie łądu, wody i powietrza, jak wymarzył sobie dawno temu Gottlieb Daimler. Gdyby dostawić pionową pałeczkę, wyszłaby z tego pacyfa hipisów, znak pokoju. Tyle że dwutonowy buchaj, dyszący jej teraz w plecy, wcale nie był nastawiony pokojowo.

Zaczął wyprzedzać, bez kierunkowskazu, za to z rykiem klaksonu. Dodała gazu, odbiła kierownicą w lewo i znów była przed nim. Doskoczył i teraz prawie dotykał ją swym pyskiem. W lusterku zobaczyła pochyloną nad kierownicą głowę Azjaty, tę samą, którą próbowała zdmuchnąć z tułowia prawym sierpowym. Szkoda, że nie wyszło.

Poczuła stuknięcie i poleciała do przodu, ale udało jej się opanować pojazd. Przy stu dwudziestu na godzinę mercedes zaczął trącać volkswagena nosem. Pojedynek niemieckich gladiatorów na polskiej szosie. Tyle że jeden z nich był już schorowanym emerytem.

Mknęli tunelem z zieleni. Droga była pusta. Po prawej i po lewej migały kłęby z liści i gałęzi, krzewny chwast, z którego wyrastały pojedyncze akacje: cienkopiennie, choć kamienne. Akacja to drzewo twardsze od dębu, tyle zapamiętała z lekcji przyrody. Za krzaczorami ciągnęły się ogródki działkowe „Raj”.

„Umrzeć od razu w raj, ale jaja!”, pomyślała w napadzie czarnego humoru, gdy mercedes stuknął w kufer volkswagena po raz drugi.

„Umrzeć w raj na Targówku”, pomyślała, gdy uderzył po raz trzeci, bo właśnie minęli tablicę wjazdową. Podwójną: na górze, na zielonym, było napisane „Warszawa”, na dole, na białym, „Targówek”.

Gdy stuknął po raz czwarty, straciła panowanie nad kierownicą. Koła zgubiły przyczepność i volkswagen, pozbawiony władzy nad sobą, wbił się z impetem w zarośla na poboczu, a następnie w pancerną akację, która wyrosła mu przed maską.

Ciało Agnieszki poddane zostało gigantycznemu przeciążeniu, ale zatrzymało się na pasie. Natomiast srebrna walizka z okuciami wyleciała z fotela pasażera i wciąż poruszając się z prędkością sprzed uderzenia, przebiła szybę i grzmotnęła w pień drzewa, rozpadając się na dwie części. Obie opadły na zgruchotaną maskę samochodu, a wraz z nimi zabębnił o nią lodowy grad i pacnął krwawy kawał mięsa – zawartość walizki.

Gdy oprzytomniała, usłyszała kroki i przedzieranie się przez chaszczę. Postanowiła udawać martwą. Zamknęła oczy, otworzyła usta i opuściła głowę na pierś. W pociągu wyglądałaby na śpiącą podróżną. Teraz musiała zagrać trupa z przetrąconym karkiem.

Ktoś obchodził wrak, lustrował stan rzeczy. Nagle wszystko ucichło, ale wiedziała, że ta cisza nie zwiastuje niczego dobrego. Wręcz przeciwnie, cisza oznaczała tylko tyle, że tamten zastanawia się gorączkowo, jak wybrnąć z tarapatów.

Przyłożył jej do szyi dwa palce, jakby szukał tętna. Poczula smród zła i omal nie posikała się ze strachu. Ucisk na szyi zniknął.

Czy strzeli jej teraz w skroń? Rozbije kamieniem czaszkę? Przyłoży szmatę do twarzy i udusi jak szczeniaka? Znów usłyszała kroki, tym razem oddalały się. Poszedł po broń? Nie, takie typy noszą ją raczej przy sobie. Dał za wygraną? Tylko dlaczego? A może...

... a może ona już nie żyje? Może nie wyczuł tętna, bo ono po prostu nie bije?

Usłyszała obcy język, pewnie dzwonił z meldunkiem. Szczekał jak szakał odgoniony od ścierwa.

Dobiegał ją szum przejeżdżających samochodów, lecz w gęstwinie krzaków była dla kierowców niewidoczna. Mogła tu umierać w spokoju.

Mogła, ale nie chciała.

Nieśmiało otworzyła oczy. Obmacała twarz, czoło, uszy, obejrzała dłonie. Krwi nie było. Uniosła głowę.

Serce leżało na pogiętej karoserii, a obok walały się kostki lodu, jakimi obłożono je do transportu, i szczątki pojemnika z napisem „Human organ for transplant”. Było oprószone uschlými liśćmi, gałązkami i całą tą panierką brudu, którą sypnęło drzewo, gdy otrzymało cios. Strzęp mięsa, z którego uszło całe życie. Popsuta pompa – do wyrzucenia. To dlatego Azjata odjechał taki zły. Ale dlaczego jej nie dobił? Miała się nad tym zastanawiać do końca życia.

Nasłuchiwała tak długo, aż poczuła się bezpieczna, po czym odpięła pas i wypchnęła drzwi barkiem. Wysiadła. I wtedy poczuła ból. Taki, który odejmuje rozum i na który nie ma sposobu. Który obezwładnia totalnie. Kucnęła. Miała ochotę wyć, ale nie mogła nabrać tchu. Miała ochotę obmacać tułów, ale każde dotknięcie powodowało eksplozję bóleści. Czuła się tak, jakby popękały jej wszystkie żebra i wbiły się w płuca. Oblał ją pot, owionął smród, teraz posikała się naprawdę.

Gdy atak minął, była już na skraju obłądu. Wróciła do samochodu i z bocznej kieszeni wyjęła torbę foliową z Biedronki, trzymaną tam na wszelki wypadek. Właśnie taki nastąpił. Przynajmniej tak jej się teraz wydawało. Sięgnęła po serce, otarła je dłonią z brudu i wsunęła czule do reklamówki. Dlaczego to zrobiła? Nad tym też miała się zastanawiać do końca życia, choć powołany przez prokuratora specjalista

wytłumaczył to zwyczajnym szokiem pourazowym.

Przedarła się przez krzaki, stanęła na krawędzi drogi i zamachała dłonią przed nadjeżdżającą półciężarówką. Auto zatrzymało się natychmiast, jakby było taksówką. Kierowca był miły i jechał aż do Janek. „Na Wolę? Nie ma sprawy, pani wsiada”.

Dokładnie w tej samej sekundzie, kiedy półciężarówka mijała pomnik księdza Skorupki na Pradze, w białym gmachu krematorium krępy i niski mężczyzna nacisnął przycisk uruchamiający mechanizm, który pracownicy spalarni nazywali dla hecy ostatecznym. Czarna platforma drgnęła i ruszyła po szynie w stronę stalowej zasuw w ścianie, która w tym czasie podniosła się bezszelestnie, ukazując wnętrze pieca rozgrzanego do tysiąca stopni Celsjusza. Wyglądało to jak gardziel prowadząca do piekieł, a płomienie były dokładnie takie jak na obrazach mistrzów średniowiecza.

Na ogół na platformie spoczywała trumna z łatwopalnego surowca – sosna, a w wersji dla ubogich, wzmocniony karton – lecz tym razem leżało na niej ciało osłonięte zaledwie płachtą, na dodatek nie najczystsza i mocno nieekologiczna. Taką jaką w ogródku zakrywa się drewno do kominka, żeby nie mokło.

Spod plandeki wystawały białe, tanie buty udające adidas. Parapet lubił je, bo mu przypominały sportową młodość. I tak po prawdzie nie miał innego obuwia, jeśli nie liczyć znoszonych góralskich kapci, otrzymanych przed laty w prezencie od kobiety, z którą mógł się związać, lecz jak zwykle pokpił sprawę.

Nawet nie wiedział, że umarł i w jaki sposób. Ani tego, że idzie do pieca z niewielką dziurą w tyle głowy i twarzą rozerwaną na strzępy.

Rozdział trzydziesty czwarty

Warkot helikoptera zwiastował ocalenie. Witold Niemcewicz poczuł się jak himalaista uwięziony w lodach K-2, po którego lecą z ratunkiem. Jego anioł stróż miał łopaty śmigła zamiast skrzydeł.

– Mój anioł stróż ma śmigło zamiast skrzydeł – zażartował, co obecny w sali operacyjnej personel przyjął z uśmiechem, słusznie przypisując ten humor działaniu pierwszej dawki narkotyku.

– I niesie panu paczkę z prezentem – rzucił wesoło anestezjolog, gmerając przy kroplówce i kładąc Niemcewiczowi dłoń na czole, tuż pod krawędzią czepka w kolorze bladego seledynu. Natomiast sam lekarz miał na głowie bandanę w trupie główki, co kazało domyślać się w nim figlarza, ale i wysokiej klasy specjalisty, na którym właścicielom kliniki musiało zależeć szczególnie, skoro pozwalali mu aż tak pajacować.

Operacja miała się rozpocząć niebawem i chory przypięty był już do wszelkich możliwych urządzeń, do jakich powinien być przypięty w takich okolicznościach. Kardiochirurdzy naradzali się półgłosem przy pulpicie z narzędziami, a pielęgniarka pstrykała palcem w strzykawkę z kolejną porcją narkotyku, który należało wtłoczyć w worek kroplówki. Wszyscy czekali na anioła, który odpiąwszy od pleców łopaty śmigieł, otrzepie się po podróży i dostarczy na salę paczkę z prezentem dla chorego.

I rzeczywiście drzwi sali operacyjnej rozsunęły się. Stanął w nich mężczyzna w czarnym kombinezonie pilota, lecz w dłoniach nie miał nic, oprócz kasku. Poszukał wzrokiem dyrektora kliniki, który – w fartuchu, czepku, masce chirurga, goglach i z lampką na głowie – trudny był do rozpoznania, a odnalazłszy go, pokręcił tylko głową z rezygnacją. W oczach miał żal, trwogę i zniecierpliwienie człowieka, który chce mieć już to wszystko za sobą.

Kardiochirurg zrozumiał komunikat w mig. Podeszedł do pielęgniarki, wyjął jej z dłoni strzykawkę, spuścił z niej do zlewu połowę zawartości i wbił w worek kroplówki.

– Teraz dla niego lepszy sen niż konfrontacja z prawdą – wyszeptał kobiecie do ucha, po czym wyszedł na korytarz po szczegółowe wyjaśnienia pilota.

Niemcewicz zdążył się tylko uśmiechnąć błogo jak ktoś, kogo aniołowie zabierają właśnie do nieba, po czym zapadł w sen twardy i pełen fantazji, z których każda kolejna była bardziej ucieszna od poprzedniej. Anestezjolog naprawdę był mistrzem w przyrządzaniu swoich koktajli.

Sen Agnieszki nie był ani głęboki, ani kolorowy, ani wypełniony marzeniami. Mimo że od powrotu do domu zjadła już pięć tabletek validolu, spała płytko, szarpana lękiem i obsesjami, z których najgorszą była ta, że zaraz usłyszy pukanie do drzwi.

Dżonego nie było. Na stole znalazła kartkę: „Pojechałem z Jędrkiem na dokumentację do Janowa. Wspominałem ci. Zachowujesz się ostatnio jak idiotka. Mam nadzieję, że nie zrobiłaś nic głupiego. Nie dzwoń, dobrze nam zrobi chwilowa izolacja”.

I tak nie miałyby czym zadzwonić. Już w mieszkaniu spostrzegła, że nie ma telefonu, musiał jej wypaść w trakcie wypadku. Numeru do Dżonego nie pamiętała, podobnie jak wszystkich innych numerów, które miała w smartfonie. Przez głowę przemknęło jej wspomnienie pani Halinki, która telefonując ze stacjonarnego po licznych znajomych, wybierała wszystkie numery z pamięci. Ale i tak miała na podorędziu opasłą książkę telefoniczną w żółtych okładkach. Komu to przeszkadzało?

Aż do wieczora chodziła w kółko po pokoju i opędzała się przed myślami jak pszczelarz, którego zaatakował rój. Przystawała przy oknie, wypatrując na podwórku Parapeta. Trzy razy wyszła na dwór, żeby sprawdzić, czy na ławce nie ma jego kumpli. Nie było. Gdy wychodziła z klatki, rozglądała się jak złodziej, stale gotowa do ucieczki.

W monopolowym kupiła ćwiartkę pigwówki i wypiła na dwa razy. Niepokój tylko się wzmógł. Na dodatek dostała mdłości: mieszać wodę z prochami nie było dobrym pomysłem. Jej wysportowany organizm zbuntował się, ale nie zwrócił, lecz zaczął mozolnie trawić toksyny – ze szkodą dla samopoczucia.

Wróciła do domu, zapiała mdłości piwem z lodówki, łyknęła dwa apapy extra i włożyła pod język kolejną tabletkę validolu. Zasłoniła okno, zawinęła się w kołdrę jak w kokon i czekała na sen. A on ją napadał i to było chyba najważniejsze słowo oddające istotę jej spoczynku: napadał. Dobrze, że przynajmniej ból w żebrach ustąpił.

Gdy przez zasłony zaczął się przedzierać poblask świtu, a pierwsze tramwaje i pierwsze ptaki oznajmiły koniec nocy, Agnieszka leżała na wznak z otwartymi oczami. Nikt nie zapukał do drzwi, nic się nie wydarzyło. Trudno było pogodzić spokój i przewidywalność zewnętrznego świata z chaosem, jaki w niej dudnił. Piękno poranka zderzone z jazgotem duszy. Takie piekło musi przeżywać Parapet, gdy o czwartej nad ranem budzi go alkoholowy ciąg. Zniknąć... Ile by dała za to, żeby zniknąć i nigdy się na nowo nie zmaterializować.

Tymczasem powinna sprawić, aby zniknęło coś innego. Zamknęła oczy, zamyśliła się, skupiła. Z trudem zdołała wyłączyć mikser w głowie. Fusy i męty opadły na moment, pozwalając wypłynąć na powierzchnię jakiejś sensownej myśli. Przynajmniej w tamtej chwili wydawała się sensowna. Potem mikser ruszył znowu.

Zwlekła się z łóżka ostrożnie, bo ból powrócił. Polazła do łazienki, załatwiła się

i przepłukała zęby płynem o rzeźkości Arktyki, tak przynajmniej głosiła etykieta. Zawsze ją zdumiewało, jak bardzo potrafi pokrzepić człowieka zwyczajne odświeżenie ust; ciekawe, czego w takim odczuciu więcej, kulturowej nawyczki czy autentycznej fizjologii?

Z łazienki poczłapała do kuchni i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że spała w ubraniu. Otworzyła szafkę pod zlewem i zaczęła w niej hałaśliwie gmerać. Wyjęła słoik po ogórkach „kozackich” – jakże oni je z Dżonym uwielbiali! – przepłukała naczynię pod kranem i odstawiła na ociekacz, dnem do góry. Z szuflady wyjęła łopatkę do ciasta. Z przedpokoju przyniosła mały rowerowy plecak.

Otworzyła lodówkę. Zanim sięgnęła po torbę z Biedronki, spojrzała uważnie na puszkę piwa stojącą za przegródką na drzwiach. Skoro Parapetowi pomagało?

Strzeliła piana spod odrywanej zawleczki. Prawie wyssała piwo z puszki. Beknęła, westchnęła, poczekała. Pomogło. Czyżby też była alkoholiczką?

Wsadziła dłoń do foliówki i wyjąwszy z niej martwy organ, przełożyła go do słoika po ogórkach. Zakręciła, włożyła do plecaka. Dorzuciła łopatkę do ciasta.

Gdy wychodziła z mieszkania, popychając przed sobą rower, zatrzymała się na progu. Odstawiła pojazd, cofnęła się, wspięła na palce i zdjęła znad drzwi mały krzyżyk z Jezusem.

Rozdział trzydziesty piąty

W każdych innych okolicznościach jazda rowerem przez Warszawę w taki poranek byłaby rozkoszą. Pierwsze słoneczne ciepło, pierwsi przechodnie, pierwsze zapachy, głównie z piekarni i kafejek. Miasto rozkręcało się do życia, macając dłonią przy łóżku w poszukiwaniu pierwszego papierosa, którym mogłoby zatruć dzień sobie i ludziom. Póki co, było rześko jak w górach.

Ona jednak miała gdzieś rześkość, urodę oraz zalotność miasta. Pędziła jak w transie. Chciała zwymiotować nadmiar adrenaliny, spalić alkohol, wydalić prochy i wytrząsnąć z siebie wspomnienie dnia, który teraz, z perspektywy nocy pełnej tortur, wydawał się jeszcze większym absurdem. Pragnęła zabić lęk przed przyszłością, która – Agnieszka była tego pewna – prędzej czy później załomocze do jej drzwi pięścią policjanta lub bandyty. Zamierzała jak najszybciej pozbyć się ciężaru, który czuła w żołądku, wątrobie, sercu i w głowie, ale przede wszystkim – na plecach. Choć co to był za ciężar, prawdę mówiąc? Załedwie pół kilograma mięsa i słoik. Gdyby zrobić z tego potrawkę, najadłyby się nią do syta załedwie dwie osoby. Bardzo lubiła gulasz z serc.

Dojechała do absurdalnej sztucznej palmy na rondzie i skręciła w prawo, w Nowy Świat. Początkowo chciała dokonać pochówku gdzieś na zielonym Solcu lub nad Wisłą w Porcie Czerniakowskim. Gdy jednak wjechała w Aleje Ujazdowskie, doszła do wniosku, że powinna wybrać miejsce bardziej reprezentacyjne. Odbiła w Piękną, a widząc, że brama Parku Ujazdowskiego jest już otwarta, podjęła decyzję. Zlekceważyła tablicę zakazującą jazdy rowerem i w pełnym pędzie stoczyła się w dół – w stronę alejek. Jakiś biegacz krzyknął za nią z oburzeniem.

Minęła gladiatora z brązu, piękną rzeźbę przedstawiającą półnagię brodatego mężczyznę w ozdobnym nagolenniku, uchwyconego w pozie, jakby wychodził na arenę. Na cokole wyryto napis „Ave Caesar. Morituri te salutant”. Człowiek, który miał niebawem umrzeć, pozdrawiał ręką cezara, a ten – na to wskazywał wyciągnięty palec wojownika – musiał oglądać pojedynek z tarasów pałacu na wzgórzu, Agnieszka nigdy nie mogła zapamiętać jego nazwy („Coś na er...”).

W drugiej ręce waleczny niewolnik trzymał trójzęb, na ramię zarzucił sieć służącą do chwytania przeciwnika. Obok umięśnionej łydki spoczywał imponujący hełm z okapem i stalowym grzebieniem. Często przychodziła pod Gladiatora ze swoim zalotnikiem od patriotycznej odzieży. Nie mógł się napatrzeć na rzeźbę, zwrócił jej uwagę na słowiańskie rysy wojownika: brańcy z barbarzyńskiej Północy szkoleni byli w specjalnych szkołach gladiatorów.

Potem przejechała przed nosem Paderewskiego z brązu, którego Niemcy chcieli podczas okupacji przetopić, ale odlewnikowi, który przed wojną wykonał pomnik, udało się rozmontować go i zakopać. To też wiedziała od swojego zalotnika.

Zatrzymała się dopiero niedaleko rzeźby Ewy. O tym pomniku nie wiedziała nic, poza tym, że postać kobiety była dużo za tłusta jak na dzisiejsze standardy fit. Mogła być co najwyżej pocieszeniem dla przychodzących tu z wózkami podtytych mamusiek. Dla biegających po parku pracoholiczek była wyłącznie zgorzeniem. Dietetycznym.

Agnieszka zsiadła z roweru, pchnęła go na trawę i skierowała się w stronę dorodnego klonu. Tu będzie dobrze, to właściwe miejsce.

Weszła energicznie na skwer, wyjęła z plecaka łopatkę do ciasta, opadła na kolana i zaczęła kopać nią dziurę z ziemi. Pracowała zajadle, głucha na koncert, jaki na cześć życia dawało właśnie parkowe ptactwo.

Łopatka w jej dłoni złamała się z trzaskiem.

– Nie teraz! Nie teraz! Nie teraz! – nakrzyczyła na nią i odrzuciła ze złością.

Zaczęła grzebać w ziemi pazurami. Jak drapieźnik, który chce się dokopać do sparaliżowanego strachem królika w jamie.

Gdy dziura była już głęboka po łokcie, wstała, wytarła dłonie w spodnie i sięgnęła po plecak. Wyjęła słoik. Przez kilka sekund wpatrywała się w jego zawartość, jakby odprawiała jakieś modły, po czym z namaszczeniem złożyła naczynie w dole i zasypała je ziemią. Uklepała ją dłońmi, ubiła stopami.

Rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś, co by się nadało na nagrobek. Znalazła. Spocona i zziębnięta, przydźwigała spod drzewa spory otoczek. Upuściła go powoli na dopiero co uklepaną ziemię.

Przez kilka chwil stała nad głazem z dłońmi splecionymi na podbrzuszu i opuszczoną głową. Odmówiła trzy razy „Wieczny odpoczynek” i raz „Ojciec nasz”. Złapała za plecak i ruszyła w stronę roweru, lecz nagle sobie o czymś przypomniała. Wyjęła z plecaka krzyżyk, który zabrała z kuchni i oparła go o kamień. Przeżegnała się niechlujnie i wtedy usłyszała za sobą kroki.

Dwójka policjantów wbijała wzrok w Agnieszkę, on z ciekawością, ona z pretensją. On był duży, ona mała. Jego postawa mówiła: „O, jeszcze jedna wariatka”. Jej postawa mówiła: „Nawet nie próbuj z nami negocjować, suko”.

Rozdział trzydziesty szósty

– No a potem przywieźli mnie tutaj. – Agnieszka zatoczyła ręką po pokoju przesłuchań. – I siedzę tu przed panem. I czekamy na mojego adwokata, który nie jest moim adwokatem. Coś jeszcze?

Komisarz Brynecki pokiwał głową. Znał się na ludziach na tyle, aby wiedzieć, że ani jedno słowo, jakie tu usłyszał, nie było skłamane.

– Coś jeszcze? To od pani zależy – odparł. – No więc, coś jeszcze?

Wzruszyła ramionami.

– I tak mi pan nie odpowie na to pytanie, ale ciekawi mnie, dla jakiego drania było to serce? Kto je sobie zamówił jak pizzę? Dla kogo zamordowano tego biedaka, którego przywieziono tu aż z Azji?

Spojrzała stanowczo na komisarza.

– Musicie jak najszybciej wsadzić tego bydlaka.

– Będziemy się starać – zapewnił skwapliwie. – Powinienem teraz wydać dyspozycje. Jak pani mówiła, że się nazywa ta spalarnia zwłok?

– Memento. A auto rozbiłam tuż przy wjeździe do Targówka. Przy działkach Raj. Nie widać z drogi, bo tam pełno krzaków, ale może już ktoś zgłosił drogówce.

– Zaraz sprawdzę – oświadczył służbiście. Położył dłoń na telefonie, lecz w tym samym momencie słuchawka sama zadrżała mu pod ręką, dało się słyszeć dzwonek.

Komisarz przyjął meldunek i rzucił do słuchawki: – Niech wejdzie.

A do Agnieszki skierował słowa: – Jest pani adwokat.

– Ile razy mam powtarzać, że on nie... – Nie dokończyła, bo drzwi pokoju otworzyły się i stanął w nich w całej swej okazałości mecenas Joachim Stern.

Przyprowadziła go ta sama policjantka z końskim ogonem, która zatrzymała Agnieszkę w parku. Wyglądało to tak, jakby jamnik wiódł bernardyna. Funkcjonariuszka była jeszcze bardziej spięta, przejęta i świadoma powagi chwili. Zapewne dowiedziała się już o wynikach badań w prosektorium.

Brynecki zerwał się z krzesła i wystartował do prawnika z dłonią. Stern podał mu swoją, ale na chwilę tak krótką, że nie sposób było nie odczytać tego jako demonstracji wyższości. Komisarz to była jednak za niska dla niego ranga. Mógł się spoufalać, ale dopiero od inspektora w górę. Ponadto rzeczywiście przewyższał Bryneckiego o głowę.

– Przepraszam, że tak długo dałem na siebie czekać, ale stało się coś nieoczekiwanego. – Stern wypowiedział te słowa z wielką powagą i wyłącznie do Agnieszki. Po czym nawet na niego nie patrząc, poprosił policjanta, żeby na kilka

minut zostawił ich samych. Poprosił uprzejmie, choć i tak zabrzmiało to jak rozkaz.

– I tak miałem wydać ważne dyspozycje – powiedział komisarz do pleców mecenasa, zachowując w ten sposób resztki godności. – Proszę. – Podsunął Sternowi krzesło i popchnąwszy ku drzwiom policjantkę, razem z nią opuścił pomieszczenie.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi, mecenas odczekał chwilę, jakby chciał dać ciszy stężeć, pewnie dla oratorskiego efektu, i powiedział:

– Pani ojciec nie żyje. Zmarł dziś w nocy na serce. Właściwie to nie wybudził się z narkozy.

Zastanawiała się, co powinna odpowiedzieć. Zastanawiała się, co powinna czuć. Zastanawiała się, jakim gestem powinna zareagować. Nic nie przychodziło jej do głowy.

– Chodzi o tę operację, o której mi pan mówił? – wydukała w końcu, zganiwszy się pod razę za głupotę, bo o jaką inną operację mogło chodzić.

– Właściwie to nie. Nie doszło do niej.

– Nie rozumiem... – Zamrugła oczami. – To po co narkoza?

Stern zawahał się, ale tylko na ułamek sekundy, bo przecież decyzję, że wszystko jej opowie, podjął już dużo wcześniej. No, może nie wszystko, wysoko opłacani prawnicy nigdy nie mówią wszystkiego.

– Teraz już mogę pani powiedzieć. – Znow odczekał chwilę na potrzeby retoryki i w celu uregulowania emocji. – Pan Witold miał mieć przeszczepione serce. Wczoraj... – Następną pauza. – Na nowe czekał w klinice na Mazurach. Ale...

– Przeszczep? – przerwała mu.

– Tak. Od pewnego Azjaty, który zmarł w Polsce. Ale ktoś coś pokpił w transporcie i nie dojechało. Wypadek...

– Wypadek?

– Tak, komunikacyjny... Pani ojciec leżał już na stole. Wszyscy czekali na to serce.

– Wszyscy?

– Zespół chirurgów i pielęgniarek. Gdy się okazało, że serce nie dojedzie, lekarz podał mocny środek uspokajający, żeby oszczędzić stresu... Pani ojciec był już po wstępnej dawce narkozy.

– I tym go dobił?

– Rozumiem pani emocje, ale to niestosowne słowo. Pani ojciec się już nie obudził. Zmarł we śnie. Nawet nie wiedział, że umiera. Co więcej, narkotyk spowodował, że umierał w stanie błogości, jakkolwiek to brzmi.

I wtedy Agnieszka pojęła. Nagle i bez najmniejszych wątpliwości. Żadnych znaków zapytania, same wykrzykniki. Nie potrzebowała już żadnych wyjaśnień.

– Czy może pan wyjść z pokoju, panie mecenasie? – spytała całkiem spokojnie ze

wzrokiem wbitym w dal, której tu nie było, bo być nie mogło w tak małym pomieszczeniu. – Chcę być przez chwilę sama.

Usunął się w mig.

A ona, rozłożywszy ręce i złapawszy za krawędzie biurka, jakby chciała wywrócić mebel albo go podnieść, odrzuciła głowę, a potem z całej siły uderzyła nią w blat. Raz... Drugi... Trzeci...

Uniosła głowę. Na czole miała krew. Spazm bólu i rozpacz wstrząsnął jej ciałem. Jeszcze bardziej odgięła się na krześle i znów uderzyła z impetem. Raz... Drugi... Trzeci... Łup... Łup... Łup...

Młoda policjantka z końskim ogonem oglądała to wszystko zza weneckiego lustra. Wiedziała, że powinna interweniować, lecz nie była w stanie zrobić kroku, tak była zniewolona własnym przerażeniem. Zdołała tylko wcisnąć przycisk wyłączający podsłuch i zapis audio. Zdawała sobie sprawę, że to wbrew procedurom, ale nie mogła znieść wycia, które wydobyło się z gardła zatrzymanej zaraz po tym, jak zmasakrowała sobie twarz.

KONIEC

O Autorze

Zbigniew Górniak, pisarz, dziennikarz, redaktor. Zdobywca kilkunastu krajowych nagród za reportaż prasowy, wieloletni felietonista gazetowy i radiowy, publicysta telewizyjny, autor kilku powieści współczesnych, z których najbardziej znane to „Pulpa fikcyjna” (Prószyński i S-ka, 2006) oraz „Siostra i byk” (WAB, 2009). Scenarzysta serialu radiowego „Spadek, miłość i kradzione samochody” z Michałem Żebrowskim w roli głównej.

Obecnie pisze książkę reportażową „Niskorośli.PL” o ludziach niedużego wzrostu. Jako *ghost writer* napisał dwie rozchwytywane biografie, jednak rygory dożywotniej umowy zabraniają mu wyjawiać czyje.